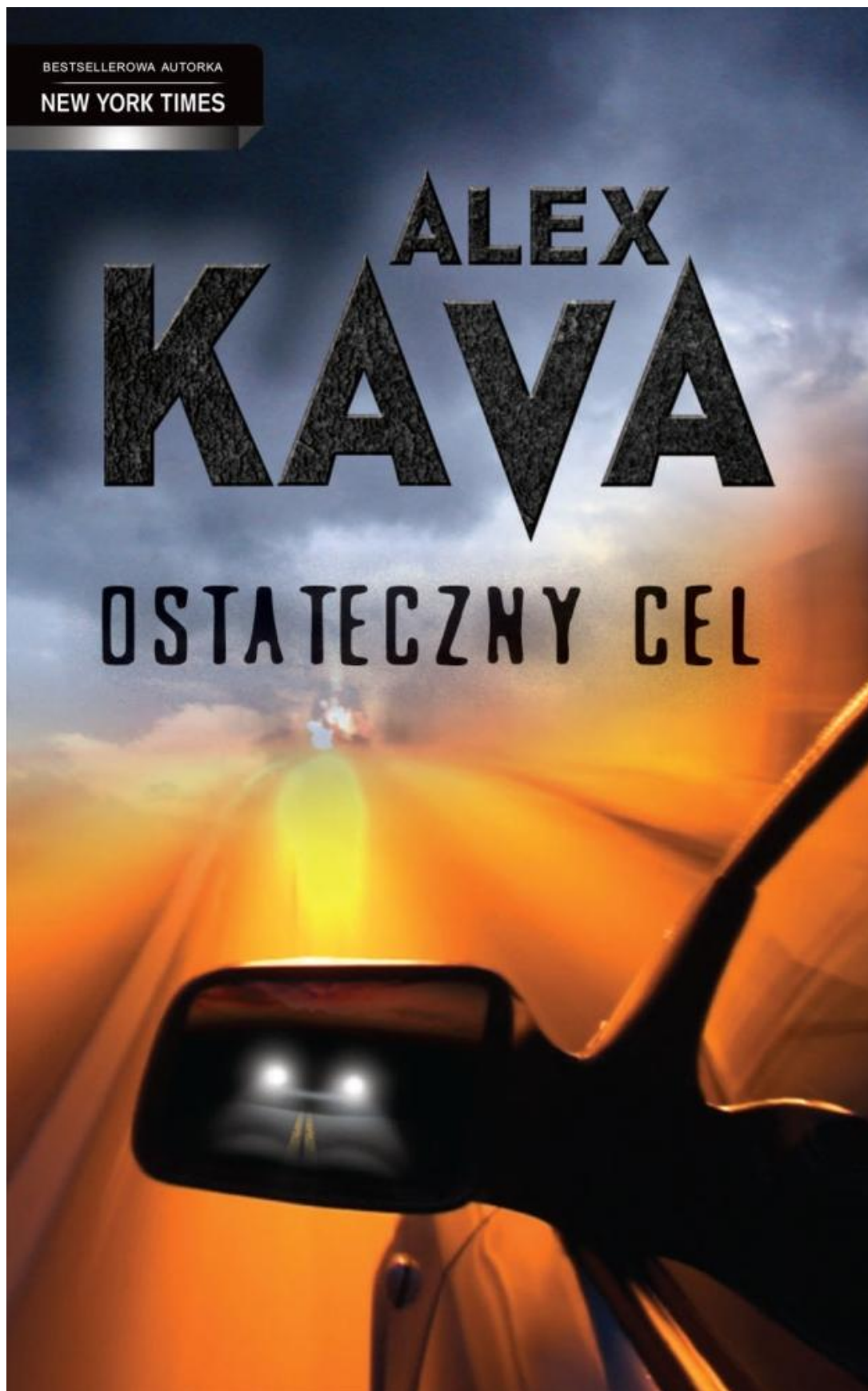


BESTSELLEROWA AUTORKA

NEW YORK TIMES

# ALEX KAVA

## OSTATECZNY CEL



**Alex Kava**

**Ostateczny cel**

*Mojej matce*

*„Wydawał się naprawdę dobrym człowiekiem – kiedy nie zabijał”.*

Helen Morrison, lekarz, o Edzie Geinie w swojej książce „My Life Among the Serial Killers”

**PONIEDZIAŁEK 18 MARCA**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Okolice Manhattanu w stanie Kansas, obok autostrady I-70*

Wciąż żyje.

Na tym musi się skupić. Na tej myśli i na biegu.

Noah czuł zapach własnego potu, kwaśny i gryzący... I woń moczu. Nadal nie wierzył, że się zsikał.

*Przestań myśleć. Biegnij! Biegnij!*

I jeszcze smród wymiocin. Zwymiotował i zaplamił przód koszuli. W ustach czuł ostry smak. Żołądek nadal podchodził mu do gardła, ale nie mógł sobie pozwolić na to, by zwolnić. Jak mógłby zwolnić, gdy w głowie wciąż odbijały się echem wrzaski Ethana?

*Przestań krzyczeć. Proszę, przestań!*

– Nikomu nie powiem, przysięgam, że nie powiem.

Nawet teraz, w biegu, wargi Noaha się poruszały. Nieświadomie powtarzał te słowa w rytmie swoich kroków.

– Nikomu nie powiem, przysięgam.

*Żalotne. Strasznie żalotne.*

Jak mógł zostawić przyjaciela i uciec? Jest obrzydliwym tchórzem. Pomimo tej świadomości nie zwolnił. Nie obejrzał się przez ramię. W tym momencie był zbyt przerażony, by przejmować się tym, że jest żalotnym dupkiem.

Nagle w czoło smagnęła go gałąź.

Noah potknął się, ale utrzymał równowagę. Przez chwilę widział jak przez mgłę, w głowie czuł pulsujący ból.

*Tylko nie upadnij, do jasnej cholery! Biegnij naprzód. Biegnij, biegnij!*

Choć w głowie mu się kręciło i bał się, że się przewróci, nogi posłusznie wykonywały polecenie. Było bardzo ciemno, zbyt ciemno, by widzieć cokolwiek poza szarością i czernią. Gdzieś padły smugi księżycowego światła, od których tylko bardziej kręciło się w głowie. Teraz biegł z wyciągniętymi rękami, by mieć pewność, że nie wpadnie na kolejną nisko zwisającą gałąź.

Cały czas boleśnie smagały go drobne gałązki. Czuł spływające po twarzy i rękach strużki i wiedział, że to krew. Krew zmieszana z potem, od którego piekły go oczy. Językiem wyczuwał ją na wargach. Znowu zrobiło mu się niedobrze, bo wiedział, że część tej krwi nie jest jego.

*O Boże. O Boże! Ethan, tak mi przykro. Tak mi przykro.*

*Nie zatrzymuj się. Nie oglądaj się za siebie. Nie możesz pomóc Ethanowi. Już za późno. Biegnij.*

Mimo to odtwarzał sobie w myślach, w krótkich urywanych fragmentach to, co się wydarzyło. Nie powinni opuszczać szyby w oknie. Wypili za dużo piwa. Byli zbyt pewni siebie.

*Cholernie głupi.*

W pierwszy weekend przerwy wiosennej przed wyjazdem do domu ostro imprezowali. Właśnie ruszyli, kiedy Ethanowi zachciało się sikać. Teraz już nie żył. Gdyby żył, wkrótce by tego żałował.

Noaha paliło w piersiach. Nogi bolały. Nie miał pojęcia, dokąd biegnie. Ale poza tym, żeby biec jak najdalej i jak najszybciej, nic się nie liczyło. Las był gęsty, niezliczone drzewa i krzewy po kolana. Baldachim z wierzchołków drzew nad głową zasłaniał niebo, tylko od czasu do czasu przedzierał się przezeń promień księżyca, odkrywając przed Noahem w przeblysku

fragment skalistego podłoża, kamienie, które groziły potknięciem.

I wtedy właśnie się potknął.

*Nie wolno mi upaść. Nie wolno mi upaść. Proszę, nie pozwól mi upaść!*

Wyciągnął na boki ręce i machał nimi jak pozbawiony kontroli wiatrak, a mimo to upadł boleśnie na twardą ziemię. Kolanami uderzył o kamień. Zadrapał skórę na łokciach. Nogi przeszył ból, lecz w głowie wciąż słyszał głos, który kazał mu wstać. Krzyczał na niego. Tyle że tym razem ciało nie posłuchało. Raptem usłyszał cichy, delikatny trzask i szelest.

Nie, to niemożliwe. Tylko sobie to wyobraził.

Potem usłyszał kroki. Ktoś szedł tuż za nim. Chrzęściły deptane liście. Trzaskały łamane drobne gałązki.

*Nie, to niemożliwe.*

Przecież powiedział Noahowi, że jeśli Noah nic nie powie, puści go wolno. Noah obiecał milczeć. Szaleniec przyrzekł mu to samo.

Znów kroki, teraz już blisko. Zbyt blisko, by były wytworem jego wyobraźni.

*Dlaczego on nie pozwala mi odejść? Przecież dał słowo.*

Czemu, na Boga, uwierzył szaleńcowi?!

Bo ten człowiek, kiedy zapukał do okna ich samochodu, wyglądał tak normalnie.

Jakimś cudem Noah się podniósł. Zachwiał się, lecz zignorował ból. Kazał nogom się ruszać. Z początku kulał, potem zaczął biec. Biegł szybciej. Biegł i sapał. W płucach miał ogień.  
*Szybciej.*

Po twarzy spływały łzy. Jego uszu dobiegł wysoki przeszywający jęk, który odbijał się echem pośród drzew. Ranne zwierzę czy zwierz gotowy do ataku? Nieważne. Nic nie zrani go tak mocno jak ta bestia, która go ściga.

*Nie powinni byli opuszczać szyby w oknie. Jasny szlag, Ethan!*

– Który pierwszy? – spytał szaleniec z uśmiechem, który wyglądał jednocześnie jak łagodny uśmiech przyjaciela i jak uśmiech wariata. Miał oczy wilka, a był taki spokojny.

*O Boże, zaraz potem pociął Ethana! Tyle krwi!*

– Obiecuję, że nie powiem.

– Biegnij. No biegnij. Biegnij – mężczyzna mówił to normalnym, prawie kojącym tonem.

– No biegnij – powtórzył, kiedy Noah wciąż stał i gapił się na niego jak łania sparaliżowana reflektorami samochodu.

Teraz zdał sobie sprawę, że przeszywający jęk dochodzi z jego własnego gardła. Bardziej go czuł, niż słyszał. Dobywał się gdzieś z głębi i wibrował wzdłuż żeber, zanim wyrwał się z ust.

Musi zamilknąć, bo tamten go usłyszy i będzie dokładnie wiedział, gdzie on jest.

*Biegnij. Szybciej!*

Błoto wciągało boscie stopy. Koszulę, dzinsy, buty i skarpetki – wszystko to oddał za wolność, tanio się wykupił. Wiedział, że na poobijanych podszwach ma od ostrych kamieni otwarte krwawiące rany. Zamrugnął, starał się powstrzymać palące łzy.

*Nie myśl o bólu. To nic w porównaniu do tego, co spotkało Ethana.*

Musi skupić się na biegu, nie na bólu. Nie na poranionej, posiniaczonej skórze.

*Jak daleko ciągną się te lasy?*

Musi tu gdzieś być jakaś polana. Biegł od parkingu przy autostradzie, ale musi tu gdzieś być coś innego niż drzewa. Może farma? Inna droga?

Już nie słyszał za sobą kroków ani trzasku łamanych gałązek, ani chrzęstu deptanych liści. Oddychał ciężko, serce mu waliło. Odrobinę zwolnił i wstrzymał oddech.

*Nic.*

Tylko lekki wiatr. Nawet ptaki ucichły. Czy szaleniec zawrócił? Zrezygnował?

Postanowił dotrzymać obietnicy?

Może na dzisiejszy wieczór jeden mu wystarczył?

Noah zaryzykował i obejrzał się przez ramię. Wtedy właśnie trafił stopą na zwalone drzewo i padł jak długi, łokciami lądując w błocie i kamieniach. Z bólu zaszczękał zębami. Białe gwiazdy na niebie zamrugały, oświetlając pokaleczoną skórę dłoni.

Próbował się podnieść, ale upadł na kolana. Stopa, którą się potknął, paliła z bólu. Spojrzał na nią i skrzywił się. Skręcił nogę w kostce, lewa stopa układała się pod nienaturalnym kątem. Ale to nie z powodu bólu spanikował, tylko dlatego, że nie był w stanie się ruszyć.

Zamarł w bezruchu i znów wstrzymał oddech, tak jak potrafił. Nasłuchiwał. Czekał.

*Tak cicho.*

Żadnego szumu silników. Żadnych ptaków. Żadnego szelestu liści. Nawet wiatr zamilkł ze strachu.

Był sam.

Ogarnęła go wielka ulga. Ostatecznie więc szalenciec za nim nie pobiegł. Ostatnia fala adrenaliny odpłynęła. Osunął się z powrotem na ziemię. Siedział z wyciągniętymi przed siebie nogami, za słaby, by choćby dotknąć puchnącej kostki. W świetle księżyca nie rozpoznawał własnej stopy. Pęczniała jak balon, rany szerzej się otwierały. Wciąż rwał mu się oddech, ale serce zwolniło i złapało rytm.

Przetarł twarz ręką, po czym uprzytomnił sobie, że tylko maże krew krwią. Opuścił rękę i spojrzał na nią z bliska, przekonał się, że na grzbiecie dłoni ma oderwaną skórę.

*Nie myśl o tym. To niska cena za wolność. Nawet na to nie patrz.*

Rozejrzał się dokoła. Może znajdzie jakąś gałąź, długą gałąź. Podparłby się nią jak kulą, która przejęłaby na siebie ciężar dźwigany normalnie przez uszkodzoną stopę. Dałby radę. Wystarczy, że się skupi. Zapomni o bólu i skupi.

Lepszy ból niż śmierć, prawda?

Trzasnęła gałązka.

Noah nerwowo obrócił się w stronę, skąd dobiegł ten dźwięk.

Bez ostrzeżenia mężczyzna wyszedł zza drzewa i stanął w świetle księżyca. Spokojny, jakby tam stał calusieńką noc. Ani trochę nie zadyszany. Nikt by nie zgadł, że pokonał tę samą drogę przez gęsty i ciemny las, którą biegł Noah.

Szalenciec nawet nie fatygował się, by unieść rękę z nożem. Trzymał ją opuszczoną przy boku, na nożu wciąż widniała krew Ethana.

Uśmiechnął się i powiedział:

– Twoja kolej, Noahu.

**WTOREK 19 MARCA**



## ROZDZIAŁ DRUGI

*Za Sioux City w stanie Iowa, tuż za autostradą I-29*

Do tej pory z błota w dole wydobyto jedną czaszkę. Agentka FBI Margaret O'Dell miała przeczucie, że jest ich tam więcej. Umyta do czysta przez poranną ulewę czaszka lśniła bielą, leżąc na czarnej piaszczysto-ilastej ziemi. Obok widniały trzy długie kości i rozmaitość mniejszych, także wykopanych z tego samego dołu. Maggie miała podstawy medycznego wykształcenia, więc bez trudu zidentyfikowała długie kości jako udowe. Zaznaczyła jednak, zwracając się do szeryfa Unissa:

– Nie jestem antropologiem.

Szeryf zamrugał powiekami, jakby chlusnęła mu w twarz wodą. Cofnął się o krok, jak gdyby chciał się odsunąć od Maggie albo od tego, co właśnie mu oznajmiła.

– Jeżeli pani się nie myli – rzekł i urwał, a jego jabłko Adama na przemian unosiło się i opadało. Zdawało się, że ma problem z przyjęciem tych informacji. W końcu podjął: – To by znaczyło, że mamy tu dwa ciała, a nie jedno.

– To tylko domysł.

– Słyszałem, jak pani partner mówił, że jest pani wykwalifikowanym ratownikiem medycznym czy coś takiego.

– To nie znaczy, że jestem ekspertem od kości, szeryfie. Wszystkiego się dowiemy, gdy dotrą tu prawdziwi fachowcy.

Powstrzymała się przed powiedzeniem szeryfowi hrabstwa, że na tej starej farmie może znajdować się nawet więcej ciał.

Szeryf Uniss był już dostatecznie podenerwowany, Maggie zauważyła nerwowy tik w kąciaku jego lewego oka. Zresztą zdawało się, że cały drży i się wzdryga – przestępował z nogi na nogę, krzyżował i opuszczał ramiona, aż w końcu wsunął kciuki za pasek, bezskutecznie usiłując zapanować nad ciałem.

Nerwowymi ruchami przypominał stracha na wróble z „Czarodzieja z Oz”. Spod czapki wystawały mu siwe sterczące włosy. Ubranie poddawało się jednak dyscyplinie. Miał na sobie niebieskie dżinsy, które wyglądały na świeżo uprasowane, i flanelową koszulę w czerwono-szarą kratę. Z kieszeni na piersi wystawał mały notes i dwa długopisy. Pomimo błościa szaro-czarne kowbojskie buty szeryfa lśniły jak świeżo wypucowane.

Wcześniej szeryf powiedział agentce i jej partnerowi R.J. Tully'emu, że dotąd widział tylko „parę zmiążdżonych w wypadku samochodowym ciał”. Oznajmił to w taki sposób, jakby dawało mu to kwalifikacje do poprowadzenia sprawy prawdopodobnego zabójstwa. Co tylko wzmocniło przekonanie Maggie, że tego człowieka – nawet jeśli jest doskonale zorganizowany i ma jak najlepsze intencje – śledztwo dotyczące morderstwa zwyczajnie przerasta. Zwłaszcza jeżeli znajdą więcej ciał. Było zbyt wcześnie, by wiedzieć to na pewno, ale instynkt podpowiadał jej, że to może być to miejsce, którego od miesiąca szukała razem z Tullym.

Zerknęła na dwóch młodych zastępców szeryfa wspartych na zabłoconych łopatach na skraju dołu. W przeciwieństwie do szefa nosili brązowe uniformy z podwiniętymi rękawami koszuli. Kapelusze zostawili w samochodach. Baczenie przyglądali się ziemi, jakby spodziewali się, że wyskoczą z niej kolejne kości.

Jakieś piętnaście metrów za zastępcami szeryfa obok koparko-ładowarki firmy Bobcat czekali robotnicy budowlani, którzy trafili na to znalezisko. Mężczyźni mieszkali obok w jednym z zabudowań gospodarczych. Minionego dnia późnym popołudniem przypadkiem dokopali się

czegoś, co uznali za stary cmentarz. Zburzyli już kilka budynków na farmie i właśnie zaczęli przygotowywać ziemię pod fundamenty nowego centrum informacyjnego rezerwatu przyrody.

Odnalezienie kości wstrzymało pracę..Towarzysząca im woń kazała im się cofnąć. Maggie zrozumiała, że to brygadzysta zadzwonił do szeryfa, a ten – z nadzieją, że znajdzie proste wyjaśnienie – zatelefonował do dawnej właścicielki posesji i dowiedział się, że ta od dziesięciu już niemal lat nie żyje. Wykonawca jej testamentu po prawie dekadzie, gdy farma stała pusta, właśnie sprzedał ją rządowi federalnemu. Według szeryfa już do nich zmierzał, choć kiedy szeryf do niego zadzwonił, był prawie 500 kilometrów stąd i nie miał pojęcia, skąd wzięły się tam kości. Prawdę mówiąc, to wykonawca testamentu zasugerował, żeby zawiadomić władze federalne. W końcu to oni byli teraz właścicielami tego bałaganu.

A Maggie i agent Tully? Znaleźli się tam zupełnie przypadkowo.

Wcześniej tego ranka przylecieli do Omaha w związku z zupełnie innym śledztwem. Lot ze stolicy był koszmar. Na samą myśl o błyskawicach i ulewie, na które natknęli się po drodze, żołądek wciąż podchodził Maggie do gardła. Nie znosiła latać, zwłaszcza gdy podróż przypominała jazdę górską kolejką, zaciskała palce tak mocno, aż knykcie jej pobielaly, i miała nudności. Kiedy później zatrzymali się na stacji benzynowej, żeby zatankować, i w małym sklepiku zobaczyli domowej roboty pączki, Maggie kupiła tylko dietetyczną pepsę. Tully uniósł brwi, bo rzadko rezygnowała z pączków. Na szczęście po drugim ciastku przestał się nią przejmować.

Wiele tygodni spędzili razem w ciasnym biurze w Quantico albo w drodze. Jakoś udawało im się nawzajem tolerować swoje nawyki i dziwactwa. Maggie wiedziała, że Tully jest tak samo jak ona zmęczony przydrożnymi motelami i wynajętymi samochodami, przesiąkniętymi wonią cudzych perfum albo wody po goleniu i śmieciowego jedzenia.

Ich poszukiwania rozpoczęły się jakiś miesiąc temu po odkryciu obok podpalonego magazynu w Waszyngtonie porzuconego w alejce ciała kobiety. Ofiara, Gloria Dobson – żona, matka trojga dzieci, która pokonała raka piersi – nie była w żaden sposób powiązana z pożarem magazynu. Prawdę mówiąc, kilka dni wcześniej Dobson podróżowała z Columbi w stanie Missouri na konferencję handlowców w Baltimore, na którą nie dotarła.

Patrol stanowy z Wirginii znalazł jej samochód na parking przy drodze międzystanowej. W lesie za parkingiem Maggie i Tully odkryli towarzysza podróży Dobson, jej młodszego kolegę z pracy Zacha Lestera. W ciągu dziesięciu lat pracy jako agentka FBI Maggie widziała wiele bestialskich zbrodni, a jednak brutalność tego mordu i na niej, i na Tullym zrobiła wrażenie. Ciało Lestera porzucono pod drzewem. Odcięto mu głowę, tors przecięto, a wnętrzności rozwieszono na niższych gałęziach.

Nie chodziło tylko o charakter tych morderstw, ale także o to, że morderca bez najmniejszego trudu zabił Dobson i Lestera – silnych, zdrowych i inteligentnych ludzi w podróży służbowej. To właśnie przekonało agentów, że to nie była jego pierwsza zbrodnia. Ich szef, zastępca dyrektora Raymond Kunze, zgodził się z nimi i wyznaczył do zespołu do spraw seryjnych morderców drogowych.

Akcję podjęto kilka lat wcześniej, tworząc krajową bazę danych, gdzie zbierano, sprawdzano i udostępniano szczegóły dotyczące ofiar zbrodni popełnionych w pobliżu amerykańskich autostrad i dróg międzystanowych. Spore wyzwanie. W systemie znajdowały się już dane ponad pięciuset zamordowanych. Baza pozwalała funkcjonariuszom sił porządku publicznego sprawdzić, czy ciała odnalezione na terenie ich jurysdykcji mogą być w jakiś sposób powiązane z morderstwami popełnionymi w innych stanach.

Maggie zgadzała się z tym, że wiele z tych zbrodni to dzieło seryjnych morderców, którzy jeżdżą drogami międzystanowymi. Tully żartobliwie nazywał je rajem seryjnych zabójców.

Parkingi dla samochodów osobowych i ciężarowych, które podróżnym zapewniały miejsce odpoczynku, stanowiły też idealny cel dla doświadczonych morderców. Choć większość z nich była dobrze oświetlona, zwykle otaczały je lasy czy inne pozbawione domostw tereny, więc łatwo i szybko dało się stamtąd uciec. W ciągu paru godzin sprawca mógł niezauważony znaleźć się na terenie podlegającym jurysdykcji innych władz.

Dzięki tej akcji w 2007 roku schwytano już jednego seryjnego mordercę. Bruce Mendenhall, kierowca ciężarówki zajmujący się przewozami na długich dystansach, został oskarżony o zabójstwo kobiety, którą zabrał z parkingu ciężarówek. Podejrzewano go o zabicie pięciu innych kobiet z czterech różnych stanów.

Brutalne zabójstwo Glorii Dobson i Zacha Lestera kazało im sądzić, że natknęli się na kolejnego seryjnego mordercę. Ale to był tylko jeden z powodów, dla których agenci wylądowali na Środkowym Zachodzie. Morderca zostawił mapę. Kiedy zakończyli śledztwo dotyczące podpaleń magazynów w Waszyngtonie, na spalonych szczątkach swojego kuchennego blatu Maggie odkryła mapę. Ktoś podłożył ogień pod jej piękny dom w stylu Tudorów, jej azyl. Patrick, brat Maggie, i jej psy o mały włos nie stracili życia w tym pożarze.

Ten morderca drogowy nie miał jednak nic wspólnego z podpaleniami. On tylko wykorzystał je dla swoich celów. Pożary magazynów dały mu okazję do podrzucenia w ich pobliże ciała Glorii Dobson. Ogień, który omal nie strawił domu Maggie, umożliwił z kolei naruszenie jej prywatności. Kiedy wszyscy opuścili już spalony budynek, morderca wszedł do środka i na granitowym blacie zostawił mapę, przyciskając ją kamieniem z wężowu za podwórzem. Ta mapa była zaproszeniem do polowania, pewnej szczególnej gry.

Na prostym odręcznym rysunku falująca linia opisana jako „MissRiver” biegła równoległe do innej linii, która wyglądała jak autostrada międzystanowa ze zjazdami. Oznaczono tam wyłącznie kierunki: północ i południe, wschód i zachód.

Młody agent z laboratorium kryminalistycznego FBI, geniusz, jeśli chodzi o dane i systemy zarządzania bazą danych, Antonio Alonzo, odkrył, że MissRiver to rzeka Missouri, kiedy już wykluczył ewentualność, że mogłaby to także być rzeka Missisipi. Potem stwierdził, że linia oznacza ni mniej, ni więcej, tylko autostradę I-29. To zawężyło teren poszukiwań Maggie i Tully’ego do około tysiąca stu kilometrów i trzydziestu dwóch parkingów. Wciąż przytłaczający ogrom pracy.

Na mapie mordercy znajdował się też parking z dokładnie zaznaczonymi budynkami, miejscami piknikowymi i miejscami postojowymi dla samochodów osobowych i ciężarowych. Dokoła biegła droga w kształcie nerki, łącząc parking ze zjazdami z międzystanowej. Zawijasy – zdaniem Alonza oznaczające las – oddzielały parking od rzeki. Na drugim brzegu rzeki widniały kolejne esy-floresy – prawdopodobnie także tereny leśne – stopniowo zamieniając się w serię iksów, czyli zapewne inny teren.

Taka była teoria Alonza. Maggie podejrzewała, że iksy to miejsca, gdzie morderca porzucił ciało.

Za pomocą zdjęć ze stron internetowych kierowców ciężarówek i Google Earth Alonzo ograniczył liczbę interesujących ich parkingów do trzech w Iowa, jednego w Kansas i dwóch w Dakocie Południowej. Maggie i Tully dopiero od dwóch godzin byli w drodze, gdy Alonzo zadzwonił z informacją, że dzień wcześniej na farmie znaleziono ludzkie kości. Farma graniczyła na tyłach z parkingiem przy drodze międzystanowej. Jednym z parkingów na ich liście.

Maggie chciała jak najszybciej przekonać się, jak blisko farmy znajduje się ten parking. Może tylko niepotrzebnie jada objazdem i tracą czas. Czaszka i kości udowe mogły się tam znaleźć z zupełnie innego powodu, zależnie od tego, jak są stare. Wiedziała, że kiedyś było to terytorium Indian. Sama farma miała prawie sto lat. Niewykluczone, że zbudowano ją na

dawnym cmentarzysku Indian.

Mimo wszystko chciała to zobaczyć na własne oczy. Przeprosiła szeryfa i jego zastępców, rzuciła Tully'emu znaczące spojrzenie i zostawiła ich. Czarno-biały SUV szeryfa blokował długi podjazd. Jeden z zastępców siedział znudzony za kierownicą. Maggie słyszała rozmowę z radia. Skinęła mężczyźnie głową i zauważyła, że poruszył się wyczekująco, ale ona się nie zatrzymała. Szła dalej wzdłuż krzewów bzu, który dopiero zaczynał kwitnąć, ale już pachniał.

Nad jej głową zakrzyczały dzikie gęsi. Z trzech stron otaczał farmę gęsty zagajnik klonów, wiązów i topoli, osłaniając ją przed widokiem z drogi, a także tłumiąc wszelkie zewnętrzne hałasy. Gdyby nie jechali tu drogą międzystanową, Maggie nigdy by się nie domyśliła, że tak blisko farmy odbywa się ciągły ruch samochodów.

Za stodołą znalazła zarośniętą ścieżkę, która doprowadziła ją do lasu. Dopiero zaczęły się pokazywać pączki, wybuchając jasną zielenią na gołych czarnych gałęziach. Sosnowe igły i liście z minionej jesieni, teraz mokre i zbite w grudy, leżały na ziemi. Ostrożnie stawiała stopy, żeby się nie pośliznąć.

Ścieżka szybko zwężyła się i stopniowo pięła się w górę. Twarz Maggie smagały gałęzie, choć starała się je odsuwać. Cierniste pnącza drapały jej nogi przez spodnie. Słońce ledwie się tu przebijało. Jedynymi plamami koloru były ptaki – jasnożółte z rodziny ziarnojadów, czerwonoskrzydłe kosy, kardynały. Ich śpiew – wiosenna pieśń godowa – działał kojąco. Kiedy ostatnio razem z Tullym brnęli przez gęsty las podobny do tego, szli za śpiewem ptaków, które, zataczając koła, prowadziły ich do ciała Zacha Lestera.

Maggie wspięła się na polanę na szczycie wzniesienia. Poniżej między krzewami zygakiem wił się strumień. Po drugiej stronie ciągnęły się lasy. Z góry widziała też wstęgę zapełnionej samochodami drogi międzystanowej. Teraz słyszała słaby, ale ciągły szum. Jej uwagę przyciągnął mieszczący się na dole parking.

Sięgnęła do kieszeni kurtki i wyjęła podrzuconą przez mordercę mapę, z którą się nie rozstawała. To była kopia, oryginał pozostał w ochronnym woreczku na dowody w laboratorium kryminalistycznym w Quantico.

Znała już na pamięć geometryczne kształty, równoległe i przecinające się linie. Uniosła rękę z kartką o wymiarach 20 na 28 centymetrów. Potem przeniosła wzrok na teren poniżej, przypatrując się bacznie. Nie wierzyła własnym oczom. Kiedy nagle coś zrozumiała, przeszedł ją dreszcz. Droga wokół parkingu tworzyła kształt nerki, tak jak na rysunku. Geometryczne kształty odpowiadały mieszczącym się poniżej budynkom i ławkom, i stolom piknikowym, nawet miejsca postojowe dla samochodów zostały na mapie dokładnie zaznaczone.

To było to. Pościg dobiegł końca. Właśnie do tego miejsca prowadził ich morderca.

– Maggie.

Wzdrygnęła się, choć R.J. Tully odezwał się szeptem. Ciężko oddychał, wiedziała, że to z nerwów, nie ze zmęczenia. Był w dobrej formie fizycznej. Czekala, aż wejdzie na sam szczyt i stanie obok niej.

Uniosła mapę i wskazała na teren poniżej.

– To jest to – oznajmiła.

Tully tylko zerknął. Przetarł twarz dłonią, Maggie widziała, że zacisnął zęby, nim powiedział:

– Może to koniec gry, ale koszmar dopiero się zaczyna. Znaleźliśmy czarny worek na śmieci. – Spojrzał jej w oczy i dodał: – Myślę, że w worku jest ciało.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Maggie widziała tylko fragment worka na śmieci, który wystawał spod góry ziemi. Pomimo błota i smrodu czarna folia wciąż lśniła jak nowa. W drodze powrotnej Tully wyjaśnił, jak wytropił ohydny smród, który przekonał go, że może tam leżeć ciało, chociaż większą część worka wciąż przykrywała sterta ziemi.

Maggie od razu zauważyła, że miejsce pochówku – jeśli tym właśnie było, rzecz jasna – wcale nie znajdowało się blisko dołu, w którym znaleziono czaszkę i kości. Nieforemny kopiec ziemi usypano na skraju lasu, co najmniej trzydzieści metrów od farmy.

– Wczoraj rano przekopaliśmy ten teren – oznajmił brygadzysta. – Myśleliśmy, że to tylko śmieci. Tak to śmierdziało. Nie zastanawialiśmy się nad tym. Na wsi wielu ludzi zakopuje śmieci, zamiast je spalić. Tworzą własne wysypiska. No to daliśmy temu spokój.

– Nie wydało wam się dziwne, że nie było tu żadnych innych śmieci? – spytał Tully.

Brygadzysta, który przedstawił się jako Buzz, wzruszył ramionami. Nosił nasunięty nisko na czoło kask, a okulary lustrzanki nie pozwalały zobaczyć, czy jest zatroskany, czy tylko zniecierpliwiony niespodziewaną przerwą w pracy.

Szeryf i jego zastępcy, a także ekipa budowlanców stali wokół sterty ziemi wysokiej na ponad dwa metry i szerokiej na jakieś cztery i pół metra. Sprzęt budowlany poorał ziemię, zostawił w niej między innymi głęboki na metr rów ze śladami pazurów. Jednak Tully wydawał się przekonany, że mają do czynienia z miejscem zbrodni, i kazał mężczyznom się odsunąć.

Prosił, by stanęli w odległości przynajmniej trzech metrów od tego miejsca, co Maggie uznała za pozbawione sensu. Wszelkie ewentualne dowody i tak już zostały zniszczone, przekopane, zmyte. W tej chwili kilka dodatkowych śladów stóp nie zrobi wielkiej różnicy. Poza tym żaden z mężczyzn nie wykazywał ochoty, by zajrzeć do worka. Wydawali się bardziej przestraszeni niż zaciekawieni.

Tully wyjął z kieszeni lateksowe rękawiczki, zdjął sportową kurtkę i podał ją partnerce.

– Co robisz? – spytała.

– Chcę tylko sprawdzić.

– Nie powinniśmy poczekać? – chciał wiedzieć szeryf Uniss.

Tully obejrzał się na niego.

– Na kogo? Na FBI?

Kątem oka Maggie dojrzała, że twarz szeryfa poczerwieniała.

– Może to tylko śmieci – rzekł Tully, podwijając rękawy koszuli. – Chce pan zadzwonić do mobilnego laboratorium kryminalistycznego, żeby to otworzyli i znaleźli czyjeś cuchnące odpadki?

Nikt mu nie odpowiedział. Młodszy zastępca szeryfa przeniósł ciężar ciała na drugą nogę. Maggie widziała na jego twarzy zakłopotanie. Znała tę minę. To było jego pierwsze morderstwo. Pierwsze ciało. Trudno się nie ekscytować, jednocześnie próbując ukryć szok i nudności. Chwycił się za brodę, rzucając wzrokiem dokoła.

Zaskoczyło ją natomiast zachowanie Tully'ego – zupełnie do niego niepodobne. Z nich dwojga to on był tym ważnym, który się nie spieszy. Zawsze czekał na odpowiednie władze, przestrzegał zasad. To Maggie często działała bez zastanowienia.

Co prawda podzielała jego niecierpliwość. Może to tylko przypadek, że parking przylegał do tej posesji, ale równocześnie dokładnie odpowiadał mapie. Należy też wziąć pod uwagę, że od prawie dziesięciu lat farma stała pusta. Od ponad trzech tygodni poszukiwali miejsca, gdzie

morderca grzebał swoje ofiary. Czują, że Tully ma dość czekania. Ta ziemia należała obecnie do rządu. Podlegała zatem ich jurysdykcji.

Kiedy zerknął na nią przez ramię, nie powiedziała ani słowa. Czekał, aż go powstrzyma, ale ona też chciała wiedzieć, co znajduje się w worku. Skinęła głową.

Poruszał się ostrożnie, oceniał sytuację, zastanawiał się, jak najlepiej się do tego zabrać. W zasadzie miał tylko dwie możliwości: wejść w wypełniony blokiem rów i sięgnąć worka od spodu albo wspiąć się na stertę ziemi. Wybrał to drugie.

Wyglądało na to, że jeśli Tully zrobi jeden niewłaściwy ruch, zjedzie w dół. Miał już worek na wyciągnięcie ręki, kiedy nagle się pośliznął i omal nie stracił równowagi. Uniósł nogę, prawy but zatonął w błocie. Maggie słyszała, jak Tully jęknął, ale nie zrezygnował. Był już dość blisko, wystarczyło, że się pochyli i sięgnie wyrzuczonego worka.

Jeszcze wyżej podwinął rękawy koszuli. Potem wyciągnął rękę w rękawiczce i delikatnie odgarnął grudę ziemi. Chwilę zaczekał, jakby się spodziewał, że worek sam się otworzy. Maggie spojrzała na mężczyzn, od robotników budowlanych po zastępców szeryfa. Zdawało się, że wszyscy wstrzymali oddech. Żaden ani drgnął.

Tully odgarnął kolejną grudę, potem następną. Potężna pecyna stoczyła się z kopca, odsłaniając większą część czarnego worka. Oddarty fragment folii się odchylił.

Tully sięgnął ostrożnie. Nagle odskoczył, gdy z worka wysunęła się stopa. Z palców zwisała pomarańczowa skarpetka.

Maggie słyszała, że kilku mężczyzn głośno wciągnęło powietrze, patrząc, jak w ciągu kilku sekund biała skóra zamienia się w ciemnoczerwoną. Już widziała to niesamowite zjawisko, które czasami zachodzi, kiedy zamknięte rozkładające się zwłoki zostają nagle wystawione na kontakt z powietrzem i słońcem. Sprawiało to wrażenie, jakby martwe ciało wracało do życia, jakby ten ktoś usiłował zrzucić skarpetkę i wydostać się z worka.

– Teraz już chyba możemy wezwać techników – rzekł Tully.

Wtedy usłyszała, że ktoś wymiotuje. Nie odwracając się, wiedziała, że to młody zastępca szeryfa. W końcu znalazł swoją pierwszą martwą ofiarę.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

*Na obrzeżach Manhattanu w stanie Kansas, w pobliżu autostrady I-70*

Noah nie miał pojęcia, jak długo leżał pod tą sosną. Teraz dopiero zauważył, że jest bardzo blisko tyłu niewielkiego ceglanego budynku. Słyszał gdzieś szum urządzeń elektrycznych i samochodów, choć wszystkie dźwięki dochodziły stłumione, jakby miał w uszach watę. Oddychał nierówno i chrypliwie. Bolało go w piersi, jakby nadal biegł. Jego serce galopowało, nie chciało zwolnić i złapać normalnego rytmu. Cokolwiek to znaczy.

– Eleanor, tu jest jakiś młody człowiek.

Noah wciąż leżał skulony jak płód w łonie matki. Słyszał głos, ale nawet nie próbował zobaczyć, czy osoba, która wypowiedziała te słowa, jest blisko ani czy mówi właśnie o nim.

*Proszę, żeby mnie nie zauważył. Niech sobie idzie.*

– Chyba krwawi.

*No to wpadł.*

Brakowało mu siły, żeby się dalej przczołgać, zniknąć z widoku. Nie był w stanie sięczołgać. W ogóle nie mógł się ruszyć, jego mięśnie się poddały. Pamiętał tylko, że gdy ostatnio usiłował usiąść, bolało nie do zniesienia. Więc zwinął się w kłębek, jakby chciał się stać niewidoczny. Zmaleć, zniknąć. Światło dnia zastąpiło ciemność. Po zimnej nocy zrobiło się ciepło. Umysł Noaha się wyłączył. Był zmuszony go wyłączyć.

– Nie, nie podchodź, Eleanor.

Ten mężczyzna znajdował się niedaleko, choć trzymał się w bezpiecznej odległości.

– On nie ma nawet ubrania.

*To tamten je zabrał. Wszystko zabrał.*

- Dobry Boże, tyle krwi. Oj, chyba jest poważnie ranny.

Noahowi brakowało siły, żeby powiedzieć mężczyźnie, że to nie jego krew. To krew Ethana. Albo tego, co zostało z Ethana.

*Nie myśl o tym. Nie wolno ci o tym myśleć. Przestań o tym myśleć, oddychaj, tylko oddychaj.*

– Zadzwoń pod dziewięćset jedenaście, Eleanor.

*Nie, zostawcie mnie tu w spokoju.*

Noah próbował odciąć się od głosu mężczyzny. Gdzieś w górze zaskrzeczał jastrząb. Wiatr zaszeleścił w gałęziach. Zaszczebiotały, zaćwierkały jakieś inne ptaki. Nie potrafił ich nazwać. Spadały liście. Noah łapczywie wylapywał wszystkie dźwięki, byle tylko nie słyszeć wrzasków Ethana.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

– Gdzie jest najbliższe biuro FBI? – Tully spytał Maggie.

Dołączyła do niego na szczycie kopca ziemi. Oboje stali po kolana w błocie. Z tej odległości smród był wszechogarniający, choć przesunęli się i wspięli nieco wyżej, by patrzeć na worek z góry i stać pod wiatr. Szeryf, jego zastępcy i ekipa budowlana trzymali się na dystans, po drugiej stronie rowu. Cofnęli się nawet nieproszeni. Dzięki temu nie słyszeli też wymiany zdań między agentami.

– Chyba w Minneapolis, to jakieś cztery do pięciu godzin stąd – odparła Maggie po krótkim namyśle. – Nie wydaje mi się, żeby w Iowa czy Dakocie Południowej było jakieś biuro terenowe.

– Najbliżej jest chyba Omaha. Znasz tam kogoś?

Pokręciła głową.

– Nie w biurze FBI. Ale mają tam pierwszorzędne laboratorium kryminalistyczne.

Stali obok siebie tak blisko, że jej ramię ocierało się o ramię partnera. Byli jakieś półtora metra ponad powierzchnią ziemi ze świetnym widokiem na otaczający teren. Maggie rozglądała się bacznie, oceniając wielkość farmy. Rozkopanie całego terenu byłoby trudnym zadaniem. A nie brała jeszcze pod uwagę lasów i brzegu rzeki za granicami farmy. Wiedziała, że Tully myśli dokładnie o tym samym.

– Ile tu jeszcze jest ciał twoim zdaniem? – spytał w końcu.

– Możemy się mylić, uważając, że właśnie tu porzucał ciała.

– Poproszę Alonza, żeby przysłał tu ekipę z psami – rzekł, jakby jej nie słyszał.

– Nie sądzę, żeby skarpetka należała do ofiary.

– To znaczy?

– Wygląda na nową, jest zbyt czysta. – Zauważyła na skarpetce linię załamania, jakby niedawno wyjęto ją z opakowania. Gdyby ktoś nosił ją w bucie, załamanie by zniknęło. – Czy ostatnio nie znaleziono ciała w pomarańczowych skarpetkach?

– Sprawa FBI?

– Nie, nie nasza. – Maggie usiłowała sobie przypomnieć. Przed oczami wyobraźni pojawiło się inne ciało, pomarańczowe skarpetki, las... i nagle zdała sobie sprawę, gdzie to było. – Pokazywali w telewizji – stwierdziła. – Jakiś reporter doprowadził patrol stanowy z Wirginii do ciała w lesie. Widziałeś to?

Tully przesunął do góry okulary i potarł skroń.

– Staram się nie oglądać policyjnych reality show.

– To nie był reality show. Nadali to w wiadomościach, jakieś trzy, cztery tygodnie temu.

Reporter mówił, że dostał cynk, który doprowadził go do tego miejsca. Nie pamiętam, czy był tam świadek.

– Sądzisz, że te dwie ofiary są powiązane?

Maggie nie wierzyła w przypadki. Zastanawiała się, czy drań posunął się do tego, żeby kupić pomarańczowe skarpetki. Czy to jest znak szczególny? Nie przypominała sobie jednak, by Gloria Dobson, kiedy znaleźli jej ciało, miała na sobie jakiegokolwiek skarpetki.

– Poproś Alonza, żeby sprawdził pomarańczowe skarpetki w bazie danych – rzekła. – I niech odszuka jak najwięcej informacji o tej kobiecie, którą znaleźli w Wirginii.

Tully zanotował to sobie na skrawku papieru.

– Sądząc z wyglądu skóry, ciało nie zaczęło się rozkładać – stwierdził. – Jak myślisz,



długo tu leży?

– Standardowo na świeżym powietrzu ciało rozkłada się po tygodniu. W wodzie po dwóch, a pod ziemią po ośmiu.

– To straszne, że potrafisz to wszystko tak wyrecytować.

Maggie się uśmiechnęła. Nie była z tego dumna. Nie dość, że przechowywała w pamięci takie koszmarnie szczegóły, to w każdej chwili potrafiła je odtworzyć.

Nagły poryw wiatru otworzył foliowy worek. To wystarczyło, by dojrzała w środku jakiś ruch. Oblała się zimnym potem i skrzywiła. Co gorsze, Tully to zauważył.

– Czerwie – powiedziała niemal szeptem przez zaciśnięte zęby. Nienawidziła czerwi. – Przyspieszają proces gnilny.

Czy morderca celowo rozerwał worek, świadomy, że czerwie utrudnią identyfikację ciała?

– Musimy sprowadzić mobilne laboratorium, zanim zapadnie zmierzch – rzekł Tully. Spojrzała na stojących poniżej mężczyzn. To naturalne, że podzielią się z innymi dzisiejszym odkryciem.

– I dodatkową ochronę – dodała.

– Już się robi. – Schodząc z pagórka, wyjął z kieszeni spodni telefon komórkowy.

Maggie została na miejscu. Smród już jej tak nie przeszkadzał, nie patrzyła na trzepoczący na wietrze fragment folii. Zamiast tego lustrowała wzrokiem okolicę. Szeryf powiedział, że poprzednia właścicielka zmarła przed dziesięciu laty. Czy farma cały ten czas była pusta? Jeśli tak, skąd morderca o tym wiedział? Czy po prostu szczęście mu dopisało, czy miał jakiś związek z tym miejscem?

Słońce prażyło, chmury odplynęły. Temperatura nie była zbyt wysoka, ale przynajmniej nie musieli się martwić, że spadnie więcej deszczu. Raptem uwagę Maggie przyciągnęło słońce odbijające się od jakiejś szklanej powierzchni. Budynki farmy znajdowały się około trzydziestu metrów dalej, ale coś kazało Maggie spojrzeć w tamtą stronę.

Serce jej na moment zamarło.

Zasłoniła ręką oczy przed słońcem. Na pewno się pomyliła, a jednak zaczęła schodzić z kopca ziemi, nie spuszczać wzroku z budynku.

– Szeryfie – powiedziała, obchodząc rów i stając obok niego, żeby nie podnosić głosu. – Czy ktoś ma klucze do tego domu?

– Wykonawca testamentu.

– Mógłby pan do niego zadzwonić i dowiedzieć się, jak daleko stąd się znajduje?

– To znaczy w tej chwili?

– Tak, w tej chwili. Robotnicy muszą wrócić do zabudowań gospodarczych. Powoli, proszę dopilnować, żeby nikt nie biegł.

– To znaczy w tej chwili?

– Tak.

Zostawiła go, nim zadał więcej pytań. Z zadowoleniem patrzyła, jak każe robotnikom odejść i wybiera numer w komórce. Zbliżyła się do Tully'ego i zaczęła, aż zakończy rozmowę.

Potem spokojnie oznajmiła:

– W tym domu ktoś jest.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tully chciał biec w stronę farmy, ale Maggie chwyciła go za łokieć.

– Widziałam, jak zasłona się poruszyła.

– To mogło być cokolwiek. Wiatr, przeciąg.

– W oknie od frontu coś się poruszyło. Potem zasłona wróciła na miejsce.

– Oboje jesteśmy wypompowani. Kiedy ostatnio przespaliśmy całą noc?

Tully jej nie wierzył. Zanim jednak spróbowała go przekonać, zobaczyła, że instynktownie położył dłoń na kaburze. Nie sięgnął jednak po broń. Zdjął swoją sportową kurtkę z ogrodzenia i spokojnie ją włożył.

Może Maggie była wyczerpana zbyt małą ilością snu, ale widziała kogoś w tamtym domu. W domu, który od dekady miał stać pusty. Tully ruszył przed siebie. Sprawdzi to z jego pomocą albo sama. Ruszyła w ślad za nim, dumając, jak go przekonać. Mądrzej było mieć wsparcie. Oboje znali sytuację, gdy morderca wracał na miejsce zbrodni tylko po to, by patrzeć, jak zostają odkryte jego ofiary. Widzieli też miejsca zbrodni, gdzie morderca zastawiał pułapkę na policję.

Teraz zaczęła rozumieć, czemu morderca zostawił jej mapę. Po co wysyłałby ich w pościg, który doprowadził do tego cmentarzyska, gdyby nie miał z tego radości i nie mógł ich obserwować?

Tully zatrzymał się obok koparki, a Maggie zdała sobie sprawę, że zrobił to, by ciężki sprzęt znalazł się między nimi i budynkiem. Potem powiedział cicho:

– Jasna cholera. Powinniśmy byli zacząć od przeszukania domu.

Jednak uwierzył.

– Szeryf mówił, że wykonawca testamentu jest już w drodze i zaraz tu będzie. Ma klucz.

– Ale jeśli tam są ładunki wybuchowe?

Myśleli więc o tym samym.

– To przy drzwiach, a nie oknach.

– Na pewno nie zauważył, że go dojrzałaś?

– W tej chwili niczego nie jestem pewna – przyznała.

– Siedzi tam i obserwuje całe to zamieszanie. Nie może jednak obserwować równocześnie wszystkich stron budynku.

– Rozdzielamy się?

Tully skinął głową.

– Co powiemy Unissowi i jego zastępcom?

– Żeby nie ruszali się z miejsca.

– Nie chcesz, żeby nas osłaniali?

Tully spojrzał ponad jej głową na mężczyzn zebranych obok stodoły. Maggie także zerknęła przez ramię. Brygadzysta Buzz poszedł wcześniej do lasu i teraz wracał, paląc papierosa. Robotnicy wymieniali jakieś uwagi, wskazując palcami na czarny worek. Szeryf wciąż trzymał przy uchu telefon. Zastępcy szeryfa rozmawiali przez komórki albo pisali esemesy.

– Wolę, żeby tam zostali, dopóki któreś z nas ich nie wezwie.

Maggie pamiętała młodego zastępcę szeryfa, który zwrócił lunch, i zastanowiła się, czy kiedykolwiek zdarzyło mu się użyć broni.

– Powiem im – rzekł Tully. – Może sprawdzisz te krzewy bzu, a potem wschodnią stronę domu. Ja pójdę za stodołę i wrócę od zachodniej strony.

Znów zerknęła na dom. Podwójne wahadłowe drzwi zamocowane były jakiś metr dwadzieścia centymetrów od ziemi. Pamiętała, jak wygląda ganek od frontu i boczne drzwi z zachodniej strony. Nie widziała dotąd wschodniej ściany budynku przy krzewach bzu. Jeśli okna znajdowały się wysoko, będzie musiała się natrudzić, by dostać się do środka dość szybko i tak, by nie stać się celem tego człowieka.

– O czym myślisz? – spytała w końcu Tully’ego.

Zdjął kurtkę i powiesił ją na koparce.

– Wybij szybę. Potem schowaj się gdzieś i czekaj. Jeśli ktoś jest w środku, wyrzy zobaczyć, co się dzieje. To da mi czas na wyważenie drzwi z mojej strony. Z tego, co pamiętam, nie wyglądały solidnie.

– Nie wiem, czy mi się to podoba. A jeśli on siedzi w kącie z półautomatem i czeka, aż ktoś wyważy drzwi? Może powinniśmy się wstrzymać do przybycia wykonawcy testamentu z kluczem.

– Wtedy też może siedzieć w kącie z półautomatem i na nas czekać. Albo gdy włożymy klucz do zamka, cały dom wyleci w powietrze.

– Zawsze mieliśmy taką paranoję?

Uśmiechnął się.

– Chyba tobie to zawdzięczam.

Zdjęła kurtkę i powiesiła ją na kurtce Tully’ego.

– Tylko uważaj – powiedziała. – Gwen by mnie zabiła, gdyby coś ci się stało. – Potem ruszyła w stronę krzewów bzu z nadzieją, że w budynku znajdą zabłąkanego kota.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

*Szpital Mercy, Manhattan w stanie Kansas*

Po przebudzeniu Noah ujrzał białe ściany i usłyszał szum jakichś urządzeń. Przestraszony poruszył się tak gwałtownie, że wyszarpnął igłę z grzbietu dłoni i nad jego głową rozległ się przerywany dźwięk. Jednym ruchem przesmyknął się pod barierką łóżka, ale gdy tylko dotknął stopą podłogi, przeszył go ból. Wtedy zobaczył, że jego zabandażowane nogi wyglądają jak ogromne kikuty. Na moment spanikował.

*O mój Boże! Amputowali mi stopy?!*

Do pokoju wbiegła pielęgniarka. Noah mało nie podskoczył.

*Walcz albo uciekaj.*

Wciąż kierował nim instynkt.

– Proszę przestać, zrobi pan sobie krzywdę.

Była drobna i szybka, i zadziwiająco silna, kiedy chwyciła go za ramiona. Już po chwili leżał znów na poduszkach. Zanim zaprotestował czy znów spróbował się podnieść, poczuł potężną falę nudności.

– Będę wymiotował.

Pielęgniarka nie wzdrygnęła się. Pomogła mu usiąść i postawiła na jego kolanach plastikową miskę.

Ale Noah nie miał już czym wymiotować. Głośno mu się odbijało, w ustach panowała suchość, gardło bolało. Kiedy skończył, pielęgniarka pomogła mu się położyć i przykryła kołdrą. Szpitalny strój przykleił się do spoconego ciała, Noah drżał tak mocno, że przestraszył się, iż ma konwulsje.

Nagle poczuł ukłucie igły. Do jego żył popłynął ciepły płyn. Niemal natychmiast się uspokoił, zapadł głębiej w poduszki. W głowie mu się kręciło. Serce zwolniło, choć wciąż czuł ból w piersi.

Wodził wzrokiem za każdym ruchem i każdym dźwiękiem w pokoju. Widziane jak przez mgłę zielone i czerwone lampki mrugały na sprzęcie, którego nie rozpoznawał. W drzwiach pojawiła się jakaś twarz, inna twarz pochyliła się nad jego łóżkiem – pielęgniarka. Dopiero teraz zobaczył, że było ich trzy.

*Ciężkie powieki. Nie zamykaj oczu.*

Nie chciał więcej widzieć twarzy Ethana.

Kiedy Noah znów podniósł powieki, zdawało mu się, że minęło ledwie kilka minut. Tym razem pochyliła się nad nim twarz matki. Zamrugał, żeby wyraźniej ją widzieć.

– Och, spójrz, Carl, on się budzi.

Noah obrócił głowę i ujrzał ojca, który stał przy oknie. Był z nim jakiś mężczyzna. Noah wzdrygnął się, szeroko otworzył oczy, nim zdał sobie sprawę, że tego drugiego nie zna.

– Jestem pewien, że wszystko da się wytłumaczyć – powiedział ojciec do mężczyzny.

Żaden z nich dwóch nie wydawał się tak zadowolony czy podniecony jego przebudzeniem się jak matka Noaha.

– Mam nadzieję.

Ojciec odwrócił się do Noaha, nie ruszając się od okna, a ten drugi mężczyzna zbliżył się do łóżka. Matka odsunęła się na bok, jej uśmiech zgasł.

– Jestem porucznik detektyw Lopez z wydziału policji hrabstwa Riley.

Noah słyszał lekki akcent i zerknął na ojca. Mężczyzna był od niego sporo niższy. Twarz

miał szczupłą, skórę nieco zniszczoną, pod ciasną koszulą prężyły się mięśnie.

– Wiesz, gdzie się znajdujesz, synu?

Noah przeniósł wzrok na ojca, żeby przekonać się, czy ten nie ma nic przeciw, by obcy nazywał go synem. Ojciec ani drgnął, tylko na niego patrzył, czekał na odpowiedź.

– W szpitalu – wydusił Noah.

– Pamiętasz, jak się tu znalazłeś?

Noah spojrział na matkę. Uśmiechnęła się, ale to był wymuszony nerwowy uśmiech, raczej grymas.

Potrząsnął głową.

– Pamiętasz, co się stało minionej nocy?

Kiedy nadal milczał, detektyw Lopez ponaglił:

– Na parkingu?

Noah nie chciał tego pamiętać.

*Nie mów, nic nie mów. Obiecałem, że nic nie powiem.*

Znów pokręcił głową, serce zaczęło mu walić.

– Pamiętasz, że minionej nocy byłeś w podróży? Zatrzymałeś się na parkingu?

Tym razem za szybko pokręcił głową. Widział, że detektyw mu nie wierzy.

– Kiedy cię tu przywieziono, byłeś cały we krwi.

Noah rzucił spojrzenie na ojca, który patrzył na niego twardo. Uśmiech matki znikł na dobre. Zakryła ręką usta i ściągnęła brwi. To nie był tylko wyraz troski, lecz coś innego.

– Dużo krwi – podjął detektyw Lopez. – Za dużo, żeby pochodziła wyłącznie z twoich ran.

Teraz Noah wyraźnie to usłyszał. Podejrzanie. Czy detektyw słyszy, jak serce Noaha obija się o żebra?

*Tyle krwi, krwi Ethana.*

– Ethan – odezwał się ledwie szeptem.

– Twój przyjaciel Ethan. No właśnie – rzekł teraz Lopez z łagodną perswazją.

*Nie mogę powiedzieć. Nie powiem.*

A jednak Noahowi się wyrwało:

– On wciąż tam jest.

Z twarzy rodziców i detektywa Lopeza wynikało, że sądzą, iż Noah mówi o Ethanie, on tymczasem miał na myśli szaleńca. To szalenie wciąż gdzieś tam był i dowie się, jeśli Noah coś zdradzi. Dowie się, wróci i zrobi Noahowi to samo, co zrobił Ethanowi.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Maggie wyjrzała zza gęstych krzewów. Za nią, za krzewami i drzewami znajdowało się świeżo zaorane pole. Otaczał ją zapach bzu i ziemi. Przynajmniej z przeciwnej strony nikt łatwo jej nie zaskoczy. Popołudniowe cienie nie pozwalały zajrzeć do wnętrza domu.

Widziała, że Tully rozmawia z szeryfem. Udało mu się powstrzymać Unissa przed obejrzeniem się na dom na farmie. Prawdę mówiąc, nawet gdy agent zniknął za stodołą, mężczyźni stali jakby nigdy nic.

Zerknęła na zegarek, dała Tully'emu czas, by dostał się na miejsce. Pięć minut ciągnęło się jak dwadzieścia, cały czas wpatrywała się w okna. Żadnego ruchu. Nawet najlżejszego drżenia firanki. Materiał wyglądał na dość cienki, by coś przez niego widzieć. Ale Maggie widziała tylko szaroczarny woal.

Znów spojrzała na zegarek.

Czas minął.

Spuściła wzrok i znalazła kamień wielkości pięści. Podniosła go lewą ręką, w prawej trzymała smith and wesson. To był rewolwer, którym uczyła się strzelać, została przy nim, gdy agencja przeszła na glocki. Tylko sześć kul, ale nigdy nie potrzebowała więcej, a jej smith and wesson nigdy się nie zacinał. Teraz ścisnęła go mocno, trzymając lufę skierowaną w dół i palec na spuście. Po trzech krokach znalazła się dostatecznie blisko. Cofnęła się i rzuciła kamień, choć czuła się nie w porządku, że robi to niesprovokowana.

Zaraz potem kucnęła i oparła plecy o ścianę domu. Nie tuż pod oknem, ale dość blisko, by mieć szkło pod ubłoconymi butami. Starła się zapanować nad oddechem. Ptaki ucichły. Nawet wiatr ustał.

Serce Maggie łomotało, wyciągnęła szyję, by usłyszeć, czy z wnętrza domu dochodzą jakieś dźwięki.

Coś zaszurało. Kroki? Potem coś kliknęło. Kurek strzelby? Czy może zasuwa w drzwiach? Czy ktoś wszedł do pokoju, czy z niego wyszedł? Wykańczało ją nerwowo to, że nie może wstać i zajrzeć do środka.

Tully, szybciej, gdzie jesteś?!

Wreszcie usłyszała trzask. Potem kolejny, a następnie dźwięk rozłupywanego drewna. Potem znów trzask.

– FBI! Wyjdź, żebym mógł cię widzieć!

Maggie natychmiast skoczyła na równe nogi i zajrzała przez okno. Po drugiej stronie znajdowała się sypialnia. Na kołdrze w tureckie wzory leżało rozbite szkło. Okno było zbyt wysoko, by przez nie wejść do środka, więc pospieszyła do drzwi frontowych. Znów usłyszała krzyk Tully'ego, który przesunął się w głąb domu.

Skulona biegła pod oknami na drugą stronę, aż znalazła wyważone drzwi.

Przystanęła i nasłuchiwała.

– Tully?

Odpowiedziała jej cisza.

*Jasny szlag!*

Cofnęła się, przywarła plecami do ściany. Mocniej ścisnęła broń, pochyliła się i wpadła do domu.

Pierwszy pokój wypełniało słoneczne światło. Meble osłonięte białymi pokrowcami przypomniały jej jakieś niesamowite miejsce zbrodni, białe prześcieradła na wzdętych ciałach.

– Łazienka na końcu korytarza! – zawołał Tully.

– Nic ci nie jest?

– Nic, sprawdź pokoje od frontu. Nie dotarłem tam.

Ostrożnie zdjęła kilka większych pokrowców. Powietrze wypełnił kurz, ale z ulgą odkryła, że nikt się pod nimi nie kryje. Sprawdziwszy każdy kąt i szafę, ruszyła dalej korytarzem.

Tully stał w drzwiach z glockiem u boku i palcem na spuście. Przesunął się tylko tyle, żeby Maggie dojrzała intruza. Kobieta była koło czterdziestki, długie brudne jasne włosy zwisały jej na ramiona, z rozmazanym makijażem oczu wyglądała jak szop prac. Miała na sobie tylko różowe majtki i obcisły T-shirt przylegający do wychudłego ciała, podkreślający wystające żebra.

– Coście wy za jedni, do diabła? – spytała, odsuwając z twarzy tłuste kosmyki.

Dzięki temu mogli lepiej zobaczyć jej twarz pokrytą trądzikiem i bliznami. Kilka z nich krwawiło, jakby chwilę wcześniej je rozdrapała.

– Bardziej przejęła się tym, czy zdąży spuścić coś z wodą – rzekł Tully, nie zdejmując wzroku z kobiety. – Niż tym, że ktoś się tu włamał.

– Nawet w łazience musicie mnie podglądać?

Kobieta wybuchła śmiechem, chrypliwym śmiechem palacza. Maggie dojrzała jej poczerwiałe zepsute zęby i braki w uzębieniu. To wystarczyło, by zaczęła się przyglądać jej rękom i nogom. Na przedramionach kobiety widniały kolejne blizny, ale Maggie nie widziała śladów ukłucia igłą. Starła się przypomnieć sobie coś na temat narkomanów biorących metamfetaminę. Czy są niebezpieczni? Psychotyczni? Nie zawsze wstrzykują sobie tę substancję. Kryształki palą, a proszek wdychają lub zażywają doustnie.

Maggie zerknęła przez korytarz do wnętrza sypialni, tej z kołdrą w tureckie wzory. Zobaczyła brudne tenisówki, dżinsy i stertę innych ubrań rzuconych na podłogę. Obok nich leżała duża skórzana torba na ramię otoczona przez śmieci, głównie papierki po cukierkach i puszki po wodzie.

Na toaletce znajdowała się różnaitość mniej lub bardziej wypalonych świeczek. Odrobina narkotyku wymieszała się z kurzem. Przez środek rozsypanego proszku biegła zamieciona ścieżka. Na toaletce leżały też rozrzucone jak śmieci pogniecione banknoty jednodolarowe. Po chwili jednak Maggie dostrzegła wśród nich podobiznę Benjamina Franklina i zdała sobie sprawę, że ponieważ się tam całkiem spora suma.

– Może powie nam pani, kim jest – rzekł Tully. – I co pani tu robi.

– To mój dom.

– Tak, jasne – odparł. – Bardzo mi się podoba, jak pani go urządziła. Białe pokrowce do wszystkiego pasują.

– Niech pan spyta właścicielki. Powie panu, że pozwoliła mi zatrzymać się tu, kiedy chcę.

Maggie zwróciła uwagę, że kobieta nie wyglądała na wystraszoną, nie przejęła się, że przybysze mają broń.

– Naprawdę? – odezwał się mężczyzna, który właśnie pojawił się w holu w towarzystwie szeryfa Unissa.

Miał na sobie zamszową kurtkę, dżinsy i czapkę z daszkiem. Wzrostem dorównywał szeryfowi, ale był w lepszej formie, szczuplejszy, chyba trzydziestoparoletni. Zza okularów w czarnych oprawkach patrzyły czarne dociekliwe oczy, ale twarz miał przyjazną.

– Agent Tully, agentka O'Dell – przedstawił ich szeryf. – Pan Howard Elliott jest administratorem farmy i wykonawcą testamentu zmarłej właścicielki. Innymi słowy jej ostatnim właścicielem. Rozpoznaje pan tę kobietę, panie Elliott?

– Nie.

– Proszę pani – odezwał się Uniss uprzejmie. – W tym domu od dziesięciu lat nikt nie mieszka. Skoro zna pani właścicielkę, jak ona się nazywa?

Kobieta parsknęła śmiechem.

– Jeśli nie żyje od dziesięciu lat, jak, do diabła, mam pamiętać jej nazwisko?

Mężczyźni tylko na nią patrzyli. Maggie przyłapała się na tym, że współczuje tej kobiecie.

– Może na początek proszę nam podać swoje nazwisko.

Teraz kobieta się zamyśliła, zacisnęła powieki, zmarszczki na czole dodały jej lat, wyglądała na starszą, niż wydała się Maggie.

– Helen.

– Ma pani na imię Helen? – spytał Tully.

– Nie, dupku, na imię mam Lily. Kobieta, która tu mieszkała, nazywała się Helen.

W dzieciństwie u niej przebywałam. Jak miałam trzynaście lat. Wzięła mnie na wychowanie. Była bardzo dobra.

Wszyscy przenieśli wzrok na Elliotta, oczekując od niego potwierdzenia.

– Helen i jej mąż tworzyli rodzinę zastępczą dla wielu dzieci – przyznał. – Prawdę mówiąc, jestem jednym z nich.

– Nie miałam pojęcia, że zmarła rok po moim odejściu – rzekła Lily.

W ciszy spoglądała to na jedną twarz, to na drugą.

– Zmarła przed dziesięciu laty – odezwał się w końcu Tully.

– Właśnie. Mam dopiero dwadzieścia cztery lata, dupku. Wiem, że wszyscy myślicie, że jestem starsza i seksowna.

Po tych słowach nadal panowała cisza.

– Hej, zostawcie mnie! – krzyknęła Lily, choć nikt się nie ruszył.

Była tak pobudzona, że Maggie obawiała się, iż uderzy Tully'ego.

– Nie podoba mi się, jak wszyscy ślinicie się na mój widok – mówiła Lily z powagą i wyraźną złością.

– Ślinimy? – szepnął raczej z niedowierzaniem niż z ironią szeryf Uniss.

Maggie postukała Tully'ego w ramię, żeby wyszedł z łazienki.

– Może ze mną pójdziesz, Lily – powiedziała do kobiety. – Coś na siebie włożysz. Na pewno jest ci zimno.

– Zimno? – Kobieta zarechotała, a Maggie nie mogła uciec od myśli, że jej głos brzmi jak schrypnięty zmęczony głos kogoś, kto przez dekady, nawet nie lata, dręczy i maltretuje własne ciało.

– Tu jest goręcej niż w piekle – stwierdziła Lily, odgarniając kosmyki włosów, które przykleiły się do spoconego czoła.

Maggie uprzytomniła sobie, że kobieta jest wciąż na haju. Metamfetamina działa do dwudziestu czterech godzin. Mocno uzależnieni biorą ją przez kilka dni, a nawet tygodni z rzędu. Sądząc z blizn i zepsutych zębów – choć miała dopiero dwadzieścia cztery lata – nie była nowicjuską, jeśli chodzi o narkotyki.

Lily nie opuszczało podniecenie, ale zdawało się, że chętnie wyjdzie z łazienki, ucieknie spod baczno spojrzenia mężczyzn. Obeszła Tully'ego, a Maggie pchnęła ją lekko przez hol do sypialni. Nim za nią ruszyła, wymieniła spojrzenia z Tullym. Zerknęła na Howarda Elliotta i zauważyła na jego twarzy cień uśmiechu, jakby w tej sytuacji widział coś zabawnego.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### *Panhandle, Floryda*

Ryder Creed usłyszał kroki, cichy tupot na podłodze z twardego drewna. Albo ktoś się do niego podkładał, albo nie chciał go obudzić. Tak czy owak, mało go to obchodziło. Nie chciało mu się otwierać oczu, więc tylko leciutko uniósł powieki i zobaczył słońce. Nie miał ochoty wstawać. Pogoda idealnie nadawała się do spania. Przez otwarte okno wpadał chłodny wiatr, przynosząc ze sobą wilgoć i zapach palonego drewna. Było mu zbyt dobrze i wygodnie, żeby się ruszyć, jednak wsunął rękę pod materac i zacisnął palce na rewolwerze ruger 38.

Po twarzy Creeda przejechał psi jęzor. Nie słyszał psa. Trzymał rękę pod materacem, a drugą próbował odepchnąć zwierzaka. W psim lizaniu było coś kojącego. Dopóki pies nie zaczął skomleć.

Creed otworzył oczy i zamrugał, bo światło go raziło. Czuł, jakby miał piasek pod powiekami. Wyjął rewolwer, zanim zauważył machający psi ogon. Potem ujrzał dużą czarnoskórą kobietę stojącą po drugiej stronie jego mieszkania na poddaszu.

- Jak się tutaj dostałaś? – Rozglądał się, jakby nie był pewien, gdzie jest to „tutaj”.
- Dales mi klucz.
- Mój bład. – Creed usiadł i schował broń pod materac.
- Któregoś dnia kogoś zabijesz.
- I o to chodzi.

Nagle zakręciło mu się w głowie, która wydała się nieproporcjonalnie duża i ciężka w stosunku do ciała. W ustach i gardle miał sucho. Nie mógł przełknąć śliny. Szukał wzrokiem szklanki wody i zobaczył tylko puste butelki po piwie. Hanna właśnie zaczęła je zbierać. Na podłodze wałały się też papierowe talerze z resztkami pizzy i inne trudne do zidentyfikowania resztki.

Creed kazał zbudować swoje mieszkanie na poddaszu nad pomieszczeniami psów, więc słyszał, czy któryś zwierzak się niepokoi, a czasami, kiedy potrzebował ich towarzystwa, psy były blisko, tak jak Rufus, który ostrzegł go teraz, liżąc po twarzy.

W otwartej przestrzeni z wysokim jak w kościele belkowanym sufitem mieściła się między innymi nowoczesnie wyposażona kuchnia. Podłogę zrobiono z drewna czereśniowego – chociaż trudno było stwierdzić, czy pod wałającymi się rzeczami naprawdę jest drewno. Dosłownie wszędzie wałały się ubrania i buty, sprzęt elektroniczny i teczki z papierami. Różne mapy leżały rozłożone na każdej większej powierzchni zastawionej poza tym kubkami po kawie i innymi brudnymi naczyniami. Prawdę mówiąc, nie podobało mu się, że doprowadził to miejsce do takiego stanu. Nie podobało mu się, że Hanna widzi je w tym stanie. Nie podobało mu się także, że jego widzi w takim stanie.

Chociaż ona zbytnio się tym nie przejmowała. Brud i bałagan to za mało, żeby go zostawiła. Taką przynajmniej żywił nadzieję. Poza psami Hanna była wszystkim, co miał na tym świecie.

Teraz milczała, pewnie czuła satysfakcję, że tak go przestraszyła. Z głośnym stukiem wrzucała do metalowego kosza na śmieci butelki po piwie, jedną po drugiej. Przy każdym stuku w głowie mu coś eksplodowało. Kiedy zauważyła jego skrzywione usta, uśmiechnęła się, jakby zdobyła ważny punkt.

Zebrała z podłogi kilka jego ubrań i rzuciła na stertę. Coś przyciągnęło jej uwagę. Spojrzała na Creeda twardo, po czym się pochyliła i ostrożnie podniosła jakąś część garderoby,

starając się jak najmniej jej dotykać. To były damskie figi. Różowe stringi.

– Pamiętasz może, do kogo to należy? – spytała.

– To nie twoje?

– Tylko w twoich marzeniach.

Uśmiechnął się.

Znał Hannę siedem lat, a wydawało mu się, że całe swoje życie. Ufał jej bardziej niż komukolwiek na świecie. Była jak starsza siostra, tylko jeszcze gorsza. Pięć lat temu zostali partnerami biznesowymi. Creed trenował psy i opiekował się nimi. Hanna przyjmowała zlecenia, zajmowała się księgowością, umawiała innych trenerów i przewodników.

– Żadna z kobiet się nie skarżyła – rzekł, nawiązując do majtek, które rzuciła na bok.

– To prawda – przyznała. – Te, które widzę, zawsze wychodzą stąd z uśmiechem. Pewnie nawet wtedy, kiedy wychodzą bez majtek.

Uznał, że Hanna wygląda bardziej na rozbawioną niż złą, ale wtedy znów spoważniała.

– Kiedy pijesz, zaniedbujesz firmę – rzekła, patrząc mu prosto w oczy.

– Nie martw się, wszystko jest pod kontrolą.

– Tak, tak właśnie pomyślałam, gdy tu weszłam. – Machnęła ręką, wskazując na pokój zupełnie jak Vanna White w „Kole fortuny”, kiedy pokazywała wygraną.

Creed wiedział, że nie wygra tej kłótni. Hanna miała rację. Za dużo chlał, ale próbował się bronić.

– Piję tylko w weekendy.

– Jest wtorek.

– Na pewno? – Przetarł oczy. To niemożliwe, jak mógł stracić dzień?

Popatrzyła na niego, kręcąc głową.

– Przyjęłam dla ciebie zlecenie. W Iowa wykopali jakieś ciała. Może jest ich tam więcej.

– Może wyślesz Felixa.

– Felix jest na wakacjach.

– Zdawało mi się, że wyjeżdża osiemnastego.

– Osiemnasty był wczoraj. Na pewno dobrze się czujesz?

Ironia zniknęła, teraz mówiła z troską. To niedobrze. Ryder zdecydowanie wolał sarkazm.

Kiedy milczał, Hanna podjęła:

– To był dla ciebie zły okres, Rye, zaczynam się martwić.

Szczerze mówiąc, chciał jej powiedzieć, że ma rację, wyznać, że nie może wybrać się na kolejne poszukiwanie. Nie tak szybko. Ostatnie wyciągnęło z niego wszystkie życiowe soki. Wielkie nadzieje, a potem twarde lądowanie, które omal go nie złamało. Nie zniesie fetoru kolejnego gnijącego ciała, kiedy adrenalina i oczekiwania gwałtownie rosną. Za każdym razem, przy każdym ciele myślał, czy tym razem to będzie ona? Czy w końcu znajdzie swoją małą siostrzyczkę?

Ostatnie ciało to było dziecko, mniej więcej w tym wieku co Brodie, kiedy zaginęła. Ale nawet gdy znajdował ciała dorosłych kobiet, nie wykluczał, że to może być Brodie. Tylko dlatego, że zniknęła w wieku lat jedenastu, nie znaczy, że wtedy też umarła. Istniało prawdopodobieństwo, że żyła jeszcze choć przez jakąś część piętnastu lat, jakie minęły od chwili jej zaginięcia. Każde dziecko, każda nastolatka, każda młoda kobieta, każde niezidentyfikowane ciało niosło ze sobą obietnicę i udrękę. Ilekroć udawało się zidentyfikować zwłoki i okazywało się, że był to ktoś inny, Creed czuł irytującą mieszankę ulgi i przygnębienia. Ulgi, że może Brodie żyje. Przygnębienia, bo jeśli żyje, jej życie może być piekłem na ziemi.

Podniósł wzrok na Hannę, spojrzął w brązowe oczy, które równie przekonująco okazywały mu miłość i ganiły.

– Daj mi chwilę, wezmę prysznic, a ty powiesz mi, o co chodzi.

Kiedy wstał, pokój zawirował. Zapanował nad swoim ciałem i zerknął na Hannę, by przekonać się, czy to zauważyła. Oczywiście, że zauważyła.

– Nie przejmuj się, okej? – powiedział i tym razem mówił poważnie. Kiedy to najwyraźniej jej nie przekonało, dodał: – Obiecuję, dam ci znać, kiedy masz zacząć się martwić.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Maggie wolałaby znów stać w błocie, zamiast siedzieć w tym domu i patrzeć przez okno. Właśnie przyjechało mobilne laboratorium kryminalistyczne. Widziała, jak Tully zatrzymał ich na podjeździe i skierował na miejsce, gdzie czekał worek na śmieci. Wiedziała, że nim pozwoli zacząć badania, każe technikom opowiedzieć, jak zamierzają wyjąć ciało z worka.

Po wyjściu z budynku, gdy nie przepytował Howarda Elliotta i nie wydawał poleceń szeryfowi i jego zastępcom, rozmawiał przez telefon. Dawniej Tully zawsze z przyjemnością przekazywał lokalnym władzom prowadzenie sprawy. Zawsze grał według zasad, rozumiał i akceptował swoją rolę konsultanta z zewnątrz. Dlatego teraz Maggie z zadowoleniem, ale też ze zdumieniem patrzyła, jak partner z entuzjazmem przejął kontrolę. Może po prostu cieszył się, że nie tkwi w domu z półnągą Lily.

Miała wrażenie, że tym razem szczęście jej nie dopisało. Przez dziesięć lat walczyła o to, by traktowano ją na równi z kolegami. Przez większą część czasu odnosiła sukces. Jedno spojrzenie w oczy Tully'ego powiedziało jej, że Lily to robota dla kobiety. Bez dyskusji. Bez wątpliwości. Nie dostrzegала w tym sensu, gdyż poza płcią nie miała z tą osobą absolutnie nic więcej wspólnego.

Obejrzała się na Lily, która wciąż nic na siebie nie włożyła, twierdząc, że jest zbyt gorąco i musi się ochłodzić.

– Wszędzie tu łażą te cholerne robale – powiedziała do Maggie, drapiąc strupy na rękach.  
– Nawet w moich ciuchach.

Maggie nie widziała śladu robactwa i zastanawiała się, czy to narkotyki wywołują takie halucynacje. Prawdę mówiąc, jak na miejsce od dziesięciu lat opuszczone dom był nadzwyczaj czysty. Ktoś się nim opiekował, lecz z pewnością nie ta nieszczęsna narkomanka.

Zapominając na chwilę o robakach i obsesyjnym drapaniu się, wśród rozrzuconych papierków Lily znalazła pół batonika. Przeżuwała teraz ostrożnie i z trudem orzeszki ziemne i krem nugatowy, co musiało jej sprawiać ból. Jej zęby były w dużo gorszym stanie, niż się mogło na początku wydawać.

Maggie rozejrzała się znów po sypialni. Zastanawiała się, czy Lily wciągnęła już cały zapas narkotyku, a jeśli tak, co robi, kiedy zda sobie z tego sprawę.

– Naprawdę dobrze mnie traktowała – powiedziała nagle Lily.

Maggie dopiero po chwili pojęła, że kobieta mówi o byłej właścicielce farmy.

– Długo tu mieszkałaś?

– Nie pamiętam – odparła, a jej wciąż poruszające się nerwowo ciało znieruchomiało.

Wodziła wzrokiem dokoła, jakby szukała gdzieś odpowiedzi. Przestała ruszać nogą i palcami, nawet nie zgrzytała zębami. Maggie nie mogła uciec od myśli, jak bardzo ta kobieta przypomina wychudzone, wyniszczone zwierzę.

– Czemu stąd odeszłaś? – spytała Maggie, a kiedy Lily spojrzała jej w oczy, zrozumiała, że to nie było najłatwiejsze pytanie.

Wreszcie kobieta wzruszyła kościstymi ramionami i rzekła:

– Wszyscy kiedyś musieli odejść.

– Często wracałaś? – Maggie próbowała mówić obojętnie, jak podczas zwyczajnej niezobowiązującej rozmowy, nawet odwróciła się do okna, jakby wcale nie zależało jej na odpowiedzi Lily.

– Skoro klucz jest tam, gdzie go zostawiła, to chyba nie ma w tym nic złego.

Lily wciąż przyjmowała postawę obronną. Nie tego chciała Maggie.

– Musiało się coś wydarzyć – powiedziała, czekając, aż Lily spotka się z nią wzrokiem, a potem skinieniem głowy wskazała za okno, by podkreślić, że mówi o tym, co działo się na podwórku.

Lily znów wzruszyła ramionami. Nie w geście obrony, po prostu nic ją to nie obchodziło.

– Kiedy się tutaj wcześniej zatrzymywałaś – podjęła Maggie – zauważyłaś coś nadzwyczajnego?

– Nadzwyczajnego?

– Widziałaś kiedyś kogoś na terenie farmy?

– Tylko robotników budowlanych.

– A w nocy? Jakież samochody? Światła?

– O tak, któreś nocy widziałam światła.

Maggie zachowała spokój. Tak właśnie podejrzewała. Czy Lily była tu, kiedy morderca wrzucił ciało do worka na śmieci? Albo kiedy porzucił tu inne ciała? Czy go widziała? Czy mogła zauważyć, jak wyciągał ciało z samochodu? Jak kopał grób?

Tymczasem Lily milczała.

– Widziałaś reflektory samochodu?

– Nie, światła były wyżej.

Od dawna podejrzewali, że morderca może być kierowcą ciężarówki.

– Jak w dużym ciężarowym samochodzie? – spytała Maggie, kiedy stało się jasne, że Lily potrzebuje pomocy, żeby sobie coś przypomnieć.

– Nie, wyżej.

– Reflektory punktowe?

Kobieta znów znieruchomiała w namyśle, a Maggie czuła, że traci cierpliwość. Jeżeli Lily tu była i coś widziała... Jeżeli kogoś widziała...

– Światła z nieba – powiedziała Lily. – Jasne jak gwiazdy. Dziesiątki światel.

Potem pacnęła się w nogę.

– Cholerne robaki – powiedziała, drapiąc się, aż rana zaczęła krwawić. – Kurewskie robale wlały mi pod skórę.

Wtedy Maggie zdała sobie sprawę, że jeśli nawet Lily widziała mordercę, pewnie tego nie pamięta.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Rozmawiali szeptem. Detektyw Lopez stał w drzwiach z drugim policjantem. Matka Noaha i jego ojciec stali przy oknie. Noah nie mógł słyszeć, o czym rozmawiali, bo znów słyszał Ethana. To nie były głośne krzyki. Prawdę mówiąc, raczej stłumione, jakby docierały do niego spoza szpitalnego pokoju, gdzieś z holu. Ale nie chciały całkiem ucichnąć. Świdrowały mózg Noaha, drażniły jak skrzywienie drapiących tablicę paznokci.

W pewnej chwili Noah usiadł i zakrył rękami uszy. Kołysał się do tyłu i do przodu, jęczał, błagał, żeby Ethan się zamknął. Nie zdawał sobie sprawy, co robi, dopóki nie zobaczył przerażonej twarzy matki. Zamiast wziąć go w objęcia, przytulić i pocieszyć, ścisnęła rękę ojca, jakby potrzebowała jego wsparcia, by utrzymać się na nogach.

Wtedy zdał sobie sprawę, że to nie jego dziwaczne ruchy tak zdenerwowały matkę, ale jego słowa, wypowiedane na głos, raz za razem.

*Zamknij się, Ethan. Zamknij się, zamknij się, przestań krzyczeć!*

I Noah natychmiast się zamknął.

Patrzył na rodziców i wiedział, że wygląda, jakby przyłapali go na czymś okropnym. Gdyby tylko wiedzieli.

– Powiedziałeś, że on wciąż tam jest. – Detektyw Lopez stał z boku łóżka. – Gdzie jest twój przyjaciel Ethan? – Czekając na odpowiedź, dodał: – Co mu zrobiłeś?

– Co mu zrobiłem?

Noah nie mógł uwierzyć w słowa policjanta. Przeniósł znów wzrok na rodziców.

– No dalej, powiedz mu, co się stało, Noahu – rzekł ojciec z powagą.

Uważali, że to on jest za to odpowiedzialny? Dlaczego?

– Ta krew wszędzie – rzekł detektyw Lopez. – Wiemy, że to nie tylko twoja krew.

Ale on naprawdę zrobił Ethanowi coś złego. Zostawił go z szaleńcem. To gorsze, dużo gorsze...

– Znaleźliśmy samochód Ethana. – Detektyw Lopez czekał chyba, aż Noah podniesie na niego wzrok. – Wciąż stał na parkingu. Drzwi były otwarte. Kluczyki pod siedzeniem. – Urwał, badawczo patrząc na Noaha. – Znaleźliśmy twoje ubrania, porządnie złożone na siedzeniu pasażera. Na samej górze buty.

Noah tylko na niego patrzył. Jak miał wyjaśnić, że ubranie stanowiło część umowy?

– Chłopcy się przyjaźnili – oznajmiła matka. – Od trzeciej klasy.

„Który pierwszy?” – Noah usłyszał głos szaleńca i rozejrzał się po pokoju, spojrzał ponad ramieniem rodziców, ponad ramieniem detektywa, ponad ramieniem policjanta w drzwiach. Nigdzie nie widział mordercy. Ale on wciąż siedział w jego głowie.

– Była tam też twoja komórka – mówił dalej detektyw Lopez, nie zwracając uwagi na matkę Noaha. Nie zwracając uwagi na głos w jego głowie. – Nikt nie dzwonił z niej pod dziewięćset jedenaście – rzekł Lopez. – Nikt nie wysyłał wiadomości do przyjaciół ani rodziny z prośbą o pomoc ani z informacją, że gdzieś zabłądził.

Noah znów popatrzył na mężczyznę. Czemu nie zadzwonił po pomoc? Czemu zostawił tam telefon?

Nagle sobie przypomniał. Tamten mężczyzna pożyczył od Noaha komórkę. Powiedział im, że w jego telefonie padła bateria. Jego samochód nie chciał ruszyć. Pytał, czy mogliby mu pomóc.

Te oczy. Ten uśmiech. Nie powinni byli opuszczać szyby w oknie.

To wina Ethana.

*Mówiłem ci, żebyś nie opuszczał szyby.*

– Noahu – odezwał się ojciec.

Czy znów powiedział to głośno?

Ojciec zaczął tracić cierpliwość.

– Powiedz panu policjantowi, co się wydarzyło – rzekł.

Noah zerknął na detektywa, żeby przekonać się, czy zauważył, że ojciec właśnie go zdegradował. Głupie, że zwrócił na to uwagę, ale ojciec był w tym dobry. Potrafił słowami człowieka rozbroić, nim ten zdał sobie sprawę, co się dzieje.

Jaki ojciec, taki syn.

Potem ojciec na niego warknął:

– Na Boga, powiedz mu wreszcie.

Wszystko to ani trochę nie spieszyło detektywa Lopeza, który kontynuował:

– Noahu, jeśli Ethan został poważnie ranny, możemy mu pomóc. Tylko powiedz nam, gdzie on jest.

W pokoju zaległa cisza. Szumiały tylko urządzenia. O dziwo, krzyki w głowie Noaha na moment ucichły.

– Nie wiem, gdzie jest Ethan – przyznał wreszcie. Potem dodał szeptem, żenująco bliskim płaczem: – Ale wiem, że nie żyje.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Na odwrocie wizytówki Maggie napisała numer swojej komórki i podała ją Lily.

– A to po co? – chciała wiedzieć Lily.

– W każdej chwili możesz do mnie zadzwonić.

Lily zaśmiała się, jakby usłyszała najzabawniejszą rzecz w swoim życiu. Wciąż się śmiała, gdy Maggie wyszła z pokoju, ale wzięła od niej wizytówkę.

Słońce powoli chowało się za stodołę. Maggie wróciła na stertę ziemi, gdzie pracowała technik kryminalistyki o imieniu Janet. Wydobywanie ciała okazało się żmudnym i uciążliwym zadaniem. Niemal połowa worka tkwiła w ziemi, więc z obawy, że zniszczą dowody, nie mogli go tak po prostu wyciągnąć.

Uzgodnili, że muszą odkopać worek, usuwając ziemię wiadro po wiadrze. Tully przekonał Maggie i Janet, że ponieważ są najszczupejsze z całej ekipy, jest najmniej prawdopodobne, że spowodują osunięcie się ziemi. I tak Maggie znów się tu znalazła, tym razem z ogrodniczym szpadlem, tak blisko worka, że nie mogła uniknąć smrodu ani widoku kłębiących się czerwici, ilekroć folia się odchyłała.

Pożyczyła od robotników wysokie buty, o parę numerów za duże. Buzz, brygadzysta, zaproponował jej też czapkę z daszkiem, zapewniając, że jest całkiem nowa, pokazał jej nawet wciąż zwisającą z niej metkę. To rozwiązanie wydało się Maggie prostsze niż powrót do wypożyczonego samochodu i rozpakowanie własnych rzeczy. A zatem przyjęła czapkę, zanim zauważyła wyhaftowany na przedzie napis: „Łowca nagród”.

Mogło być gorzej, pomyślała, poprawiając czapkę i ignorując uśmiezek Tully’ego.

Maggie i Janet napełniały wiadra. Pracowały ostrożnie, powoli nabierając szpadłami ziemię, gotowe się zatrzymać przy najmniejszym oporze, gdyby trafiły na coś, co ewidentnie nie jest ziemią. Buzz i trzech członków jego brygady, zastępcy szeryfa Unissa, a nawet Howard Elliott, utworzyli dwie kolejki. Kobiety podawały mężczyznom niebieskie plastikowe kubły wypełnione ziemią, a ci przekazywali je sobie z rąk do rąk, starając się nie ruszyć, żeby nie ubłocić się bardziej, niż to konieczne.

Na końcu kolejek stali dwaj technicy kryminalistyki Matt i Ryan, którzy opróżniali wiadra na wyznaczonym kawałku trawnika wielkości około metra na dwa metry. Później mieli tę ziemię dokładnie przejrzeć. W tej chwili wszyscy chcieli przede wszystkim wydobyć w jak najlepszym stanie worek na śmieci z zawartością, włożyć go do worka na ciało i wysłać do badania lekarzowi sądowemu.

– Najgorsze są miejsca zbrodni na zewnątrz – przyznała Janet.

Otarła czoło rękawem bluzy. Długie ciemne włosy związała w koński ogon, który wystawał spod granatowej czapki z daszkiem. Na gładkiej skórze widniały tylko drobne zmarszczki w kącikach oczu. Maggie zgadywała, że kobieta była jej rówieśniczką, mogła mieć trzydzieści kilka lat.

Maggie wiedziała także, że jeśli chodzi o zbieranie dowodów, Janet, niezależnie od wieku, jest weteranką, doświadczoną profesjonalistką. Zaraz po przyjeździe bez problemu przejęła dowodzenie, pozwalając Tully’emu zająć się innymi sprawami, na przykład przepływem informacji. Agent wciąż stał z telefonem przy uchu. Chwilami coś notował na czymkolwiek, co znajdował w kieszeniach. Maggie wiedziała, że później będzie usiłował odcyfrować swoje bazgroły na rachunkach ze stacji benzynowych, kartach pokładowych, nawet na serwetce pobrudzonej czekoladowym pączkiem.



– Ma pani pojęcie, kto jest w tym worku? – spytała Janet.

– Nie.

Janet spojrzała na Maggie i uniosła brwi, jakby w sytuacji, kiedy stoją po kolana w błocie, tajność informacji nie była najważniejsza.

– Od jakiegoś miesiąca namierzamy mordercę – powiedziała Maggie, ale nie zamierzała nikomu mówić o mapie, która ją i Tully’ego tutaj doprowadziła. – Podejrzewamy, że na tej farmie mógł grzebać swoje ofiary.

– Taa, słyszeliśmy o kościach.

Janet się rozejrzała. Maggie widziała, że jej uwagę przyciągnął las na tyłach farmy. Janet myślała dokładnie to samo co Maggie i Tully.

Zanim coś więcej powiedziała, Maggie podjęła:

– Niedługo będzie tu ekipa z psami poszukiwawczymi.

– Proszę pamiętać, żeby sprawdzili, czy jest tu schron przeciwsturmowy.

Tym razem Maggie uniosła brwi.

– Większość starych farm posiada takie schrony, służą ludziom podczas tornad.

W zeszłym roku w schronie znaleziono kobietę i dwoje dzieci. Mąż twierdził, że żona wyjechała i zabrała dzieci. – Janet potrząsnęła głową, wciąż tym poruszona. – Jedno dziecko było maleńkie, nie miało jeszcze dwóch lat.

Przestała kopać. Cienie połykały ostatnie promienie słońca. Nie zostało im wiele czasu, jeśli zamierzały przed zapadnięciem zmierzchu odgarnąć całą ziemię z worka. Maggie także przestała kopać, dała Janet czas, by odsunęła od siebie wspomnienie i wróciła do terażniejszości.

– Na szczęście zdobyliśmy dość dowodów, żeby przymknąć drania.

Janet posłała agentce lekki uśmiech, który był raczej podziękowaniem za zrozumienie niż wyrazem satysfakcji.

Już prawie dostały się od góry do czarnego worka, kiedy Maggie trafiła na coś twardszego niż gruda ziemi. Odłożyła szpadel i palcami w rękawiczkach odgarniała ziemię, aż ujrzała coś białego.

Janet także to zobaczyła i znieruchomiała. Patrzyła na Maggie, która powoli odkopywała coś, co okazało się kolejnym plastikowym workiem, tyle że mniejszym. Przez smugi błota Maggie rozpoznała logo jednego z większych sklepów. Janet zaczęła jej pomagać, a kiedy skończyły, usiadły na piętach. W worku zdecydowanie coś się znajdowało. Był wypakowany jak ten czarny, pod spodem. Rączki zostały niedbale zawiązane na luźny węzeł. Cuchnął zgniłym mięsem, podobnie jak ten drugi.

– Znalazłyśmy coś jeszcze! – zawołała Maggie do stojących niżej mężczyzn i natychmiast poszukała wzrokiem Tully’ego.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

### *Quantico, Wirginia*

Wydawało się, że doktor Gwen Patterson tak niedawno była w siedzibie FBI w Quantico. Jej mężczyzna i najlepsza przyjaciółka tu pracowali, więc na co dzień słyszała o tym miejscu. Ale kiedy strażnik dokładnie sprawdzał prawo jazdy – przenosząc wzrok z twarzy Gwen na plastikową kartę – zdała sobie sprawę, że tak naprawdę od ostatniej wizyty minęło siedem lat. Dawniej tylko słysząc jej nazwisko, strażnicy ją wpuszczali. Kilku z nich ją rozpoznawało i otwierało bramę, zanim opuściła szybę w oknie samochodu.

Już nie należała do rozpoznawalnych osób. I nie bez powodu. Celowo próbowała unikać tego miejsca. Ostatnim razem, kiedy pracowała jako konsultant przy prowadzonej przez FBI, dotyczącej psychotyka sprawie, młody członek sekty próbował wbić jej w gardło naostrzony ołówek.

W recepcji kontrola zaczęła się od nowa.

– Nie mam dla pani identyfikatora – powiedziała recepcjonistka takim tonem, jakby to była wina Gwen. – Do kogo pani idzie?

– Do zastępcy dyrektora Raymonda Kunze. Wydział Badań Behawioralnych.

– W jakiej sprawie? – spytała kobieta, trzymając prawo jazdy Gwen i lustrując ją wzrokiem. Była gorsza niż strażnik w budce. Gwen zastanawiała się, jak zdaniem tej kobiety dostała się aż tutaj, skoro stanowi tak wielkie zagrożenie.

Musi się uspokoić. Przeżyła trudniejsze kontrole. Ta była po prostu bardziej irytująca niż gruntowna. Stała w milczeniu, powściągając westchnienie i krzyżując ramiona na piersi. Przez większą część swojej kariery zawodowej Gwen rekompensowała sobie niski wzrost, nosząc buty na dziesięciocentymetrowych obcasach i świetnie skrojone kostiumy. Spódnice, nigdy spodnie, w ciemnych albo odważnych kolorach. Unikała pasteli. Pochodziła z Brooklynu, ale stworzyła wizerunek kobiety z klasą, której lepiej nie wchodzić w drogę. Uważała, że pewnością siebie i opanowaniem nadrabia brak dodatkowych centymetrów. Ale teraz, gdy znów znalazła się w Quantico, przypomniała sobie własną bezradność i ten ułamek sekundy potwornego strachu.

Recepcjonistka wciąż mierzyła ją wzrokiem. Gwen zdusiła niespodziewane nudności gdzieś na dnie żołądka.

– W porządku, Stacy, ręczę za doktor Patterson.

Gwen odwróciła się i ujrzała detektyw Julię Racine, która właśnie weszła frontowymi drzwiami.

– Doktor Patterson należy do specjalnego zespołu operacyjnego „Autostrada” – powiedziała Racine do recepcjonistki, która właśnie wyjmowała kolejny plik teczek.

– Szkoda, że wcześniej się mnie o takich rzeczach nie informuje. – Kobieta wydawała się mocno zirytowana, przejrzała jedną teczkę, potem drugą.

Racine stanęła do niej tyłem i patrząc na Gwen, przewróciła oczami. Gwen się uśmiechnęła, ale starała się nie okazać, jak wielką ulgę poczuła. Julia Racine była i tak dość pewna siebie, nie musiała wiedzieć, że właśnie uratowała najślynniejszą terapeutkę polityków w stolicy przed atakiem paniki z powodu zgubionego identyfikatora. Gwen nagle zdała sobie sprawę – i wcale jej się to nie podobało – jak bardzo się zmieniła od ostatniego pobytu w tym miejscu. Co się z nią stało?

Od dnia pięćdziesiątych urodzin jej życiem zaczął rządzić chaos. Zamiast skupić się na swoich osiągnięciach, myślała tylko o zmianach, jakie w niej zaszły, o tym, że często była

zmęczona, humorzasta i wątpiła w siebie. Nie tylko w siebie, ale w swoje wybory, swoją pracę, swój związek, swoje życie.

*Skup się na tu i teraz, do jasnej cholery!*

– Więc pani też należy do zespołu – powiedziała Gwen, kiedy obie z Racine podpisały się i przypięły identyfikatory.

Pozwoliła Racine prowadzić, choć jeszcze pamiętała drogę do sali konferencyjnej Wydziału Badań Behawioralnych.

– Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa, od którego to się zaczęło. Pamięta pani podpalenia w lutym? Trzy magazyny i kościół w Arlington?

– Oczywiście. – Ten sam podpalacz, zanim zniknął, podpalił dom Maggie O'Dell, przyjaciółki Gwen.

– W przejściu obok jednego z magazynów znaleźliśmy ciało.

Racine otworzyła drzwi do kolejnego korytarza i przytrzymała je, puszczając Gwen pierwszą. Ta uprzejmość zaskoczyła Gwen. O Racine wiele można było powiedzieć, ale nie to, że ma dobre maniery. Chciała uchodzić za twardzielkę, co podkreślała, nosząc spodnie, skórzane kurtki i ostrzyżone krótko włosy, które nadawały jej wygląd stale poirytowanej. Jednak T-shirt pod kurtką nie ukrył pełnych piersi, a spodnie tylko zwracały uwagę na długie zgrabne nogi.

– Ciało – podjęła Racine – należało do Glorii Dobson. Jesteśmy prawie pewni, że ona i jej towarzysz podróży zostali zamordowani na parkingu w Wirginii, tuż przy międzystanowej.

– Pamiętam, jak Tully i Maggie o tym rozmawiali.

Gwen na wszelki wypadek nie wspomniała, ile wie na temat tej sprawy. Wciąż się denerwowała, przypominając sobie, z jakim przejęciem Tully opisywał miejsce zbrodni, na które natknęli się z Maggie niedaleko parkingu.

R.J. Tully był doświadczonym agentem FBI. Jedną z najbardziej zrównoważonych i opanowanych osób, jakie znała. Widział naprawdę brutalne zbrodnie, więc skoro ta scena nim wstrząsnęła, musiała być prawdziwym koszmarem. Teraz razem z Maggie gdzieś na Środkowym Zachodzie szukali mordercy, który zmasakrował ciało młodego silnego mężczyzny i porzucił w stolicy zwłoki Glorii Dobson ze zmiażdżoną twarzą.

Jako członek specjalnego zespołu Gwen miała poznać więcej szczegółów, czy tego chciała, czy też nie. Tak pewnie myślała Racine, która w drodze do Wydziału Badań Behawioralnych przez pomieszczenia służące do szkoleń zapoznawała ją ze sprawą. Gwen tylko raz współpracowała z Racine, wówczas detektyw nie okazała się tak rozmowna. Prawdę mówiąc, słowo „współpracowała” nie było najlepszym określeniem. Racine uparcie twierdziła, że Gwen utrudnia dostęp do dowodów i pracę policji.

Przede wszystkim ich znajomość była dziełem przypadku i okoliczności, a nie wyboru. Zawdzięczały ją też wspólnej przyjaciółce, Maggie O'Dell. Gwen wiedziała, że Racine traktuje ją uprzejmie bardziej przez wzgląd na Maggie niż na nią samą.

W sali konferencyjnej na Gwen i Racine czekało już trzech mężczyzn. Zastępca dyrektora Raymond Kunze wskazał im miejsca po drugiej stronie stołu. Kunze był potężnym mężczyzną z szerokimi barkami i potężną klatką piersiową oraz grubą szyją ściśniętą wiśniowym krawatem. Fioletoworóżowa sportowa marynarka nadawała mu niepoważny klaunowaty wygląd, chociaż nie miał w sobie nic zabawnego.

Wszyscy w pokoju już się znali.

– Poprosiłem doktor Gwen Patterson, żeby dołączyła do naszego zespołu – wyjaśnił Kunze. – Jako doświadczony psycholog sądowy i w pewnym sensie outsider – urwał i zwrócił się do Gwen, szybko dodając: – Bez urazy.

– Ależ skąd – odparła.

Czemu wszyscy traktowali ją tak niesamowicie grzecznie, jakby była rozpadającą się staruszką? Poprzedniego dnia robiła coroczne badania. Może jest po prostu przewrażliwiona. Ale ufała też swojemu instynktowi i żałowała, że się na to zgodziła.

– Liczę, że doktor Patterson wniesie do naszej pracy świeże spojrzenie – powiedział do zebranych zastępca dyrektora Kunze.

Gwen uśmiechnęła się świadoma, że to nie do końca prawda. Choć Kunze faktycznie zaprosił ją do współpracy, to nie był jego pomysł. Zmusił go do tego pewien liczący się senator. Sprawa stała się głośna. To właśnie senator Delanor-Ramos przeforsował w senacie stworzenie specjalnego projektu „Zabójstwa przy autostradzie”. W tych czasach wszystko, co dotyczyło stolicy, wiązało się z polityką. Praca doktor Patterson w zespole mogła być sprzedawana jako świeże spojrzenie, ale Gwen wiedziała, że w rzeczywistości chodzi o krycie senatorskiego tyłka. Jeśli projekt szybko nie przyniesie wymiernych rezultatów, to ona zostanie kozłem ofiarnym.

– Doktor Patterson pracowała z FBI przy kilku sprawach – wyjaśniał zebranym zastępca dyrektora. – Zna ludzi i nasze metody pracy.

Podczas gdy Kunze kontynuował, Gwen zastanowiła się, czy znajomość otoczenia, ludzi i metod może w równym stopniu przeszkadzać, co pomagać. W końcu jej mężczyzna oraz najlepsza przyjaciółka także zostali przydzieleni do tego zespołu. Gwen dręczyła obawa, że Kunze powitał ją z takim entuzjazmem, by wykorzystać jej osobę przeciw Tully’emu i Maggie. Zastępca dyrektora, odkąd zajął to stanowisko, zamienił życie obojga agentów w prawdziwe piekło na ziemi. Dlatego właśnie motywy Kunzego, łatwość, z jaką zgodził się, by narzucono mu obecność Gwen, budziły jej podejrzenia.

– Zna pani już detektyw Julię Racine – ciągnął Kunze. – Komenda policji była tak łaskawa i nam ją wypożyczyła.

Gwen знаła również Keitha Ganę, szefa laboratorium kryminalistycznego FBI. Wysoki chudy agent miał na sobie biały laboratoryjny fartuch, wystrzępiony przy mankietach. Długie siwe włosy związał w koński ogon, co wzmocniało jego wizerunek naukowca samotnika. Gwen często słyszała, jak Maggie nazywała Ganę dobrodusznym geniuszem, który w grudce ziemi czy drobnym kłaczku dostrzegał więcej niż jakikolwiek inny znany specjalista od wykrywania dowodów.

Po raz pierwszy za to Gwen spotkała Antonia Alonza. Przystojny młody czarnoskóry mężczyzna nosił prostokątne szkła bez oprawek i fioletową rozpinaną koszulę z porządnie podwiniętymi rękawami. Kunze nazwał go komputerowym czarodziejem, który na co dzień zajmuje się systemem komputerowym zwanym Programem Ścigania Brutalnych Przestępców. Młody człowiek wydawał się niespieszony pochwałami, natychmiast wzbudzając sympatię Gwen.

Pomimo tych wszystkich pochwał dla nowoczesnych technologii, kiedy Kunze wreszcie usiadł i rozpoczął zebranie, zwrócił ich uwagę na staroświecką papierową mapę Stanów Zjednoczonych – około metra wysokości na półtora metra szerokości – wiszącą na tablicy. Różnokolorowymi pinezkami zaznaczono na niej ważne miejsca, gdziekolwiek było po kilka pinezek naraz, w innych miejscach pojedyncze.

– Wszystkie te pinezki reprezentują prawdopodobne ofiary morderstw popełnionych w ciągu ostatnich dziesięciu lat przy drogach międzystanowych. A przynajmniej część z nich odnaleziono. Wszystkie zostały wprowadzone do bazy danych pod hasłem „Zabójstwa przy autostradzie”. Wiele z tych ofiar to ludzie, którzy prowadzili nieustabilizowane czy ryzykowne życie: prostytutki, narkomani i dilerzy, autostopowicze, nastolatki, które uciekły z domu. Ale około dwustu z nich to zwykli podróżni, jak Gloria Dobson i Zach Lester.

– Celem powstania naszego zespołu – ciągnął zastępca dyrektora – jest wspomaganie lokalnych sił porządku publicznego, pomoc w odnalezieniu potencjalnych związków między

tymi morderstwami. Do tej pory trudno to było ustalić, gdyż wiele ofiar zniknęło w jednym stanie, a ich ciała odnajdowano w innym. System autostrad ze swojej natury stanowi wyjątkowe wyzwanie. Pomyślcie o tym w ten sposób – miejsce zbrodni jako coś niestałego. Drogi międzystanowe to szybkie i łatwe drogi ucieczki. Nim ciało zostanie znalezione, morderca może już być pięćset czy sześćset kilometrów dalej. – Zawiesił na chwilę głos. – Od momentu stworzenia bazy danych zatrzymano i skazano dwóch seryjnych morderców. Obaj byli kierowcami ciężarówek. Uważamy, że w tej chwili działa kilku seryjnych morderców, którzy znajdują łatwe ofiary na parkingach dla samochodów osobowych i ciężarowych.

– Mówiąc kilku, tak naprawdę ilu ma pan na myśli? – spytała Gwen.

Kunze nie wahał się ani chwili.

– Przypuszczalnie dziesięciu.

Rozejrzała się wokół stołu. Nikt nie drgnął, słysząc tę liczbę.

– Nie mówi pan poważnie – rzekła. – Twierdzi pan, że na drogach może obecnie działać dziesięciu różnych seryjnych morderców? Że swobodnie poruszają się autostradami? Zatrzymują się na parkingach i wybierają sobie ofiary? I tak po prostu uchodzi im to na sucho?

– Tak, właśnie to mówię. Wierzymy, że agenci O'Dell i Tully są w tej chwili na tropie jednego z nich. Ten gość zabił Glorię Dobson i Zacha Lestera. Naszym zdaniem zabił więcej osób. Do jego schwytania wyznaczono specjalną grupę.

Kunze przetarł oczy i chwycił palcami grzbiet nosa. Wtedy właśnie Gwen zauważyła, że jest zmęczony i próbuje zbagatelizować frustrację.

Popatrzył po twarzach zebranych i z cieniem złości rzekł:

– On wyzwiał nas na szczególny pojedynek. Mamy pewnie tydzień czy dwa, zanim drań po prostu zmieni drogę. Wybierze inną część kraju. Zmieni swoje zwyczaje. Kiedy tak się stanie, znów nam zniknie. Jedno jest pewne: nie przestanie zabijać.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

*Iowa*

Maggie już się domyślała, co zawiera biała reklamówka.

Razem z Tullym zostawili ją technikom kryminalistyki. Stali teraz u stóp kopca ziemi i patrzyli, jak Ryan, wyższy z dwu techników, niesie reklamówkę, którą podała mu Janet. Oboje zachowywali wielką ostrożność, jakby mieli do czynienia z chińską porcelaną.

Kiedy Maggie pomogła Janet odkopać reklamówkę, podniosła ją i pomacała. Była pewna, że są tam dwie torby, jedna w drugiej. W środku znajdowała się spora twarda masa. Maggie zauważyła też, że na dnie reklamówki coś chlupotało. Oceeniła wagę na cztery i pół do pięciu kilogramów i domyślała się, co w niej jest.

Teraz, gdy torby nie oblepiało już błoto, łatwo było na niej zobaczyć logo Walmartu.

– Jej zawartość nie musi mieć nic wspólnego z zawartością tego dużego worka – rzekł Matt, drugi technik, ale nawet gdy to mówił, przygotowywał pokrowiec, w jaki zwykle pakowano ciała, bo spodziewał się, że znaleźli ludzkie szczątki.

Maggie spojrzała na mężczyzn. Oczywiście nikt nie wierzył, że w foliowej torbie znajdują się zakupy zrobione pod wpływem impulsu w całodobowym sklepie. Wszyscy byli ciekawi, ale panowała nerwowa cisza. Wraz z zapadającym zmierzchem robiło się chłodno. Maggie czuła sprzeczne emocje ludzi – chcieli zobaczyć, co jest w reklamówce, a jednak może woleliby tego nie wiedzieć.

Z początku zastanawiała się, czy powinni z Tullym poprosić, żeby wszyscy się odsunęli. Prawdę mówiąc, była zdumiona, że Tully, który zwykle przestrzegał zasad, sam tego nie zasugerował. Ale wszyscy spędzili to popołudnie, kopiąc w błocie, przekonani, że robią coś ważnego, i wszyscy znosili kwaśny smród. Maggie nie zamierzała być tą osobą, która im powie: „Dzięki za pomoc, ale nie zobaczycie tego, co z takim oddaniem i trudem staraliście się wykopać”.

Na środku czarnego worka na ciała biała reklamówka wyglądała mniej groźnie. Matt i Ryan czekali na Janet. Włożyła czystą parę fioletowych lateksowych rękawiczek i przyklekła. Rączki torby były luźno związane. Rozwiązanie ich nie powinno sprawiać żadnego kłopotu. Janet odcięła węzeł i włożyła go do woreczka na dowody, który podstawił jej Matt.

Gdy tylko reklamówka została otwarta, smród się zwiększył.

Maggie zerknęła na młodego zastępcę szeryfa, który wcześniej wymiotował. Jaką różnicę robi jedno popołudnie obcowania z zapachem śmierci! Młody człowiek patrzył teraz obojętnie i nawet mu się nie odbiło.

Janet lekko rozchyliła worek, by zajrzeć do środka. Ani drgnęła. Nie wzdrygnęła się. Jedyne, co dało się zobaczyć na jej twarzy, to rozczarowanie. Przykucnęła i pozwoliła kolegom zajrzeć do worka. Potem przeniosła wzrok na Maggie i Tully'ego.

– Domyślam się, że to należało do ofiary, która jest w czarnym worku – powiedziała Maggie, nie pochylając się ani nie podchodząc bliżej.

Czuła wcześniej ciężar reklamówki i rozpoznała zapach rozkładającego się ludzkiego ciała. Przed miesiącem w lesie za parkingiem w Wirginii razem z Tullym znaleźli inną ofiarę tego mordercy. Nie zawsze, ale często, morderca powtarza pewne rzeczy, tworzy pewien schemat, wzorzec zachowań. Ciało Zacha Lestera leżało pod drzewem, jego jelita zostały rozwieszane na niższych gałęziach. Morderca odciął mu głowę.

Maggie słyszała, jak Tully westchnął z ulgą. Kątem oka widziała, że zacisnął zęby. On

także pozostał na miejscu.

Janet włożyła do reklamówki prawą rękę i delikatnie, powoli wyjęła... kawałek papieru. Niemal w jednym momencie mężczyźni wypuścili wstrzymywane powietrze. Janet podała skrawek papieru Mattowi, który trzymał kolejny woreczek na dowody, ale zanim schował do niego papier, przyjrzał mu się.

Pokazał go Ryanowi, a ten spojrzał na Maggie i Tully'ego.

– Chyba chcielibyście na to spojrzeć.

Matt włożył skrawek papieru do przezroczystego szczelnie zamykanego woreczka. Z kieszeni kurtki wyjął marker, zdjął zębami nakładkę, żeby nie używać ręki, którą trzymał wciąż woreczek. Na woreczku napisał datę i numer, nałożył nakładkę na marker i podał woreczek Maggie.

Natychmiast zrozumiała, dlaczego Matt nie chciał głośno mówić, co takiego znalazł. Choć nie kazali robotnikom budowlanym ani ludziom szeryfa się odsunąć, ta informacja musiała pozostać między nimi.

Maggie wzięła do ręki foliowy woreczek, a Tully włożył okulary. To był paragon ze sklepu, w dość dobrym stanie, choć w rogu zaplamiony czymś rudoczerwonym. Ktoś położył go na samym wierzchu reklamówki, by łatwo go znaleźli. Paragon pochodził ze sklepu, którego logo znajdowało się na białej reklamówce. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła Maggie, były duże litery na środku paragonu: „Sprzedanych artykułów: 1”. I nazwa owego artykułu: „SKARPETKI 8.98 USD”.

Wcale się nie ucieszyła, że miała rację. Pomarańczowe skarpetki nie należały do ofiary. Zostały jej włożone później, najprawdopodobniej po śmierci.

Maggie szukała wzrokiem adresu sklepu. No cóż, numer powinien wystarczyć, by go zidentyfikować. Na paragonie widniało również nazwisko kierownika sklepu oraz telefon. Zdziwiła ją data. Skarpetki kupiono dwa tygodnie wcześniej. To znaczyło, że ciało nie leżało tam tak długo, jak wstępnie podejrzewali. To także znaczyło, że zostało pochowane po tym, jak znalazła odręcznie narysowaną mapę, która stała się pretekstem do poszukiwania mordercy.

Podała Tully'emu foliową torebkę z paragonem, żeby też mu się przyjrzał. Patrzyła na niego, czekając na reakcję. W ciągu kilku sekund doszedł do tego samego wniosku co Maggie, a gdy spojrzał jej w oczy, widziała, że myślał to samo co ona.

Tam bez cienia wątpliwości znajdowało się więcej ciał.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Ryder Creed sączył kawę z jednego z trzech termosów, które Hanna przygotowała mu na tę wyprawę. Nie kłopotał się przelewaniem kawy do kubka-zakrętki. Podróżował już prawie osiem godzin. Łatwiej było pić prosto z termosu.

Zerknął w tylne lustro. Za nim, na psim pośłaniu, które zajmowało połowę tylnej części dzipa, leżała Grace. Jej pusta buda i ich sprzęt zajmowały drugą połowę. Pies od czasu do czasu podnosił łeb, jakby pytał: „Długo jeszcze?“, a potem z powrotem układał się na pośłaniu. Creed nie słyszał głębokiego oddechu snu, wiedział zatem, że Grace tylko leży i czuwa. Bez przerwy stawiała jedno ucho. Większość psów rozumiała, że długa jazda samochodem oznacza pracę u kresu drogi. I jakoś instynktownie wiedziały, że muszą oszczędzać energię.

Creed żałował, że nie ma psiego instynktu. Minione siedem lat trenował psy i pracował z nimi, ale w porównaniu do tego, czego one go nauczyły, jego lekcje pozostawały bez znaczenia.

Grace była jednym z jego mniejszych psów, zadziornym brązowo-białym Jack Russell terierem. Creed znalazł ją zwiniętą pod jedną z dwóch podwójnej szerokości przyczep, które trzymał na posesji dla wynajętych pracowników. Była potwornie chuda, skóra i kości, ale brzuch jej wisiał, czyli niedawno musiała karmić szczeniaki. W resztkach sierści, której nie straciła z powodu niedożywienia, roiło się od pcheł. Creed wpadł wtedy w taką wściekłość, że chciał w coś walnąć... albo w kogoś. Nie pierwszy raz natknął się na porzuconą ukaraną sukę, której właściciel był po prostu zbyt skąpy, by ją wysterylizować.

Miejscowi przyzwyczaili się podrzucić niechciane psy na końcu podjazdu Creeda. Wiedzieli, że albo je do siebie weźmie, albo znajdzie im dom. Tak wyglądała ich pokrętna litość. Mogli albo zostawić psa pod tylnymi drzwiami Creeda, albo oddać go do najbliższego schroniska, gdzie prawdopodobnie zostałyby uśpiony.

Ilekcję przynosił do domu zagłodzonego czy kulejącego porzuconego psa, Hanna przewracała oczami. Potem mówiła mu, że ludzie zwyczajnie wykorzystują jego miękkie serce.

– Dobry Boże – mówiła mu. – Za pieniądze, które wydajemy na ich leczenie, moglibyśmy zatrudnić weterynarza.

– Masz absolutną rację – zgodził się ku jej zdumieniu. I zanim Hanna nacieszyła się zwycięstwem, licząc, że położyła kres nieznośnemu zwyczajowi przyjmowania porzuconych psów, Creed zatrudnił weterynarza na pełny etat.

Chodziło o to – czego Hanna nigdy nie doceni i nie zrozumie tak jak on – że porzucone psy, które uratował, należały potem do najlepszych psów poszukiwaczy. Talent psa to tylko jeden z elementów ułatwiających szkolenie. Drugi to więź z trenerem. Uratowane psy ufały Creedowi bezgranicznie i były niezmiernie lojalne. Chciały się uczyć i pragnęły go zadowolić.

Chociaż Grace została porzucona, szybko zaadaptowała się do nowego otoczenia. Nie kulila się ze strachu. Kiedy już doszła do formy, Creed zauważył, że tropi z zapalem i entuzjazmem. Była niezależna, ale szła za nim i patrzyła na Creeda nie tylko jak na tego, od którego oczekiwała pochwały, ale także jak na przewodnika. I co najważniejsze, przeszła jego test numer jeden – szalala na punkcie piłki.

To była sztuczka, którą Creed sprawdzał, czy psy nadają się do pracy z nim. Czy zwykła tenisowa piłeczka przyciągnie ich uwagę? Czy będą wzrokiem śledzić każdy jej ruch? Czy wskoczą po nią do wody? I wreszcie, kiedy już ją złapią, czy będą ją dobrze trzymać? Przy tego rodzaju pracy chodziło głównie o zapal, a Grace śpiewająco zdała test z piłeczką.



Chociaż już tyle lat trenował psy, ciągle jeszcze się dziwił, jak bardzo właściciel wpływa na nastrój i zachowanie zwierzaka. Kiedy Creed zaczynał się wiercić i szukał jakiegoś miejsca, żeby po drodze się zatrzymać, zauważył, że Grace częściej podnosiła łeb.

– W porządku, dziewczyno – mówił jej.

Creed znał ten odcinek autostrady I-55 i ciemność mu nie przeszkadzała, wiedział, że za jakieś trzy kilometry zostawią za sobą stan Missisipi i wjadą do Tennessee. Unikał zatrzymywania się na parkingach w Missisipi. To był jeden z niewielu stanów, gdzie na parkingach byli ochroniarze. Coś, co powinno być zaletą, Creed uważał za utrapienie, a samą nazwę „ochroniarz” za kiepski żart. Jedyne, czego pilnowali, to tego, gdzie pies może się wysikać, a gdzie mu tego nie wolno. Creed chciał, żeby psy pobiegały i powęszyły bez ochroniarzy jeżdżących za nimi wózkami i mówiących mu, żeby został w miejscu oznakowanym jako miejsce dla zwierząt. To miejsce liczyło sobie zwykle jakieś pięć na siedem metrów zwiędłej trawy, więc Creed czekał, aż minie niebiesko-biały znak z napisem: „WITA WAS TENNESSEE, STAN OCHOTNIKÓW”.

Potem zaczął się rozglądać za parkingiem, gdzie mógłby się zatrzymać, nim dotrze do Memphis.

Wolałyby jechać całą noc. Grace nie miałyby nic przeciw. Psy zawsze wymagały mniej przystanków na zaspokojenie swoich potrzeb niż Creed. Wszystko przez kawę. Niechęć do zatrzymywania się miała niewiele wspólnego z tym, że Creedowi zależało na czasie. Prawdę mówiąc, nie lubił parkingów, ani tych dla samochodów osobowych, ani tych dla ciężarówek.

Prawdę mówiąc, teraz parkingi, zwłaszcza te dla ciężarówek, stały się miniaturowymi miasteczkami z kawiarniami i niewielkimi, często samoobsługowymi sklepami. Na niektórych znajdowały się nawet czynne całodobowo zakłady fryzjerskie. Kierowcy ciężarówek mieli gdzie wziąć prysznic, obejrzeć telewizję, skorzystać z internetu i wypożyczyć łóżko na godziny, żeby przespać się poza szoferką. Można tam było również kupić narkotyki, jeśli wiedziało się, gdzie szukać. Późnym wieczorem pojawiały się kobiety, które przechadzały się od ciężarówki do ciężarówki i stukaly w drzwi.

W przeciwieństwie do parkingów dla osobowych, te dniem i nocą były pełne, wielkie tiry wjeżdżały i wyjeżdżały, silniki szumiały bez ustanku, piszczały hamulce.

Creed unikał tych miejsc.

Te dla samochodów osobowych stanowiły nie mniejsze wyzwanie. Niezależnie od tego, ile lat minęło od zniknięcia jego siostry, ilekroć Creed się zatrzymywał – zwłaszcza w środku nocy – powracało wspomnienie tamtych wydarzeń. Wystarczył zapach diesla i dźwięk hamulców hydraulicznych.

Creed wiedział, że pojawiające się potem ataki paniki mogło wywołać najmniejsze wspomnienie paniki z przeszłości. Coś tak zwyczajnego jak zapach czy dźwięk. Od lat nie doświadczył pełnoobjawowego prawdziwego ataku, ale ostatnio czuł, że jest już blisko. Wyczerpanie, stres, niepokój – to wszystko się do tego przyczyniało. Tylko w tym miesiącu pracował w trzech miejscach zbrodni. Ofiarami były młode kobiety. Za każdym razem, gdy przychodziło zlecenie, Creed upierał się, że sam pojedzie, zamiast wysłać kogoś z pracowników.

Może przez jakiś czas powinien unikać takich spraw. Zająć się tylko zleceniami dotyczącymi poszukiwania i ratowania. Skupić się na sprawach związanych z narkotykami. Poświęcić więcej czasu na szkolenie psów. Miał dobrą rękę do psów. Potrafił nauczyć je wywęszyć niemal wszystko – od zagubionych dzieci przez kokainę aż do bomb. Psy rozumiał. Ludzi trochę mniej.

To, co zaczęło się jako pełne desperacji poszukiwanie jedenastoletniej siostry, zamieniło

się w odnoszącą sukcesy firmę, i to sukcesy, jakich się nie spodziewał. Miał listę agencji ochrony bezpieczeństwa publicznego z całego kraju, które czekały na jego psy i usługi. Stać go było na zatrudnienie większej liczby osób i wycofanie się czy poświęcenie czasu i energii na co innego. Co najważniejsze, wiedział, że musi odpocząć i odzyskać siły, i to szybko, dla własnego spokoju. Ataki paniki nie były jedynymi emocjami, których starał się do siebie nie dopuszczać. Czuł w środku pustkę, która – jeśli będzie się powiększała – w końcu go udusi.

Gdy tylko Creed zjechał z międzystanowej, Grace usiadła. Zjazd na parking skręcał w dół, znaleźli się na zalesionym terenie, który osłaniał ich przed ruchem na autostradzie. Droga rozwidlała się: na prawo dla osobowych, na lewo dla ciężarówek.

Znał to miejsce. Podczas kilku innych podróży się tu zatrzymywał, ale ledwie wjechał na parking, zobaczył coś, co przyprawiło go o ciarki. Obok piętrowego ceglanego budynku dojrzał potężnego mężczyznę, który trzymał za rękę małą dziewczynkę i prowadził ją na parking dla ciężarówek, gdzie wielkie samochody wypełniały każdą wolną przestrzeń.

Creed starał się zapanować nad oddechem. Wilgotne od potu dłonie zacisnął na kierownicy. Jeśli mógł zdoła głęboko oddychać, zdusi panikę. Nie zdejmował wzroku z tamtej pary.

Czy mężczyzna prowadzi dziewczynkę? Czy może ją ciągnie?

Jak ma to rozstrzygnąć w ciemności?

Para na przemian znikła w cieniu i pojawiała się w świetle pojedynczych latarni, których, gdy szli w głąb parkingu, było coraz mniej.

Creed powiedział sobie, że musi się uspokoić. Nie może wtrącać się za każdym razem, kiedy zobaczy coś, co jego zdaniem wygląda podejrzanie. I tak serce nie przestanie mu łomotać.

Wówczas zauważył, że dziewczynka ma na nogach tylko skarpetki, lśniąco białe na tle czarnego asfaltu. Była bez butów.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Maggie i Tully zaproponowali, że postawią wszystkim kolację i drinki. Nawet Lily.

Technicy kryminalistyki zabrali czaszkę i trzy długie kości. Załadowali ciało i głowę, zamykając je w osobnych szczelnych torbach. Janet upierała się, żeby na powietrzu nie otwierali czarnego worka, a Maggie jej przytaknęła. Rozdarcie dosyć im odsłoniło. Otwierając bardziej, mogliby zniszczyć dowody i z całą pewnością zakłócić działanie czerwi. Choć Maggie nie znosiła obrzydliwych robali, grały one ważną rolę przy określeniu czasu zgonu. Najlepiej zostawić je w spokoju, by technicy zajęli się nimi w laboratorium, gdzie lekarz sądowy zbada z kolei ludzkie szczątki.

Technicy nie przyjęli zaproszenia na kolację. Wracali do Omaha, czekały ich prawie dwie godziny jazdy.

Szeryf Uniss wyznaczył nowych ludzi do zabezpieczenia farmy. Dwaj jego zastępcy zdecydowali się wracać do domu. Szeryf i jeden młody zastępca, podobnie jak Howard Elliott i Buzz ze swoją załogą, dołączyli do Maggie i Tully'ego.

Lily zgodziła się podjechać z nimi na parking dla ciężarówek, ale oznajmiła, że nie jest głodna. Maggie podejrzewała, że narkotyk przestaje działać. Gdy tylko dotarli na miejsce, zanim agentka się zorientowała, Lily zniknęła z widoku. Kobieta doskonale wiedziała, dokąd się udać. To była jej przystań.

Od niemal dwóch godzin siedzieli w barze z grillem, ale tylko Maggie i Tully coś jedli. Nie mieli też okazji nikomu nic postawić. Mężczyźni po kolei stawiali wszystkim drinki. Przysiadło się do nich kilku kierowców ciężarówek, na środku baru zsunęli cztery stoliki. Kierowcy nieźle się bawili, ucząc Maggie i Tully'ego swojego żargonu, co pomogło rozluźnić atmosferę i poprawić nastrój.

Chociaż Maggie i Tully prosili zastępców szeryfa i robotników budowlanych, by co najmniej przez dwadzieścia cztery godziny nie opowiadali o tym, co widzieli na farmie, Maggie wiedziała, że po paru drinkach mężczyźni o tym zapomną. Może brzmi to dziwnie, lecz miała nadzieję, że w razie czego podzielią się swoim szokiem wywołanym uciętą głową, zapominając o pomarańczowych skarpetkach. Choć skarpetki wydawały się bez znaczenia, ich rola w tej sprawie okaże się kluczowa.

Teraz, gdy już zjedli, Maggie zauważyła, że partner został w tyle, gromadząc przed sobą butelki piwa. Wyglądało też na to, że nie tknął frytek. Owszem, burgery były ogromne i pełne dodatków, ale to zwykle nie powstrzymywało Tully'ego przed podkradaniem nawet jej frytek. Siedzieli obok siebie, Maggie wciśnięta między partnera i szeryfa Unissa, tak blisko, że uderzali się łokciami. Szeryf dyskutował z jednym z kierowców o cenach benzyny i związanej z tym polityce.

Maggie wzięła frytkę z talerza Tully'ego, by zwrócić jego uwagę.

– Wszystko gra? – spytała i wskazała na stojące przed nim trzy butelki piwa, z których tylko jedna była napoczęta, a pozostałe nietknięte. Tully siedział na rogu stolika i miał mnóstwo miejsca, w przeciwieństwie do pozostałych. Prawdę mówiąc, Maggie położyła tam swoją czapkę z napisem „Łowca nagród”, żeby jej nie przeszkadzała.

– Powtarzam im, żeby mi więcej nie przynosili.

– I nie jesteś głodny?

Wyjął z kieszeni spodni szczelnie zamkniętą foliową torebkę i pokazał jej ze dwanaście białych pigulek.

– Mam chore zatoki. Muszę łykać antybiotyk, ale ciągle zapominam.

Powściągnęła uśmiech. Cały Tully. Wrzucił do kieszeni opakowanie leków i nosił je ze sobą, żeby nie zapomnieć ich połknąć. Ale faktycznie nie wyglądał najlepiej, oczy mu łzawiły, twarz miał zaczerwienioną i pokrytą kropelkami potu. Nagle Maggie zrozumiała, że to pewnie dlatego tak dziwnie się wcześniej zachowywał.

– Powinieneś zdjąć te mokre zabłocone ciuchy i położyć się do łóżka.

Gdy siedzący naprzeciw Howard Elliott i zastępca szeryfa na nią spojrzeli, zdała sobie sprawę, że powiedziała to zbyt głośno. Nawet jeden z kierowców, który stał przy narożniku stolika, uśmiechnął się do niej.

Zamiast poczuć zażenowanie, Maggie nachyliła się do Tully'ego, a on do niej.

– To chyba dobra pora, żeby wyjść – stwierdziła. – Wszyscy myślą, że się do ciebie przystawiam.

Spojrzał na nią z błyskiem w oku i uśmiechnął się.

– Zarezerwowałem dwa pokoje w Super 8 niedaleko stąd – oznajmił.

– Brzmi bardzo romantycznie. Mogę zjeść twoje frytki? Potem wyjdziemy.

Z uśmiechem skinął głową. Patrzył, jak Maggie wyciska na talerz keczup i zaczyna swój rytuał zanurzania i przeżuwania. W końcu nawet do niej dołączył.

– „Trzy A” trafił na wyroby pończosznicze – rzekł cicho, niemal szeptem, jakby podjął grę. – Później ci przekażę szczegóły.

Pomarańczowe skarpetki. Powstrzymała się przed powiedzeniem tego głośno i przypomnieniem o nich mężczyznom. Ale spytała:

– „Trzy A”?

– Och, wybacz, tak nazywam agenta Alonza. Na imię ma Antonio.

– To dawna sprawa?

– Z ostatniego miesiąca. Miałaś rację. Ofiarą była kobieta. Porzucona w lesie niedaleko parkingu.

– Trafił na jakieś inne sprawy?

– Dotąd tylko na jedną.

Tully ziewnął, co uprzytomniło Maggie, jak bardzo był zmęczony. Oboje mieli za sobą długi dzień.

– To może przeprosimy towarzystwo i się wyniesiemy? – zaproponowała, a on się zgodził.

Kiwnęła głową szeryfowi Unissowi. Wcześniej ustalili strategię na następny dzień. Tully obiecał zadzwonić do szeryfa z samego rana. Potem życzyli wszystkim dobrej nocy i wstali. Maggie wyciągnęła rękę po czapkę. Na rogu stolika jej nie było. Rozejrzała się, spojrzała na podłogę i pod stół. Czapka zniknęła. Ktoś pewnie wziął ją przez pomyłkę. To bez znaczenia. Wzruszyła ramionami i poszła za Tullym.

Kiedy wsiadała do wynajętego samochodu, po drugiej stronie parkingu dostrzegła Lily krążącą po placu, gdzie na noc parkowały ciężarówki. Kobieta wyjechała z farmy ubrana w dopasowane dżinsy i obcisłą bluzkę, która podkreślała sterczące żebra i kościste ramiona. Przez ramię miała przewieszoną dużą torbę. Zastukała w drzwi jednej z ciężarówek. Kierowca w kabinie pokręcił głową, opuścił szybę i coś do niej powiedział. Lily nie czekała, aż to usłyszy, i ruszyła do kolejnego auta.

Tully także ją zauważył, a kiedy usadowili się w samochodzie, powiedział:

– Proponowałem, że podwiozę ją do schroniska dla kobiet.

– To jest jej schronienie. Nie zauważyłeś, jaką ulgę poczuła, gdy znów się tu znalazła?

– Myślisz, że widziała coś na farmie?

– Nie wiem – odparła Maggie. – Ale metamfetamina pewnie wymazała to z jej mózgu.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Creed przypiął do paska nowy pojemnik z gazem pieprzowym. Rewolwer zostawił w kaburze pod siedzeniem.

– Chodź, Grace – powiedział do psa, sięgając po smycz, i wysiadł z dżipa.

Już po kilku sekundach spieszyli ścieżką, skrótem wokół toalet i punktu informacyjnego, który prowadził prosto do tej części parkingu, gdzie były miejsca postojowe dla ciężarówek z naczepą.

Grace rozumiała, że szli z jakąś misją. Truchtała obok Creeda, niuchając i w oczekiwaniu na polecenia, podnosząc na niego wzrok.

Mężczyzna i dziewczynka powoli zbliżali się do celu, osiemnastokółowej ciężarówki w rogu parkingu. Bursztynowe reflektory oświetlały całą długość pojazdu. Silnik cały czas pracował, słyszeli jego szum. W kabinie za przednią szybą Creed dojrzał jakiś ruch. Więc będzie musiał stawić czoła dwóm mężczyznom. Instynktownie sięgnął pod kurtkę i położył rękę na pojemniku z gazem pieprzowym. Miał nadzieję, że nie pożałuje, iż nie wziął broni.

Z tak bliskiej odległości Creed widział, że dziewczynka płacze. Mężczyzna trzymał ją za prawą rękę, lewą wycierał jej nos. Creed miał rację – była w samych skarpetkach. Bez butów.

Tętno Creeda szalało. Owładnęło nim przekonanie, że musi się spieszyć.

Grace szła obok niego, wciąż podnosząc na niego wzrok, patrzyła przed siebie, a potem znów na Creeda, czekając na sygnał. Ani razu nie zaskomliła ani się nie zawahała. Nawet widząc, że kierują się w stronę dziecka, nie okazała dodatkowego podniecenia, choć psy zawsze inaczej reagują na dzieci. Pozostała skupiona na Creedzie.

On z kolei nadal nie był pewien, czego powinien wypatrywać. Nie znał wielu dzieci, nie spędzał z nimi czasu. Jego doświadczenie z dziećmi ograniczało się do wspomnień związanych z siostrą i dwóm synów Hanny, za małych, by porównywać ich do tej dziewczynki. Zgadywał, że miała dziewięć albo dziesięć lat. Może jedenaście, ale nie więcej. Brodie miała jedenaście lat. Tak, ta dziewczynka wyglądała na rówieśniczkę Brodie. Czy o to chodzi? Czy tylko dlatego w jego głowie i piersi odezwał się alarm? Tylko dlatego, że przypominała mu Brodie?

Liczył na instynkt Grace.

Zbliżając się do nich, Creed próbował ocenić mężczyznę. Wzrostu Creeda, ale na oko cięższy o ponad czterdzieści kilogramów, nie był jednak gruby, tylko atletycznie zbudowany.

Creed miał sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, szerokie ramiona, wąską talię, długie ręce i nogi – niczym zawodowy pływak. Kilka lat wcześniej, kiedy Hanna stwierdziła, że firma jest wypłacalna i przynosi stały dochód, Creed dobudował do swojego kompleksu kryty (podgrzewany i klimatyzowany) basen olimpijski. Pozwoliło mu to włączyć ratownictwo wodne i poszukiwanie w wodzie do listy swoich specjalności, a także zadbać o kondycję fizyczną i psychiczną. Od dziecka pływanie stanowiło dla niego jedyną ucieczkę, jedyną rozrywkę, która sprawiała mu przyjemność. Teraz stało się czymś ważniejszym. Skakanie do wody i bycie w wodzie ożywiało wszystkie jego zmysły. Ale Creed miał świadomość, że pływanie nie jest sportem, który przygotowuje do awantur.

– Przepraszam pana – rzekł Creed, nim wymyślił, co powiedzieć do kierowcy.

Mężczyzna zatrzymał się, zerknął przez ramię, jakby myślał, że Creed zwraca się do kogoś innego. Gdy przeniósł wzrok na Grace, jego oczy mówiły, że nie lubi psów. Może nawet się ich boi.

Wyglądał młodziej, niż Creed wcześniej myślał. Raczej nie był od niego starszy. Musiał

być przed trzydziestką, a co najwyżej miał trzydzieści lat.

– Mój pies bardzo lubi dzieci – skłamał Creed. – Ciągnie mnie do pańskiej córeczki. Chyba tęskni za moją córką.

Pochylił się i pogłaskał Grace, a robiąc to, wskazał na dziewczynkę. Grace zrozumiała sygnał i zamachała ogonem, ucieszona, że w końcu dostała zadanie. Skupiła uwagę na dziewczynce, pochyliła łeb i obwąchiwała ją z daleka.

– Widzisz, już się uśmiecha – rzekł Creed do dziewczynki, która z podziwem patrzyła na psa i też się uśmiechała.

Creed wciąż stał pochylony obok Grace i patrzył na mężczyznę. Z tej perspektywy wydawał się mniej groźny, ale gdyby teraz chciał prysnąć mu w twarz gazem pieprzowym, musiałby pryskać do góry i mógłby też trafić w twarz dziewczynki. Trzymając rękę na grzbiecie Grace, drugą wsunął pod kurtkę i zacisnął palce na pojemniku z gazem.

– Mogę pogłaskać psa, tatusiu?

Creed nie musiał wiele wiedzieć na temat dzieci, żeby słyszeć, że dziewczynka mówi prawdę. Nazywając mężczyznę tatusiem, powiedziała to niewymuszenie, normalnym tonem. Ale mężczyzna wciąż patrzył na Grace z obawą. Czy chodziło tylko o psy, czy coś ukrywał?

Zanim Creed znalazł odpowiedź, usłyszał, że drzwi kabiny za jego plecami otwierają się i zamykają z trzaskiem. Ani drgnął, ale palce zaczęły go świerzbic.

– Bonnie kocha szczeniaki, prawda, kochanie? – usłyszał kobiecy głos.

Creed obejrzał się.

Szła do nich młoda kobieta w dżinsach i dżinsowej kurtce.

– Czy może pogłaskać pieska? – spytała Creeda.

– Oczywiście.

Kobieta dała znak dziewczynce, a ta mało się nie rzuciła na Grace z czułościami.

– Powoli, nie wystrasz pieska. Delikatnie. Tak.

Kobieta podsunęła Grace rękę do powąchania. Czekwała na pozwolenie. Potem pogłaskała psi grzbiet. Dziewczynka powtórzyła gesty matki, chichocząc, kiedy w końcu dotknęła Grace.

– Bonnie uwielbia psy – powiedziała kobieta do Creeda.

– W tym tygodniu nie ma szkoły? – spytał jakby nigdy nic.

– Przerwa wiosenna. Pomyśleliśmy, że spodoba jej się, jak pojedziemy z Rodneyem.

Pokaże Bonnie, co robi przez cały tydzień, kiedy go nie ma w domu.

Teraz mężczyzna się uśmiechał, patrząc na dziewczynkę.

– Widzisz, Rodney, tylko dlatego, że ty się boisz psów...

– Nie boję się.

– Kiedy był dzieckiem, pies go zaatakował, więc im nie ufa – wyjaśniła kobieta i zwróciła się do męża: – Nie wierzę, że zabrałeś ją do łazienki bez butów!

– Nie chciała ich włożyć, a potem płakała, że ma mokre skarpetki.

Im bardziej para się sprzeczała, tym bardziej Creed się uspokajał.

Wyglądali na normalną rodzinę.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Wsunął dwa rachunki do kieszeni w tylnej części okładki swojego dziennika, potem przewrócił kartkę i zanotował:

„Wtorek 19 marca

22.47

Pilot Plaza 354, Sioux City, Iowa”.

Właśnie napełnił zbiornik na paliwo i zrobił szybki przegląd. Był gotowy znów wyruszyć w drogę. Wciąż czuł adrenalinę. Nie tylko słyszał, co wszyscy sądzą o jego pracy na farmie, ale w końcu stanął twarzą w twarz z Margaret O'Dell.

„Sroczka: z bliska jeszcze piękniejsza. Bardziej wyjątkowa”.

Postawił jej nawet piwo... prawdę mówiąc, wszystkim postawił piwo. Obserwowanie, jak pije, sprawiło mu zdumiewającą przyjemność. Teraz w dzienniku odnotowywał szczegóły.

„Piwo jasne z browaru Samuel Adams”.

Podobało mu się, jak machnęła na oszronioną szklankę, wołała pić z butelki. Zapisał, jak i co zamówiła do jedzenia:

„Cheeseburger średnio wypieczony z serem cheddar, bekonem, dodatkową porcją pikli, frytki i dużo keczupu”.

Dziękowała kelnerce, ilekroć ta coś jej przynosiła, zauważyła, że kelnerka ma na imię Rita, i tak się do niej zwracała, patrząc jej w oczy. Nikt poza nią nie zwracał uwagi na kobietę, która cały wieczór ich obsługiwała.

Widział również, że Maggie zostawiła suty napiwek, choć ktoś inny płacił rachunek. Powinien był być szybszy. Pragnął jej też postawić kolację, ale ktoś go wyprzedził, i nie chciał już robić zamieszania.

Aż do tego dnia obserwował Margaret O'Dell tylko z daleka, ale czuł, jakby ją znał od lat. Od pierwszej chwili, gdy ją ujrzał, zrozumiał, że są bratnimi duszami. Nie, ładne kobiety wcale tak łatwo nie robiły na nim wrażenia. Teraz, by zwrócić na siebie jego uwagę, nie wystarczyła ładna buzia. Poza tym tak jak Maggie był profesjonalistą.

W minionym miesiącu obserwował ją na miejscu zbrodni, w magazynie w stolicy, który został podpalony. Widział też tego dupka, który podłożył ogień. Ten sam dupek podpalił później dom Maggie. Gdyby działo się to na jego oczach, gość byłby już wyzerką dla czerwii. Nigdy nie rozumiał fascynacji ogniem.

Tamtej nocy znalazł się w tym magazynie tylko dlatego, że w alejce obok porzucił ciało. Czasami lubił tak robić. Potem kręcił się po okolicy, żeby tam być, gdy ktoś odkryje dzieło jego rąk. Kiedyś zadzwonił nawet pod 911 i doniósł, że znalazł ciało, by móc potem obserwować pierwsze reakcje. Nie, nie robił tego, żeby się podniecić tak jak niektórzy skurczysyni. Przyglądając się pracy śledczych, wiele się uczył, starał się być dość blisko, by słyszeć ich rozmowy i widzieć, jakie dowody zbierają.

Bywało, że tak jak tego wieczoru wpadał do baru, gdzie zaglądali policjanci. Wystarczyło postawić im parę drinków i zaczęli opowiadać różne historie. Czas, który spędził w ich towarzystwie, przyglądając się im i wysłuchując ich opowieści, okazał się bezcenny. Pomógł mu wprowadzić wiele zmian, udoskonalić metody, zmieniać schematy działania. Lubił nowe wyzwania.

Kiedy po raz pierwszy zobaczył Maggie – na miejscu zbrodni w Waszyngtonie – od razu wiedział, że ona też lubi wyzwania. Obejrzał w CNN poświęcony jej program i dowiedział się, że



matka czasami nazywała ją Sroczką. Wtedy właśnie zdał sobie sprawę, że są bratnimi duszami. Jego matka uważała, że sroka przynosi szczęście. To jedyny ptak, który nie chciał wejść na pokład arki Noego, przycupnął tylko na dachu. Taki odważny, całkiem jak on. Ciekawy wszystkiego, poszukujący, uczący się, analizujący. Jak by to było zmierzyć się ze sroką?

Właśnie dlatego zostawił jej mapę, dlatego dołączył skarpetki – chociaż nie znosił powtarzać oczywistych schematów. Pragnął, by go znalazła, pragnął dzielić się z nią swoim dziełem. Rzucił jej wyzwanie. Chciał się przekonać, jaka jest naprawdę. Wybadać ją i przygotować na to, co zaplanował. Miał nadzieję, że go nie zawiedzie.

Nagle zobaczył Lily, która właśnie szła przez parking rozczochrana i zgarbiona pod ciężarem torebki. Co za żalosne stworzenie. Pukała do kabin niemal wszystkich ciężarówek, odważyła się zapukać nawet do tej, która miała na szybie napis: „TIRÓWKOM WSTĘP WZBRONIONY”. Teraz wracała do głównego budynku parkingu dla ciężarówek.

Zapalił silnik. Zaproponuje, że ją podwiezie. Lily rozpozna go z farmy i nie będzie się wahać. Jeżeli się nie zgodzi, obieca, że da jej dwadzieścia dolarów, chociaż nie chciał, żeby go dotykała. Jej zapadnięte policzki i włosy jak gniazdo szczurów budziły w nim wstręt. Dlatego nie zadawał się z takimi kobietami. Nie wyobrażał sobie, by była zdolna się bronić, nie wspominając już o psychologicznej grze, którą tak lubił. Lily z pewnością z ulgą przyjęłaby śmierć. Nie znosił takiego podejścia. Ale musiał spojrzeć na to inaczej, jako na konieczność.

Sięgnął po czapkę z daszkiem, którą wziął z baru. Powąchał ją od wewnątrz, wypełniając płuca zapachem włosów Maggie. Włożył czapkę na głowę i natychmiast poczuł się dobrze, bo dzięki tej czapce bardzo się do niej zbliży.

Potem zatrzymał się obok tirówki i opuścił szybę.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Maggie przywykła już do hotelików i moteli przy drogach międzystanowych. Większość z nich oferowała podstawowe usługi, niektóre proponowały też darmowy internet. Dla Maggie najważniejsze było, żeby pokój okazał się czysty. Oczy Tully'ego błyszczały – choć nawet nie skończył burgera, bo nie był tak głodny – kiedy w holu zobaczył tabliczkę z napisem, że w cenie pokoju jest śniadanie kontynentalne, które w hotelu Super 8 nazywano Super Startem.

Tully'emu nie udało się zarezerwować dwóch sąsiednich pokoi. Patrząc na parking, trudno było się temu dziwić. Nawet część na tyłach szczelnie wypełniały autobusy i ciężarówki różnej wielkości – od osiemnastokółowych tirów po furgonetki. Wcześniej, w barze, słuchając opowieści kierowców, którzy się do nich dosiedli, Maggie dowiedziała się, co oni wożą. Na parkingu hotelu dostrzegła ciężarówki przewożące jedzenie, drewno i samochody. Najwyraźniej wielu kierowców nie sypiało na tyłach swoich pojazdów.

Tully dał jej pokój na trzecim piętrze, a sam zajął ten na pierwszym. Nie czuł się dobrze, więc nie zdziwiła się, że zastukał niespełna dwadzieścia minut po tym, jak weszła do pokoju. Zdjęła już zabłocone ubranie i była tylko w koszuli nocnej i majtkach. Uchyliła drzwi z nadzieją, że zapomniał tylko coś jej powiedzieć, lecz Tully wyglądał na zmartwionego.

– Z Gwen wszystko okej? – spytała.

– Nie rozmawiałem z nią dziś wieczorem, ale na pewno wszystko jest w porządku. Położyłaś się już? – Spuścił wzrok na jej gołe nogi, jakby do tej pory nie przyszło mu to do głowy.

– Jeszcze nie, ale właśnie miałam się kłaść. Zaczekaj minutkę.

Zamknęła drzwi, podeszła do torby, którą zostawiła na podwójnym łóżku, wyjęła z niej dzinsy i włożyła je. Na bosaka zawróciła do drzwi i zastanowiła się, czy nie włożyć biustonosza. Koszulka z logo drużyny Packersów sięgała do połowy uda i była szeroka. Niczego nie odkrywała ani nie sugerowała. Poza tym to Tully. Otworzyła drzwi.

Tym razem wszedł bez wahania. W jednej ręce miał komórkę, w drugiej notes. Maggie tylko zerknęła i przekonała się, że to firmowy notes hotelu. Tully dzwonił gdzieś wcześniej. Wyniki tej rozmowy nie były godne zanotowania, za to go zirytowały.

– Dowiedziałeś się czegoś?

– Janet zaczęła badać zawartość worka na śmieci.

Przeszedł na drugą stronę pokoju i lekko odsunął zasłonę, tyle tylko, by zerknąć na zewnątrz. Maggie już sprawdziła parking na dole, na tyłach budynku. Tully jednak nie interesował się tym, co dzieje się za oknem. Roznosiła go nerwowa energia i pokój był dla niego za mały. Maggie usiadła na rogu łóżka.

– Morderca zostawił w worku prawo jazdy tej kobiety – rzekł. – Ciało jest poważnie okaleczone, nie wspominając już o odciętej głowie, ale skurwysyn zostawił dla nas prawo jazdy ofiary.

– To dziwne. Wcześniej zostawił pomarańczowe skarpetki i paragon.

– Och, to jeszcze nie jest wcale dziwne. Wendi Conroy zaginęła w zeszłym miesiącu. Jej samochód znaleziono na parkingu przy drodze I-95. W Wirginii. – Urwał. – Na parkingu na północ od Dale City.

Odwrócił się od okna i spojrzał jej w oczy, czekając na reakcję. Oboje znali ten parking. Znajdował się niespełna osiem kilometrów od domu Maggie, a raczej tego, co zostało z jej domu w Newburgh Heights w Wirginii.

– To znowu Albert Stucky – stwierdził Tully.

– To do niego niepodobne. – Była wściekła, że samo wspomnienie jego nazwiska przyprawia ją o dreszcze. Skrzyżowała ramiona i pomasaowała je, nim zdała sobie z tego sprawę.  
– Nie znam Wendi Conroy. Nie znałam też Glorii Dobson ani Zacha Lestera.

Albert Stucky wybierał za cel ataku kobiety, które miały jakiś kontakt z Maggie: dziewczynę, która dostarczyła jej pizzę, kelnerkę, która ją obsługiwała, jej agentkę nieruchomości. Potem w miejscu, gdzie łatwo było to znaleźć i zaszokować tego, kto na to trafił, w pojemniku na jedzenie na wynos zostawiał jakąś część ich ciała.

– To do niego niepodobne – powtórzyła, jakby sama siebie musiała przekonać. Później, by poprawić Tully’emu nastrój, dodała: – Nie zostawił nam żadnych pojemników na jedzenie na wynos.

– Nie, tylko worki na śmieci i okaleczone ciała.

Zaczął nerwowo krążyć wąską ścieżką między łózkami i stolikiem pod telewizor, od okna do drzwi.

– Kiedy zostawił ci mapę, pomyślałem, że zrobił to, bo widział ten program o tobie w CNN i wiedział, że zajmujesz się podpaleniami i sprawą Dobson. To miało tyle samo sensu, co jego cudaczna gra z nami. Ale to coś więcej. – Przystanął w pół kroku i podniósł na nią wzrok. – On ma obsesję na twoim punkcie. Tak jak Stucky.

– Stucky chciał mnie skrzywdzić.

– Skąd wiemy, że ten tego nie chce?

– Bo miał już mnóstwo okazji. – Przez sekundę czy dwie zastanowiła się nad tym. Odkąd zaczęli ścigać tego mordercę ani razu nie czuła się zagrożona. – Wydaje się, że bardziej zależy mu na tym, żeby pokazać nam swoje dzieło niż na skrzywdzeniu któregoś z nas. Może chce zostać złapany.

– Zostawił ci mapę mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zabrał Wendi Conroy z parkingu. Parkingu, który znajduje się osiem kilometrów od twojego domu w Wirginii. Zamiast zostawić jej ciało gdzieś w pobliżu, przewiózł je prawie dwa tysiące kilometrów do Iowa i tam pogrzebał, bo wiedział, że tam je znajdziesz. Po drodze zatrzymał się i kupił parę pomarańczowych skarpetek, które jej włożył. Zostawił ci paragon ze sklepu. W oddzielnym worku z głową tej kobiety. Czy to wygląda na gościa, który chce zostać złapany?

Tully miał rację. Oboje studiowali przypadki i spotykali morderców, którzy bawili się w „złap mnie, jeśli potrafisz”.

– Teraz, kiedy tak to przedstawiłeś – odparła – faktycznie nie wygląda na kogoś, kto chce zostać schwytany, a raczej na kogoś, kto się popisuje.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

*Waszyngton DC*

Gwen w ciemności po omacku szukała dzwoniącej komórki. Zwykle kładła ją na szafce nocnej. Nie zapaliła nawet światła w salonie, idąc z sypialni, wyrwana z głębokiego snu.

– Gwen Patterson, słucham?

– Obudziłam cię, wybacz.

To była Maggie.

– Wszystko gra? Z R.J.-em w porządku?

– Wszystko gra. Zapomniałam, że jesteśmy w innej strefie czasowej. Mogę zadzwonić rano.

– Nie, nie ma sprawy. Nie śpię.

Gwen przeczesła ręką zmierzwione włosy i zapaliła światło. Spojrzała na zegar na kominku. Minęła północ. Spała tylko pół godziny, a zdawało jej się, że całą noc. Przetarła oczy i opadła na skórzany fotel.

– Gdzie jesteście?

– Tuż za Sioux City, w Iowa. Znaleźliśmy to.

Gwen usiadła prosto. Maggie nie musiała jej tłumaczyć, o czym mówi.

– Na farmie za parkingiem przy międzystanowej – ciągnęła Maggie. – Trzeba przekopać kawał ziemi. Częściowo jest to teren zalesiony, i wzdłuż rzeki. Nie jestem nawet pewna, czy możemy pominąć pola i pastwiska. To wiele dziesiątek hektarów, do których miał dostęp. Idealna kryjówka. Kilka opuszczonych budynków do dyspozycji, gdzie można przenocować. Musiał tylko unikać ćpunka tirówki.

– Kogo?

– Prostytutki. Kierowcy ciężarówek tak je nazywają. Zastaliśmy ją na farmie. Długa historia.

Gwen słyszała zmęczenie w głosie przyjaciółki.

– Na imię ma Lily. Mieliśmy z Tullym nadzieję, że coś widziała. Ale nie, niestety. Przynajmniej na razie nic nie pamięta.

– Lily tirówka.

– Ciało, które znaleźliśmy, było zapakowane w foliowym worku na śmieci – kontynuowała Maggie. – Cóż, w każdym razie większa część. Głowa znajdowała się w osobnym worku, w reklamówce, zaraz obok tamtego. Morderca zostawił nam też kolejną wskazówkę do dalszej gry.

Na wspomnienie odciętej głowy Gwen poczuła mdłości. Kiedy ostatnio pracowała przy sprawie zabójstwa, też mieli do czynienia z odciętą głową. Na domiar złego ofiarą była jej recepcjonistka.

Gwen zaczęła się poważnie zastanawiać nad słusznością decyzji dołączenia do specjalnego zespołu operacyjnego „Autostrada”. Prowadziła znaną i odnoszącą sukcesy praktykę, wysłuchiwała zwierzeń elit Waszyngtonu – generałów i polityków, żon i mężów, przerabiając ich emocjonalną chwiejność, ich nałogi, ich dysfunkcyjne dzieciństwo. Czasami ją to wykańczało, ale rzadko przerażało czy powodowało nudności. Czy naprawdę chce znów zajmować się zbrodniarzami? Grzebać w ich psychopatycznych umysłach i oglądać ich krwawe dzieło? Może po prostu już się do tego nie nadaje?

– Gwen?

Nagle zdała sobie sprawę, że nie słyszała ostatnich słów Maggie.

– Gwen, nic ci nie jest?

– Wszystko dobrze. – Potem, wiedząc, że przyjaciółka będzie się martwić, dodała: – Chyba nie jestem tak całkiem przytomna. Co powiedziałaś? Co zostawił?

– W reklamówce ze sklepu, gdzie kupił pomarańczowe skarpetki, zostawił nam paragon. Uświadomiła sobie, że straciła więcej niż jedno zdanie Maggie.

– Pomarańczowe skarpetki?

– Ofiara miała na sobie pomarańczowe skarpetki. Od razu widziałam, że wyglądają na nowe. Najprawdopodobniej kupił je i włożył tej kobiecie, zanim schował jej ciało do worka i zakopał. Jestem pewna, że skarpetki są dla nas. To kolejny fragment tej chorej układanki.

Gwen wstała i idąc przez kolejne pokoje, po drodze zapalała światło. Mijając drzwi wejściowe, sprawdziła zamki. Zajmowanie się tymi sprawami wywoływało całe mnóstwo kompulsywno-obsesyjnych odruchów. Owszem, dwa razy sprawdziła alarm, ale nagle zapragnęła, by pokój wypełnił się światłem. Żeby cienie i ciemne kąty zniknęły.

Otworzyła lodówkę i wyjęła butelkę wody. Zbyt gwałtownie jednak odkręciła nakrętkę i prawie połowę wylała, podczas gdy Maggie mówiła o znaczeniu pomarańczowych skarpetek.

– Tully rozmawiał z agentem Antoniem Alonzem. Poznałaś go?

– Mieliśmy dzisiaj długie spotkanie. Robi wrażenie.

– Jest prawdziwym geniuszem. Potrafi zebrać informacje w niewiarygodnie krótkim czasie. – Maggie na moment przerwała. – Pamiętałam, że nie tak dawno była taka sprawa, gdzie też pojawiły się pomarańczowe skarpetki. W zeszłym miesiącu w Wirginii odkryli w przepuście szczątki kobiety. Zaginęła ponad rok wcześniej. Przepust znajdował się na bocznej żwirowej drodze niedaleko międzystanowej.

– Rok? Jak ją znaleźli?

– Jakiś więzień dał cynk reporterowi z telewizji.

– Możliwe, że to morderca?

– Nie, ten siedzi za podpalenia – odparła Maggie. – Zdaniem Alonza Otis P. Dodd nikogo nie zabił. Prawdę mówiąc, wygląda na to, że bardzo starał się nikogo nie skrzywdzić. Siedzi za spowodowanie w Wirginii ponad trzydziestu pożarów. Ostatnim razem podłożył ogień w domu spokojnej starości, a jednak udało mu się to tak zrobić, że żaden z mieszkańców nie ucierpiał.

– Okej. Skoro siedzi, skąd wiedział o kobiecie w przepuście?

– Według Alonza Otis twierdzi, że spędził z jakimś gościem interesujący wieczór. Trochę za dużo wypili i tamten przyznał się do zamordowania kobiety. Otis powiedział ekipie z telewizji, że rozmowa miała miejsce, zanim został aresztowany i osadzony.

– I był wystarczająco przekonujący, żeby rozpoczęli poszukiwania?

– Zdaje się, że nie musieli długo szukać. Otis powiedział im dokładnie, gdzie jest ciało.

– Przypadek?

– Otis powiedział też, że facet zostawił tę kobietę w pomarańczowych skarpetkach. Tego nie mógł wymyślić.

Gwen wróciła do sypialni, wzięła szlafrok i włożyła go, bo nagle ogarnął ją chłód.

*No świetnie.*

Wciąż było jej niedobrze, a teraz czuła na dodatek, że skórę pokrył zimny pot. Woda z lodówki nie pomogła. Musi napić się gorącej herbaty. Może z kropelką bourbona.

– Możliwe więc, że ten Otis natknął się na autostradowego mordercę. Nasz zespół musi się temu dokładnie przyjrzeć – powiedziała Gwen.

– Cieszę się, że się ze mną zgadzasz. Nie da się w żaden sposób ukryć informacji o pomarańczowych skarpetkach. Na miejscu było zbyt wielu pomocników. Musimy działać

szybko. Rozmawiałam już z Kunzem, ma na jutro zorganizować przesłuchanie. Zrobiłabym to sama, ale nie mogę jeszcze wrócić. Jutro umówiliśmy się z Tullym na farmie z zespołem psów poszukiwaczy.

– Chwileczkę. Przesłuchanie? Co dokładnie organizuje Kunze?

– Twoje przesłuchanie Otisa P. Dodda.

– Moje?

– Nie znam nikogo, kto zrobiłby to lepiej.

Gwen kątem oka dostrzegła swoje odbicie w lustrze. Mocno związała paskiem różowy szlafrok z polaru. Włosy w kolorze miedziany blond z jednej strony były spłaszczone i przyklejone do głowy, z drugiej skołtunione. Po brodzie spływała kropla wody, której nie wytarła.

O tak. Zdecydowanie wyglądała na osobę zdolną zmierzyć się z seryjnym podpalaczem, który kumpłował się z mordercą rzeźnikiem.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Lily miała więcej ikry, niż mu się wydawało.

Swoją drogą, powinien był od razu to zauważyć. Nawet wsiadając do samochodu, pyskowała, wskazywała palcem na jego głowę, mówiąc:

– To nie twoja czapka.

Mimo to zatrzasnęła za sobą drzwi samochodu.

– Wiesz, że ona jest z FBI – powiedziała. – Okradzenie jej to pewnie ciężkie przestępstwo.

– Skąd wiesz, czy mi tego nie dała?

Przesunęła się na fotelu i zlustrowała go z wymowną miną.

– Taa, jasne. Wyglądasz na faceta w jej typie. Dlatego mnie poderwałeś, bo tak się na ciebie napaliła.

Zaśmiała się chrypliwie, a jej śmiechowi towarzyszyło sporo flegmy, której kropelki wylądowały na przedniej szybie.

Co mu przypomniało, że szybę też musi wyczyścić. Nie chciał, żeby DNA tej dziwki zbryzgało jego czy jego samochód. Teraz, kiedy stał na tyle ciężarówki, kręcił głową z niezadowoleniem. Lubił wyzwania, ale lubił też sam je wybierać. Nie żeby ktoś mu je narzucał. A Lily, ta kurwa, zmusiła go do tego.

Ale to już koniec. Robota wykonana. Uznał po prostu, że to okrężna droga do celu.

No i był drobny bonus. Błysk zdumienia i zakłopotania w tych zaćpanych oczach, kiedy jej oznajmił, że Helen byłaby nią naprawdę zawiedziona.

Kiedy Lily próbowała się bronić, pomyślał o Maggie O'Dell i uśmiechnął się. Od jakiegoś miesiąca coraz lepiej ją poznawał. W Waszyngtonie ją śledził, ale nie miał okazji się do niej zbliżyć. Najbliżej był wówczas, gdy krążył wokół spalonych szczątków jej pięknego domu. Nawet wtedy nie grzebał w jej rzeczach, choć oczywiście mógł to zrobić. Zostawił tylko mapę na marmurowym blacie w spalonej kuchni.

Po dniu obserwowania Maggie z bliska ogarnął go niepokój. Nie mógł się doczekać chwili, gdy podda ją swojemu testowi. Przekona się, do czego jest zdolna. W przeciwieństwie do Lily Maggie okazałaby się godnym przeciwnikiem. To byłoby zmaganie dwóch wybitnych inteligencji. Nie poddałaby się tak łatwo jak Noah czy ktokolwiek inny.

Niecierpliwie czekał, aż wreszcie ją złapie. W jej oczach będzie strach, ale także szacunek i podziw. Ciekawe, czy błagałaby go, żeby ją szybko zabił, czy targowałaby się o kilka dodatkowych godzin życia? Tak, Maggie O'Dell byłaby największym wyzwaniem. Musi jeszcze przez jakiś czas uzbroić się w cierpliwość.

Zanurzył w kadzi żelazny miernik ciśnienia i patrzył, jak kwas zżera krew i włosy Lily. W ciągu kilku sekund miernik będzie czysty, bez śladu zniszczeń, jakich dokonał na jej czaszce.

Zdjął rękawiczki i pochłapane krwią ubranie, wsadził je do czarnego foliowego worka. Na najbliższym parkingu wyrzuci go do pojemnika na śmieci, ileś tam kilometrów od tego parkingu, więc jeśli ktoś go znajdzie, nie będzie tam ciała. Już dawno temu to wymyślił i ten porządek działania sprawdzał się za każdym razem.

Przerobił tył swojej ciężarówki na warsztat ze wszystkim, czego potrzebował nie tylko do pracy, ale także do swojego hobby. A zatem gdyby ktokolwiek tam zajrzał, nie miałby powodu kwestionować różnaitości narzędzi, płynów do mycia i czyszczenia, liczby pił oraz noży. A ponieważ tyle czasu spędzał w drodze, zgromadził tam też wszystko, co niezbędne dla

osobistej wygody. To znaczy ubrania, buty i inne akcesoria.

Niektóre z nich służyły mu jako przebranie, w tym laska, aparat słuchowy, temblak, okulary ze szklami grubości denek butelek, kołnierz ortopedyczny i smycz dla psa. To zdumiewające, jak takie proste rzeczy odwracają uwagę ludzi i zmniejszają ich czujność. W dzienniku zapisał listę trików, które działały najskuteczniej. Zaobserwował też, na co zmęczeni podróżni nie zwracają uwagi. To również zanotował w swoim dzienniku.

Zmienił już magnetyczną tabliczkę na karoserii ciężarówki. Miał ich kilka, na wszystkich znajdowały się nazwy firm, które kojarzą się pozytywnie i wzbudzają zaufanie. Teraz przyczepił znak: „Lokalna służba ratownicza”. Wpadł na ten pomysł, słuchając grupy policjantów w kawiarni na parkingu za Toledo w stanie Ohio. Właśnie złapali mordercę, który przebierał się za pracownika miejskich służb komunalnych. Właściciele domów wpuszczali go bez wahania. To przebranie było niemal tak dobre jak jego pomysł umieszczania na samochodzie nazw firm automatycznie budzących zaufanie.

Wreszcie skończył sprzątać, wyjął dziennik i w górnym rogu strony zapisał datę, godzinę i miejsce. Potem dodał szczegóły, które pragnął zachować:

„Nawet kurwa narkomanka walczy o życie.

Po dwóch ciosach w głowę wciąż się czołgała.

Sturlała się do rzeki.

Skóra i kości. Kiepsko utrzymywała się na wodzie.

Owinąłem jej wokół szyi pasek od torebki.

Torebka powinna ją ściągnąć na dno”.

Przerwał, podwinął rękawy koszuli i dopiero wówczas zauważył, że ta suka podrapała go w rękę. Natychmiast sięgnął do jednej z szafek po butelkę alkoholu. Pamiętał, że miała obgryzione, połamane paznokcie, a przez ten krótki czas, jaki spędziła w kabinie samochodu, bez przerwy drapała strupy.

Na widok zadrapań wzięła go złość i zrobiło mu się niedobrze. A jeśli ta suka czymś go zaraziła? Chociaż piekło jak diabli, wylał na rękę chyba z pół butelki spirytusu. Ból mu nie przeszkadzał. Jeśli czujesz ból, to znaczy, że żyjesz. Potem zaczął grzebać w swoim zapasie leków, aż znalazł antybiotyki. Włożył do ust tabletkę i popił ją colą z puszki z dużej przenośnej chłodziarki, którą zawsze miał dobrze zaopatrzoną.

Ten incydent przypomniawszy mu, że przez drobne błędy wielu zabójców wpadło i wylądowało za kratkami. Ted Bundy, Edmund Kemper, Henry Lee Lucas, Jeffrey Dahmer – wszyscy popełnili jakiś głupi błąd, który doprowadził do ich aresztowania. Jemu się to nie przytrafi.

Poza tym, że przysłuchiwał się policjantom, a także z nimi rozmawiał, uważał się z dumą za eksperta od seryjnych morderców, schematów ich działania, ich fetyszy, słabości, a nawet tych drobnych błędów, które ich pognębiły. On był bardziej uważny i inteligentny. Poza tym wybierał czas i miejsce zabójstwa. Nie działał pod wpływem impulsu, nie kierowały nim żadne głosy. Ten wieczór należał do rzadkich wyjątków. Tego wieczoru zabił raczej z konieczności niż z zamiłowania do swojego hobby. Nie stanowiło to też żadnego wyzwania, któremu musiałby sprostać. Nie było w tym wiele przyjemności. Po prostu chciał pozbyć się Lily.

Nie miał pojęcia, czy cokolwiek widziała. Zaskoczyło go, że pomieszkuje na farmie. Ile razy, kiedy podrzucał ciało, Lily tam była? Nie mógł ryzykować. Chociaż nie wyglądało na to, by go rozpoznała, żeby widziała go kiedyś wcześniej poza tym jednym dniem. Zastanawiał się, czy naprawdę była jednym z przybranych dzieci Helen, choć wiedział, że przez dziesięciolecia przewinęły ich się tam dziesiątki. Nie mógł tego wykluczyć. A jeśli tak, to miał rację: Helen byłaby nią rozczarowana.



Zabandażował sobie rękę. Jeśli ludzie nie zobaczą zadrapań, łatwiej wymyśli jakąś historyjkę. Prawdę mówiąc, wzbudzi współczucie i sympatię. Kiedy przeszedł z tyłu ciężarówki do kabiny i zajął miejsce za kierownicą, przyjrzał się samochodom zaparkowanym po przeciwległej stronie. Stały tam tylko dwa auta.

W małym SUV-ie siedziały dwie kobiety w średnim wieku. Jedna ruszyła wznoszącą się ścieżką do toalet. Druga została i zajęła się sprzątaniami. Wyjął z konsoli okulary i przyglądał się, jak kobieta wyrzuca do pojemnika worek ze śmieciami. Większość śmieci stanowiły opakowania po jedzeniu na wynos i kubki z przykrywkami – pewnie po kawie. Były zatem zmęczone, wyczerpane. Spojrzał na tablicę rejestracyjną. Kobiety przyjechały z Teksasu. Spędziły w drodze dużo czasu, a teraz znajdowały się daleko od domu.

Stanowiły łatwy cel.

W drugim samochodzie, czterodrzwiowym sedanie, siedział mężczyzna z małym chłopcem, który nie miał więcej niż dziesięć czy jedenaście lat. Mężczyzna najwyraźniej uznał, że chłopiec jest dość duży, by sam poszedł do toalety. Mężczyzna otworzył bagażnik i z dużego worka marynarskiego wyjmował coś, co wyglądało jak bluzy. Nie mógł przez cały ten czas widzieć drzwi do toalety. W ciągu tych kilku minut chłopiec był łatwym celem. Podobnie zresztą jak jego ojciec.

Oba samochody stanowiły wyjątkowe okazje. W obu wypadkach, gdyby tylko chciał, mógłby mieć dwie ofiary. Co zdołałby zrobić ojciec? Czy upierałby się, żeby zajął się nim jako pierwszym? Czy próbowałby go przekupić, walczyłby czy błagał?

Niestety Lily opierała się bardziej, niż się spodziewał, i czuł się zbyt wyczerpany, by cieszyć się nowym wyzwaniem. Może innym razem. Czekają go długa podróż. Był przekonany, że znajdą się inne okazje.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Lily ścisnęła rączki skórzanej torby.

Zimno, cholernie zimno.

Przywykła raczej do przeciwnych temperatur. Zwykle jej ciało płonęło od środka.

Paski zaczęły o zwisającą nisko nad rzeką gałąź. Wiedziała, że krwawi. Ból w głowie nie pozwalał myśleć, ruszać się, reagować. Jej zazwyczaj rozpalone ciało wpadło do lodowatej wody. Już nie czuła łąjących po niej robali. Zamiast tego była przekonana, że wlały pod skórę. Czuła dziwne swędzenie i mrowienie, kiedy wżerały się w żyły.

Powoli jej odwaga zaczęła się wyczerpywać. Z początku dupki tylko ją wkurzył. Walczyła z nim. Kiedy ją uderzył, wpadła w jeszcze większą złość. Skoczyła na niego i z radością podrapała. Ale teraz w ciemności, otoczona przez dźwięki nocy, których nie rozpoznawała, kiedy z bólu kręciło jej się w głowie, już nie była zła. Była przerażona.

Czekała. Musiała poczekać, aż on odjedzie. Musiała przekonać drania, że, tak jak chciał, zostawił ją tam martwą.

**ŚRODA 20 MARCA**

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

### *Wirginia*

Gwen miała do pomówienia z Maggie. Kiedy przyjaciółka powiedziała jej, że zastępca dyrektora Raymond Kunze organizuje spotkanie Gwen z uwięzionym podpalaczem Otisem P. Doddem, nie wspomniała, że to Kunze ma ją zawieźć na miejsce. Jakby nie dość, że nerwy i tak już miała w strzępach. Półtorej godziny uwięzienia w samochodzie z tym facetem groziło jej kompletnym rozstrojem nerwowym. Co gorsze, zastępca dyrektora zachowywał się uprzejmie, więc tym trudniej było Gwen wyładować na nim swoją frustrację.

Frustracja to łagodne określenie tego, co czuła. Ostatnie spotkanie Gwen ze skazanym o mały włos nie zakończyło się tragedią: niewiele brakowało, by więzień wbił jej w szyję ostro zatemperowany ołówek. Maggie przekonywała ją, że Otis P. – jak chciał być nazywany – nie jest agresywny. W trzydziestu siedmiu pożarach, które były jego dziełem, nikt nie zginął, nikt w żaden sposób nie ucierpiał.

Minionego wieczoru chciała zapytać Maggie, jak może powiedzieć coś takiego o seryjnym podpalaczu? Już samo podkładanie ognia pod kolejne budynki było aktem agresji. Chciała przypomnieć przyjaciółce, że wielu seryjnych morderców zaczynało od podpaleń. Ale gdyby to zrobiła, Maggie tylko by się zaniepokoiła i pomyślała, że przyjaciółka nie sprostą temu zadaniu. Gwen wolała zatem zdusić idiotyczny lęk i jakoś przetrwać tę rozmowę, niż przyznać się, że być może to wyzwanie ponad jej siły.

Gwen była piętnaście lat starsza od Maggie i wiedziała, że agentka postrzega ją jako swoją mentorkę, nawet kiedy się zaprzyjaźniły. Prawdę mówiąc, Maggie budziła w niej silny instynkt macierzyński. Gwen chciała ją chronić, troska w stosunku do przyjaciółki była chwilami męcząca. Dysfunkcyjne dzieciństwo i nieudane, zakończone rozwodem małżeństwo sprawiły, że Maggie otoczyła się murem, którego nawet Gwen nie potrafiła przebić. Wiedziała jednak, że jest jedyną osobą, której przyjaciółka ufa bezwarunkowo. Powinna zatem triumfować, tymczasem pod pewnymi względami odczuwała to jako ciężar. Nie chciała jednak porzucić fasady tej starszej, mądrzejszej, odpowiedzialnej, godnej zaufania mentorki. Nie chciała zawieść Maggie.

A zatem stała tutaj, obmacywana przez więziennego strażnika o cuchnącym oddechu i niezdarnych rękach. A w każdym razie mężczyzna udawał, że jest niezdarny i dotykał jej dokładnie tam, gdzie chciał. Naczelnik więzienia stał niespełna metr dalej i z tak nieskrywaną przyjemnością obserwował to obmacywanie, że Kunze zasłonił Gwen. Celowo włożyła spodnie zamiast markowego kostiumu ze spódnicą, a pod spodnie rajstopy, wiedząc, że dodatkowa warstwa na udach i brzuchu utrudni wsuwanie paluchów tam, gdzie nie ich miejsce.

Wiedziała również, że gdyby się poskarżyła, mogłaby stracić szansę na to przesłuchanie. Dość dobrze znała politykę więzienną. Naczelnik Demarcus miał gdzieś, że reprezentują FBI. Skoro chcieli wejść na jego teren, musieli grać według jego reguł.

– Musi pani zdjąć buty na obcasach – powiedział Demarcus, kiedy strażnik skończył obmacywanie.

– Czemu? – spytała, starając się, by było w tym zaciekawienie, a nie osłupienie.

– Są zbyt prowokacyjne. Ile mają te obcasy? Z dziesięć centymetrów?

– Co zaproponuje mi pan w zamian?

Strażnik wyciągnął papierowe nakładki na buty, dwa razy większe od stopy Gwen.

– Pani nie zdejmie butów – rzekł Kunze, nim odpowiedziała.

Patrzyła, jak dwaj mężczyźni mierzą się wzrokiem.

Za murami więzienia naczelnika Demarcusa można by wziąć za dobrze zarabiającego prawnika. Jego koszula i spodnie wyglądały na szyte na miarę. Krawat był z drogiego jedwabiu. Gwen rozpoznała włoskie skórzane buty, gdy tylko je zobaczyła, choć uważała, że frędzelki to ciut za dużo. Demarcus miał przystojną twarz i gęste ciemnobrązowe włosy z lekkimi śladami siwizny na skroniach, co nadawało mu dystyngowany wygląd. Ale to nie ubranie sprawiało, że wyglądał groźnie. Coś w jego postawie budziło strach. Trzymał się prosto, jakby kij połknął. Lekko unosił głowę z kwadratową szczęką, jakby na wszystkich patrzył z góry. Gwen doszła do wniosku, że to jego wąskie oczy budzą grozę. Łącznie z orlim nosem nadawały mu wygląd drapieżnego ptaka.

Demarcus był kilka centymetrów niższy od zastępcy dyrektora. Gwen słyszała, że Raymond Kunze grał jako wspomagający w drużynie w college'u i nawet został powołany do NFL, zawodowej ligi futbolu amerykańskiego. Wybrał FBI. Nadal sprawiał wrażenie, że mógłby położyć na ziemię połowę linii ofensywnej i z pewnością mógłby bez trudu podnieść Demarcusa i rzucić nim przez pokój. Nie musiał jednak tego robić. Jego spojrzenie mówiło samo za siebie.

Gwen zatrzymała buty.

Teraz, kiedy czekała sama w pokoju widzeń, czuła się lepiej, wiedząc, że Kunze siedzi gdzieś za szybą, która zajmowała większą część ściany po lewej stronie. Próbowała usadowić się możliwie najwygodniej na składanym metalowym krześle. Nie korzystała z chwili czasu, by robić notatki. Jej ostatnie doświadczenie udowodniło, że ołówek czy pióro łatwo stają się narzędziem zbrodni. Zaczęła się nawet zastanawiać, w jaki sposób można by w tym celu wykorzystać sprężynę z notesu.

Usłyszała, że drzwi się otwierają i usiadła prosto. Do pokoju wszedł Otis P. Dodd i natychmiast wypełnił go swoją osobą. Był olbrzymim mężczyzną z krzywym uśmiechem. Kiedy strażnik mocował kajdanki Otisa do żelaznego kółka w podłodze obok krzesła, Gwen nie mogła uciec od myśli, że niepotrzebnie przejmowała się ołówkiem czy piórem. Dłonie Otisa P. Dodda były dość duże, by w ciągu kilku sekund skrócić jej kark.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

– Co się panu podoba w podkładaniu ognia? – spytała Gwen.

Po wstępnych słowach, gdy zostali sobie przedstawieni, zadała pierwsze pytanie dokładnie tak, jak to sobie zaplanowała podczas długiej podróży z Waszyngtonu. Chciała wiedzieć coś o Otisie, nim spyta o jego przyjaciela, mordercę, który porzucał swoje ofiary w pomarańczowych skarpetkach.

Wydawał się zadowolony z pytania, choć tak naprawę trudno to było ocenić. Odkąd usiadł, nie przestawał się uśmiechać.

– Niektórzy nazywają mnie piromanem. – Obliznął wargi, a Gwen już zauważyła, że to nerwowy tik. – A tak naprawdę lubię władzę. – Uśmiechnął się szerzej, w kącikach oczu pokazały się wyraźniejsze zmarszczki.

Niezależnie od jego rozmiarów i jej pierwszej reakcji, Gwen zdała sobie sprawę, że Otis nie jest tak groźny, jak się spodziewała. Miał w sobie nawet coś z dziecka. Mówił z południowym akcentem, powoli i z namysłem. Cicho i miękko. Nawet gdy powiedział o władzy, w jego tonie czy zachowaniu nie było nic groźnego.

– Lubi pan poczucie mocy, jaką to panu daje?

– Tak. Tego nie da się z niczym porównać.

Zanim zadała kolejne pytanie, Otis podjął:

– Chciałbym zobaczyć całe płonące miasto, doszczętnie spalone. To by dopiero było coś. Wciąż się uśmiechając, wysunął czubek języka.

Gwen szybko zrozumiała, że uśmiech nie schodzi z jego twarzy niezależnie od tego, o czym Otis mówi. Może to też nerwowy tik, podobnie jak oblizywanie warg. Ale nie było w tym nic sprośnego. Właściwie przypominał nastolatka, trochę dziwaczego, który źle czuje się w swoim ciele.

Potem znów dodał:

– Ale wiem, że nie przyjechała pani taki kawał drogi, żeby rozmawiać o mnie. – Przekrzywił głowę, patrząc jej prosto w oczy, jakby ją oceniał. – Chce pani dowiedzieć się czegoś o Jacku.

– Zna pan jego imię?

– Nie wiem, czy jest prawdziwe, ale tak właśnie go nazywano.

– Opowiedział panu o kobiecie, którą zabił. Czy tak?

– Właściwie o kilku.

Starła się ukryć zdziwienie. Nie traciła z nim kontaktu wzrokowego. Przestępcy są świetnymi kłamcami. Czy Otis się z nią bawi, prowadzi jakąś grę?

– Powiedział panu, że zamordował więcej niż jedną osobę?

– Zgadza się.

Krzywy uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

– Do ilu morderstw się panu przyznał?

Otis podniósł wzrok na sufit, jakby tam mógł znaleźć odpowiedź. Przez kilka sekund się zastanawiał, potem rzekł:

– Jakichś trzynastu czy czternastu. Oczywiście od naszej rozmowy minął ponad rok.

Gwen z trudem przełknęła. Maggie i Tully uważali, że ten morderca zabił więcej osób, ale żeby ponad dziesięć? Tego się nie spodziewała.

– Znaleźliście kolejną ofiarę? – spytał. Siedział ze ściągniętymi brwiami, lekko

pochylony, nie tyle nawet z zaciekawieniem, ile jakby chciał, by nikt ich nie usłyszał.

– Tak. Chyba tak. Miała pomarańczowe skarpetki.

Tym razem uśmiech Otisa drgnął, uniósł jedną z brwi, jakby nagle posmakował czegoś niedobrego, ale nie chciał się skarżyć. Wreszcie potrząsnął głową.

– Nie wydaje mi się, żeby to była sprawka Jacka.

– Czemu pan tak sądzi?

– Bo widzi pani, Jack mówił, że robi różne rzeczy, robi to na różne sposoby. Nie powtarza się, rozumie pani? – Wysunął język i oblizwał wargi.

Gwen czekała.

– Ostatnim razem ta mała ślicznotka w pomarańczowych skarpetkach... widzi pani, ona miała na nogach te skarpetki. Tak w każdym razie twierdził Jack. Że to były jej skarpetki. On tego nie zaplanował.

– A jeśli tej drugiej włożył pomarańczowe skarpetki?

Znowu popatrzył na sufit, a kiedy spuścił wzrok, pokręcił głową.

– Po co miałby to robić, jak pani uważa? To bez sensu. Widzi pani, Jack lubi zmiany.

Dlatego czasami bierze dwoje naraz.

– Dwoje naraz?

– Mnie się wydaje, że on całkiem sporo się przemieszcza. Powiedział, że się nudzi. Lubi wyzwania czy jak to tam.

Przez głowę Gwen przelatywały myśli, przypominała sobie, co wie na temat Glorii Dobson i Zacha Lestera. Nie pamiętała, by ktoś stwierdził, że morderca z premedytacją zabił ich oboje. Ciało Lestera było tak zmasakrowane, że zakładano, iż wszedł mordercy w drogę i przeszkodził mu w zabiciu prawdziwego celu, czyli Glorii Dobson. Czy to możliwe, żeby tak to zaplanował? Że chciał załatwić dwie ofiary równocześnie?

– A gdzie znaleźliście to drugie ciało?

Zawahala się. Za dzień czy dwa w mediach będzie o tym głośno, więc nie było sensu tego ukrywać. Wiedziała jednak, że przestępcy potrafią wyciągnąć różne fakty od osób, które ich przesłuchują, i doprowadzić do tego, że podadzą im dość szczegółów, by mogli nimi manipulować. Na razie nie usłyszała od Otisa niczego, co pomogłoby Maggie i Tully'emu. Z całą pewnością nie powie mu nic więcej niż on jej.

Zamiast zatem odpowiedzieć na pytanie, oznajmiła tylko:

– Uważamy, że znaleźliśmy miejsce, gdzie grzebie swoje ofiary.

Czekała na jego reakcję, usiłowała zobaczyć coś więcej pod jego głupim uśmiechem.

– Które? – spytał.

Poczuła ucisk w żołądku. Czy to jego chłopięcy urok, czy tak świetnie kłamie?

– Chce pan powiedzieć, że jest więcej takich miejsc?

Okazała powątpiewanie, a nawet lekkie zniecierpliwienie. Widziała, że to zauważył.

Zaśmiał się nerwowym śmiechem. Potem usiadł wygodnie, prosto, odsuwając się, jakby już nie zasługiwała na to, by zdradzić jej jakieś tajemnice. Przekrzywił głowę i patrzył na nią badawczo.

– Ten pierwszy dziennikarz, któremu mówiłem o dziewczynie w pomarańczowych skarpetkach, mi nie wierzył. Naczelnik Demon – tak go tu nazywamy i wiem, że pewnie nas obserwuje i słucha za tą szybą, i mam to gdzieś, jeśli każe mi za to zapłacić, że pani powiem – ale on też mi nie wierzył. Pani decyzja, czy mi pani wierzy, jak tak, to pani wróci i jeszcze pogadamy.

Otis mówił to wszystko grzecznie, uprzejmym tonem. Nie wydawał się zły, choć jego słowa mogłyby o tym świadczyć. Z jego twarzy nie zniknął uśmiech. Potem odsunął się od

stolika tak daleko, jak pozwoliły mu kajdanki i wstał, na dzisiaj z nią skończył. Do pokoju natychmiast wszedł strażnik.

– Ten teren znajduje się gdzieś na Środkowym Zachodzie – rzekła Gwen, zmuszając go do odkrycia kart, dając mu dość informacji, by sam się zdradził. Nie chciała tu wracać i po raz wtóry poddać się dokładnej kontroli Demarcusa. Jeśli Otis kłamie, chciała go teraz zbić z tropu i mieć to z głowy.

Kiwnął głową i zmrużył oczy, jakby musiał to przemyśleć.

– To będzie ten przy międzystanowej I-29. Sioux City, Iowa.

Gwen na niego patrzyła. Czy zgadł, trafił przypadkowo?

– Powinniście sprawdzić stodołę – rzekł. – Chyba tam pochował motocyklistę z tatuażami.

Potem wyciągnął ręce do strażnika, żeby odpiął kajdanki od żelaznych obręczy w podłodze. Nie oglądając się na nią, wyszedł, powłócząc nogami.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

– Był dość przekonujący – powiedziała Gwen do Maggie, patrząc przez okno na Potomak.

Zaraz po powrocie do biura do niej zadzwoniła. Spieszyła się z powrotem, więc odmówiła, gdy Kunze zaproponował wspólny lunch. Teraz, kiedy znalazła się znów na znajomym gruncie, poczuła się lepiej i – niechętnie to przyznała – bezpiecznie. Wiedziała także, że zdoła przekazać przyjaciółce bardziej obiektywną ocenę Otisa P. Dodda i tego, co od niego usłyszała. Oraz tego, co przemilczał.

– Ale jest w nim coś dziwnego – dodała.

– Agent Alonzo stwierdził, że jest mało pojętny.

– Nie, nie sądzę. To zwalisty mężczyzna z zakolami, grubymi bokobrodami i szalonym krzywym uśmiechem, który nie schodzi mu z twarzy. Mówi powoli z południowym akcentem, który działa rozbijająco. Właściwie wydaje się uprzejmy i... Boże, nie powinnam tego mówić, ale jest prawie czarujący.

– Ale nie upośledzony umysłowo?

– Raczej opóźniony w rozwoju i pewnie dlatego ludzie uważają, że wolno myśli. Jest też niewykształcony, mówi prostym językiem, czasem niegrammatycznie. Może nie jest najbardziej bystry, ale nie jest też głupi. Moim zdaniem potrafi świetnie manipulować.

– Chce, żeby ludzie uznali go za głupiego?

– Tak – odparła Gwen z ulgą, że Maggie ją zrozumiała, choć nie potrafiła tego prosto wyjaśnić.

– Wszystko zmyśla?

Gwen westchnęła i przeczesала palcami włosy, po czym przyznała:

– Tego nie wiem. Chwilami wydawał się absolutnie szczerzy. Nie sądzę, by wtedy udawał. Na przykład naprawdę źle się czuje w swojej skórze. Ma odruchy trzynastoletniego chłopca. Dziwaczne, niemal niezdarne. Ma tiki, których chyba nie jest świadomy. Przypominał mi nastolatka, który pewnego dnia budzi się i stwierdza, że w ciągu ostatniego miesiąca urósł dziesięć centymetrów, ale nadal nie uważa się za tak wysokiego.

– Czyli ma psychikę trzynastolatka? Czy myślisz tylko o jego fizyczności?

– Dobre pytanie. Nie wiem, czy znam odpowiedź.

– Cóż, odsiaduje wyrok dwudziestu pięciu lat za podpalenia. Jak rozumiem, spowodował ponad trzydzieści kilka pożarów w stanie Wirginia. Potrzeba pewnej dojrzałości, żeby nie wpaść, nawet jeśli jest się piromanem.

– Och, coś mi przypomniałaś. Powiedział, że ludzie nazywają go piromanem, ale on tak naprawdę lubi to poczucie władzy czy mocy, jakie daje mu podkładanie ognia, nie sam ogień. – Gdy tylko Gwen to powiedziała, uświadomiła sobie, że dała się oszukać. Zanim Maggie to skomentowała, dodała: – On prowadzi ze mną jakąś grę, prawda?

– Jeśli tak, skąd by wiedział o kobiecie w przepuście? Tej pierwszej w pomarańczowych skarpetkach. Dokładnie określił miejsce, gdzie mają szukać ciała.

– Nie mógł też przypadkiem wymienić Iowa i międzystanowej I-29, prawda? Powiedział to, kiedy stwierdziłam, że to jest na Środkowym Zachodzie. – Teraz żałowała, że wyjawiała mu tę informację.

– Nie, raczej nie mógł. To byłby zbyt duży zbieg okoliczności. My z Tullym wiemy, jak trudno było to namierzyć, a przecież mamy mapę. Tylko łut szczęścia pozwolił nam tak szybko

znaleźć to cmentarzysko. Informacja dopiero zaczęła przeciekać do mediów, więc Otis nie mógł słyszeć o tym w wiadomościach.

Zapadła cisza. Gwen zdała sobie sprawę, że żadna z nich nie wie, co myśleć. Przez kilka minut, korzystając z okazji, rozmawiały o sprawach prywatnych. Gwen chciała wiedzieć, jak ma się Tully. Kiedy wyjeżdżał poprzedniego ranka, nie czuł się najlepiej. Maggie z kolei pytała, jak idą prace w jej domu. Spora część piętrowego budynku została zniszczona w pożarze przed miesiącem. Podpalacz, który podłożył ogień w kilku magazynach w stolicy, w sklepach i restauracjach, a także w kościele w Arlington, podpalił także piękny dom Maggie. Nie miało to związku z Otisem. On już siedział za kratkami.

Gwen starała się zachować optymizm, wciąż przypominała przyjaciółce, że może teraz przebudować dom zgodnie z własną wolą. Ale ekipa remontowo-budowlana już miała opóźnienie i Gwen wiedziała, że Maggie dostaje szału, bo nie może ich dopilnować. Obiecała wpaść i zobaczyć, co się tam dzieje.

Kiedy kończyły rozmowę, Maggie nagle spytała:

– U ciebie wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście – odparła zbyt szybko Gwen i natychmiast się zastanowiła, co nieświadomie przekazała przyjaciółce.

– Wydajesz się... nie wiem... Zmęczona?

– Może trochę.

Maggie zamilkła. Gwen wiedziała, że jest jej coś więcej winna.

– W poniedziałek miałam coroczne badania – dodała. – Jestem zdrowa. – Jeszcze nie dostała wyników z laboratorium, ale zawsze miała dobre wyniki. Dbała o siebie. Nie czuła się chora. Prawdę mówiąc, nie chciała wyjawić, że powrót do Quantico i rozmowy z przestępcą podziały na nią niekorzystnie. To głupie, ale nie chciała przyznać, że może straciła wigor... a może, co gorsze, odwagę.

Wobec tego zmieniła temat.

– Myślisz, że Otis wymyślił tę historyjkę o ciele w stodole? Tam w ogóle jest stodoła? Kiedy rano rozmawiałam z Tullym, powiedział, że niektóre budynki zostały już zrównane z ziemią.

– Szybciej bym w to uwierzyła, gdyby stodoła została zburzona. Wtedy ciało mogłoby zostać pochowane w miejscu, gdzie stała. Ale stodoła nadal stoi – odparła Maggie. – Nie wiem, czy pochowanie ciała pod podłogą stodoły byłoby takie łatwe.

Potem dodała, jakby się namyśliła:

– Pewnie się przekonamy, czy Otis lubi ubarwiać fakty odrobiną fikcji.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Ryder Creed zatrzymał się w Drury Inn tuż za granicami Kansas City. Przespali z Grace kilka godzin. Ryder nie potrzebował dużo snu. Jak powiedziała mu Hanna, przespał wcześniej cały dzień. Ale chciał wziąć prysznic i zjeść ciepłe śniadanie, i mógł nawet podrzucić Grace do miski trochę jajeczniczy.

Creed ani na chwilę nie zatrzymywał się byle gdzie, a już zwłaszcza na noc. Gdy tylko mógł, korzystał z tej sieci hoteli, bo traktowali tam psy jak członków rodziny i udostępniali zwierzętom duży trawnik, a jemu ładny pokój, który nie śmierdział jak popielniczka. Nie rozumiał tych moteli i hotelików przy autostradach, gdzie umieszczano gości z czworonogami w pokojach dla palaczy, jakby to miało jakiś związek. Nawet po długim dniu pracy jego psy nigdy nie śmierdziały tak jak pokój palacza.

Kierując się wskazaniem GPS, Creed w ciągu paru minut dotarł na miejsce. Zaczął już obserwować teren, żeby zapoznać się z tym, co ich z Grace czeka. Na drzewach i krzewach pojawiły się pierwsze liście, wiedział jednak, że tak daleko na północy kraju noce będą zimne. Niska temperatura i śnieg zwykle zachowują więcej niż na południu. Prawdziwa zima, która trwa wiele tygodni albo i miesięcy, i zamarznięta ziemia zwalniają proces gnilny.

Był dopiero marzec. W tej części kraju oznaczało to mniej insektów, co też spowalnia rozkładanie się ciała. Większość poszukiwaczy cieszyłaby się z takich warunków pracy. W końcu chcieli znaleźć jak najwięcej nietkniętych szczątków. Ale niskie temperatury stanowią większe wyzwanie dla psów tropiących i kierujących się węchem, które wyczuwają wszystkie produkty uboczne procesu rozkładu – gazy, płyny i kwasy.

Spojrzał na błękitne pozbawione chmur niebo tak daleko, jak daleko sięgał wzrokiem. Prognozy zapowiadały podobną pogodę na cały ten dzień i następny. Panowała piękna wiosna, temperatura zbliżała się do siedemnastu stopni i nie czuło się najmniejszego powiewu wiatru.

*Idealny dzień dla procesu rozkładu zwłok.*

Creed przyłapał się na uśmiechu i zastanowił się, kiedy zaczął oceniać, czy dzień jest dobry, czy zły po tym, czy znalazł jakiegoś nieboszczyka. Może naprawdę powinien poprosić Hannę, by poszukała dla niego zlecenia związanego z akcją ratowniczą. A nawet z szukaniem ładunku wybuchowego czy narkotyków. Tam przynajmniej istniało 50 procent szansy na to, że na końcu znajdą się żywi ludzie.

Grace cały ranek obserwowała go z tyłu dżipa. Gdy tylko Creed skręcił na długi podjazd, wydawała się podekscytowana.

– Siad – powiedział jej. – Znasz zasady.

Pomachała ogonem i przycupnęła.

– Siadaj.

W końcu Grace usiadła. Łeb trzymała wysoko uniesiony, obserwowała otoczenie. W połowie podjazdu drogę blokował czarno-biały SUV szeryfa. Creed wciąż nie widział budynków farmy. Widok zasłaniały drzewa. Nim się zatrzymał, zastępca szeryfa już szedł mu naprzeciw zwirową drogą.

– Bądź grzeczna – Creed przypomniał Grace. Wziął swoje dokumenty z konsoli i otworzył okno.

– Musi pan zawrócić – rzekł zastępca szeryfa, stając przed maską, jedną ręką machał, a drugą trzymał na pasie z bronią.

Wyglądało na to, że nie zamierza pofatygować się do okna samochodu, więc Creed

pokazał mu swój dowód przez przednią szybę.

– Nazywam się Ryder Creed. Jestem z CrimeScentK9.

Zastępca wyglądał na młodego i zdenerwowanego. Nie spodziewał się chyba nikogo, kto nie byłby w mundurze. Wyjął komórkę i wybierał numer, starał się to robić, nie zdejmując wzroku z Creeda.

Ryder słyszał jego słowa: „Jakiś gość z psem”. Nie podał nawet jego nazwiska ani nazwy firmy. Nieważne. Po chwili twarz zastępcy lekko poczerwieniała, bez słowa schował telefon do kieszeni mundurowej koszuli.

Naciągnął kapelusz z szerokim rondem na czoło i krzyknął:

– Może pan jechać! – Wskazał za siebie kciukiem, potem wrócił do SUV-a, by zjechać z drogi.

Creed potrząsnął głową.

– Amatorzy, Grace – powiedział, zerkając na nią w tylnym lusterku. Machała ogonem, ale wciąż siedziała, słuchała go, choć była podniecona. – Każą nam pracować z bandą amatorów, dziewczyno.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Kiedy Tully wyjął z opakowania ostatnią drożdżówkę, którą wziął z hotelowego baru śniadaniowego, Maggie pokręciła głową. Miała nadzieję, że powracający apetyt jest oznaką lepszego samopoczucia partnera.

Szeryf Uniss i jego ludzie ogrodzili już farmę i w trzech miejscach, które uznali za najłatwiej dostępne dla intruzów, postawili kogoś na straży. Maggie i Tully wiedzieli, że przez intruzów szeryf rozumie media.

Dla Unissa to było miejsce zbrodni, które miało być chronione i dokładnie zbadane. Wiedział, że Tully wezwał zespół poszukiwawczy K-9, lecz ani Maggie, ani Tully nie podzielili się z szeryfem informacją o posiadanej mapie ani swoimi podejrzeniami, iż teren ten stanowi cmentarzysko, gdzie morderca grzebał swoje ofiary. Zakładając, że większość zamieszania mają już za sobą, szeryf odjechał, burcząc pod nosem, że musi się spotkać z sekretarzem prasowym gubernatora. Przez wzgląd na Unissa Maggie miała nadzieję, że nie znajdą niczego... ani nikogo więcej.

Wcześniej, gdy relacjonowała Tully'emu wizytę Gwen w więzieniu, starała się ignorować jego zboląłą minę. Wiedziała, że pamiętał, jak skończył się poprzedni wywiad Gwen z osadzonym w więzieniu przestępcą. Szybko przekazała mu informację i poprosiła, by podzielił się z nią tym, czego sam się dowiedział. Agent Alonzo, choć był prawie dwa tysiące kilometrów dalej, z wolna stawał się ich prawą ręką. Teraz, gdy szli wzdłuż kępy drzew w stronę stodoły, znajdowali się poza zasięgiem słuchu zastępców szeryfa, więc Tully przekazał Maggie wszystko, co wiedział.

– Paragon wystawiono w Walmarcie na obrzeżach Council Bluffs w Iowa, tuż przy międzystanowej I-29.

– Council Bluffs jest obok Omaha, prawda? – Maggie pamiętała ich podróż z minionego ranka. Wylądowali w Omaha i jechali tym samym kawałkiem drogi.

Tully starał się odcyfrować notatki, które zrobił podczas rozmowy z Alonzem. Znaczki nie przypominały nawet słów, wyglądały raczej, jakby ktoś sprawdzał, czy w piórze jeszcze jest atrament.

– Alonzo powiedział, że na parkingu tego Walmartu są kamery, ale wątpi, żeby coś mieli. Powiedział, że większość sklepów zachowuje nagrania najwyżej z tygodnia. Ma kogoś w biurze w Omaha, kto to sprawdzi. Nie wygląda na to, żebyśmy zobaczyli tego gościa. Moim zdaniem to ktoś, kto wie, gdzie są kamery, i raczej ich unika.

– Czy technikom udało się zdjąć odciski palców z paragonu?

– Nie, i wątpię, by im się udało. Instynkt mi mówi, że to ślepy zaułek. Znaleźliśmy paragon, bo on chciał, żebyśmy go znaleźli. Tak samo jak prawo jazdy.

– W którymś z tych worków było coś jeszcze?

Wzruszył ramionami.

– Poza odciętą głową w jednym i całą resztą bez głowy w drugim?

– Coś pod paznokciami?

Wyłowił z kieszeni kolejny skrawek papieru i przypatrywał się swoim bazarzom.

– Zrobili wstępne badania. Grudki ziemi.

– Grudki ziemi?

– Janet powiedziała, że to wyglądało... – Przejrzał kartkę od góry do dołu, po czym zmarszczył czoło, jakby słowa zostawiły niesmak w ustach. – Powiedziała, że wyglądało to,

jakby kobieta drapała w błocie.

Oboje zamilkli, choć żadne się nie zatrzymało. Już prawie dochodzili do stodoły, kiedy Tully w końcu podjął:

– Koroner ustala termin autopsji.

– Ściąga nas tu wszystkich, ale ani o krok nie zbliżyliśmy się do odpowiedzi na pytanie, kto to jest.

– To część gry. Tak jak ci mówiłem wczoraj wieczorem. On ma obsesję na twoim punkcie. – Wskazał na stodołę. – Ale może szczęście nam dopisze i znajdziemy tu coś, czego nie chciał nam pokazać.

Czerwona farba na ścianach stodoły wypłowiwała, a drzwi wejściowe wisiały na starych zawiasach.

– Jakoś mi się nie wydaje, żeby zostawił tu ciało – rzekł Tully, ale zaczął otwierać zardzewiałą zasuwę.

– Otis P. Dodd powiedział Gwen, że jego przyjaciel Jack pochował w stodole jedną ze swoich ofiar. Jakiegoś wytatuowanego motocyklistę.

– Facet opowiedział mu to wszystko po paru drinkach?

– Wiem, to brzmi dziwnie. Tyle że Otis nie mylił się co do tej kobiety wepchniętej do przepustu, miał rację we wszystkim, łącznie z pomarańczowymi skarpetkami. Może to zbieg okoliczności. Może słyszał o tym w więzieniu. Ale moim zdaniem Otis P. Dodd lubi wymyślać historie, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Co z Iowa i autostradą I-29?

– Gwen mu powiedziała, że to na Środkowym Zachodzie.

– Znow szczęśliwy traf?

– Nie wierzysz, że morderca o imieniu Jack opowiedział Otisowi o wszystkich tych ludziach, których zamordował, i o tym, gdzie pochował ciała?

Tully znów wzruszył ramionami i otworzył drzwi stodoły.

Prawdę mówiąc, Maggie nie wiedziała, czy sama w to wierzy. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy zabójca pochwalił się komuś swoimi wyczynami. To się zdarzało, choć zwykle anonimowo. Prawdę mówiąc, ten morderca w pewien sposób zrobił to, zostawiając Maggie mapę, a potem paragon oraz skarpetki. Robił to jednak anonimowo. Ale żeby dzielić się swoimi wyczynami z kimś, kto mógłby go zidentyfikować? Po co by to robił?

Stali w drzwiach stodoły, gdy Tully wskazał na dżipa, który jechał obrośniętym z obu stron drzewami podjazdem.

– Chyba nasz zespół K-9 już jest. Alonzo twierdzi, że facet jest najlepszym trenerem psów poszukiwaczy w kraju. Jeżeli jest tu jeszcze jedno ciało, powinien je znaleźć.

Tully odwrócił się i ruszył mężczyźnie naprzeciw. Maggie została na miejscu. Kiedy spojrzała w głąb stodoły, nagle coś zauważyła i zimny pot wystąpił jej na plecach. Zrobiła kilka kroków naprzód i stopą odgarnęła rozrzuconą słomę.

Wtedy zobaczyła, że stodoła nie ma cementowych fundamentów czy choćby drewnianej podłogi z desek. Pod słomą była tylko ziemia.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Ani Maggie, ani Tully nie pracowali do tej pory z zespołem K-9. Maggie nie wiedziała, czego się spodziewać, ale zdecydowanie nie wyobrażała sobie, że sławny w świecie ekspert będzie wyglądał tak, jak mężczyzna, który właśnie wysiadł z dżipa.

Po pierwsze, był zaskakująco młody. Najwyżej trzydziestolatek. Wysoki, miał szerokie ramiona i nosił biały T-shirt, który podkreślał muskulaturę klatki piersiowej i ramion. Dżinsy marki Levi's opinały umięśnione nogi. Skórzane sportowe buty i okulary słoneczne z boczną ochroną dopełniały jego wizerunku. Kiedy wysiadł, włożył jasnoniebieską koszulę, ale nie zapiał jej ani nie włożył do spodni.

Nie, zdecydowanie nie tego oczekiwała.

Właśnie podwijał rękawy koszuli, kiedy dostrzegł Maggie i Tully'ego. Przez otwarte okno sięgnął do samochodu i opuścił do połowy wszystkie szyby. Kiedy zbliżyli się do auta, Maggie dojrzała w środku psa, który też nie wyglądał tak, jak się spodziewała – był zbyt mały i biały.

– R.J. Tully, a to agentka Maggie O'Dell – przedstawił ich Tully.

– Ryder Creed.

Zdjął okulary i spojrzał im w oczy, podając rękę najpierw Maggie, a potem Tully'emu. Maggie zauważyła srebrną bransoletkę z łańcuszka z małą wygrawerowaną plaketką, ale nie zdołała przeczytać napisu. Na drugim nadgarstku mężczyzna miał zegarek nurka. Nie nosił obrączki. Przyłapała się na tym, że zwróciła na to uwagę, i zastanowiła się, czemu to sprawdza.

Na tle opalanej skóry oczy błyszcząły intensywnym błękitem. Pewny siebie uśmiech zaczynał się w oczach i unosił kąciki warg, subtelny, ale szczery uśmiech, który dawał mylne wyobrażenie o jego wieku. Krótkie ciemne włosy wyglądały, jakby rano wysuszył je ręcznikiem i nie fatygował się, by sięgnąć po grzebień. Cień zarostu pokrywał brodę i policzki. Przyjrzawszy się bliżej, Maggie uznała, że mężczyzna się golił bardzo wcześnie rano.

– To jest Grace – powiedział do nich Creed, wskazując na wnętrze samochodu, ale nie wypuszczając psa.

– Ma pan tylko jednego psa? – spytał Tully, a Maggie natychmiast usłyszała jego sceptycyzm.

– To mój najlepszy pies tropiciel.

– Tylko że tu jest spory teren. – Tully zatoczył łuk ręką.

– Praca z kilkoma psami równocześnie bywa problematyczna. One ze sobą konkurują. Zdarzają się fałszywe alarmy. Częściowo pracują na tych samych polach. Proszę mi wierzyć, jeden pies będzie skuteczniejszy – stwierdził obojętnym tonem, bynajmniej nie urażony.

– Wydaje się trochę mały. – Tully nadal nie był przekonany. Pochylił się, by zajrzeć przez okno.

Creed podniósł już klapę bagażnika i szukał czegoś wśród swoich sprzętów. Grace podeszła do niego, ale nie próbowała wyskoczyć, usiadła, machała ogonem i patrzyła na swojego pana, nie zwracając uwagi na obcych. Maggie przyjrzała się psu. Suka rasy Jack Russell terier, zaskakujący wybór jak na psa tropiciela.

– Nie sądzę, żeby rozmiar miał znaczenie – powiedziała do Tully'ego, patrząc na Creeda. – Harvey jest dwa razy taki jak Grace, może i trzy, a nie potrafiłby się chyba skupić dość długo, żeby znaleźć swoje ulubione frisbee, gdybym mu je schowała.

Creed nie podniósł wzroku, przepakowywał rzeczy z worka marynarskiego do małego

plecaka, ale kątem oka Maggie dojrzała, że znów uniósł kąciki warg. Ucieszyła się w duchu, że to jej sprawka.

– Jakiej rasy jest Harvey? – spytał.

– Labrador.

– Ma pani rację. Rozmiar ani rasa nie są tak ważne jak zapach.

Tully stał z rękami wspartymi na biodrach, patrząc to na psa, to na Creeda, i z trudem skrywał rozczarowanie. W pewnej chwili, kiedy spotkał się wzrokiem z Maggie, przewrócił oczami, jakby mówił: „Ładny mi ekspert”.

Mężczyźni byli mniej więcej tego samego wzrostu, jednak tu podobieństwa się kończyły. Tully był chudy i żyłasty, miał na sobie spodnie i rozpinaną koszulę, pomiętą, ale włożoną do spodni. Tego dnia włożył okulary w drucianych oprawkach, które zabierał w podróż, bo nie lubił pakować tych wszystkich akcesoriów, których wymagały szkła kontaktowe. Tully chciał wszystkich uszczęśliwić, był naiwnym naprawiaczem świata, ckliwym, ale romantycznym everymanem, któremu plamy z kawy i roztargnienie łatwo się wybaczało, bo kiedy ci powiedział, że cię chroni, mogłaś na niego liczyć.

Grace trącała nosem otwarty bagażnik, wciąż siedziała, ale teraz wyciągała szyję w stronę Maggie i wahała.

– Można ją pogłaskać? – spytała Maggie.

– Jasne. Nie wolno jej tylko opuszczać dziopa, dopóki nie pozwolę.

Maggie wyciągnęła rękę i powoli podsunęła ją psu do powąchania. Potem podrapała Grace w kark, trzymając rękę tak, by pies mógł ją widzieć. Czowała na sobie wzrok Creeda, który zerkał na nią kątem oka. Oczywiście, musiał chronić swojego psa.

Wreszcie skończył i zarzucił plecak na plecy. Powiedział do Maggie:

– Mogłaby pani wziąć Grace, żeby rozprostowała nogi, a ja się tu rozejrzę?

– Jasne.

Potem zwrócił się do Tully’ego:

– Rozejrzę się tu. Przedstawi mi pan sytuację?

Agent skinął głową.

Creed podał Maggie małego różowego słonia, piszczącą gumową psią zabawkę. Gdy tylko Creed wyjął ją z kieszeni, Grace mało nie wyszła z siebie. Zdawało się, że macha całym zadem, podniecona i niecierpliwa, ale nadal siedziała, czekała na pozwolenie swojego pana. Obserwowała, jak Creed przekazuje Maggie jej zabawkę, machała ogonem, postawiła uszy gotowa do biegu.

– Niech pani jej porzuci tę zabawkę, może zechce ją sobie też ponosić w zębach. Proszę klepnąć w udo, o tak – pokazał jej – jeśli za daleko pobiegnie. – Potem spojrział w oczy Maggie i spytał: – Mogę mówić do pani po imieniu?

– Tak, oczywiście – odparła, ale natychmiast zdała sobie sprawę, o co mu chodziło.

Creed odwrócił się do Grace i powiedział:

– Okej, Grace, idź z Maggie.

Grace skoczyła prosto w ramiona Creeda – najwyraźniej robili to automatycznie – a Creed jednym zręcznym ruchem postawił ją na ziemi. Grace natychmiast całą uwagę skupiła na Maggie i różowym słoniem.

Grace wydawała się taka zwyczajna, chętna do zabawy, wesoła. Kiedy Maggie prowadziła ją na trawę bliżej domu, ciężko jej było wyobrazić sobie, że ten mały żywiołowy pies spędził sporą część swojego życia, poszukując zwłok.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Creed starał się skupić uwagę na słowach Tully'ego. Wciąż kątem oka obserwował agentkę O'Dell i psa. Wyglądało to pewnie, jakby sprawdzał, czy z Grace wszystko w porządku. Była to tylko w połowie prawda. Creed nie mógł przestać myśleć o agentce O'Dell. O Maggie.

Boże, miała takie piękne oczy, brązowe z karmelowymi plamkami.

Hanna by się teraz z niego śmiała, mówiąc: „Od kiedy to zauważasz, że kobiety mają oczy, nie wspominając już o kolorze?”.

Miałyby rację. To głupie.

Agent Tully wskazał na pozostawiony przez koparkę dół i mówił Creedowi o pracach budowlanych, podczas których wykopano czaszkę i inne kości, a także worek z ludzkimi zwłokami.

– Kobieta czy mężczyzna? – spytał Creed.

– Na razie tego nie ujawniamy – odparł Tully.

Creed nie musiał tego wiedzieć. Dla Grace płęć była obojętna. Wszystkie ciała miały dla niej ten sam zapach. Ale Creed chciał to wiedzieć. Angażował się w te wszystkie poszukiwania wyłącznie z jednego powodu – z nadzieją, że odnajdzie siostrę, Brodie. Hanna powiedziała mu, że kiedy zadzwonił agent Alonzo z Quantico, wspomniał, że farma znajduje się za parkingiem przy autostradzie.

– Jaka to różnica?

Tully musiał zobaczyć coś na twarzy Creeda. Hanna mówiła, że ci dwoje – O'Dell i Tully – przygotowują portrety psychologiczne przestępców i że Creed ma być grzeczny. Jeśli rzeczywiście potrafili ocenić czyjś stan psychiczny, powinni go już byli odesłać na Florydę.

– Dla Grace to bez znaczenia – wyznał Creed. – Ale mnie pomaga, jak wiem możliwie jak najwięcej. Na przykład, jeśli podejrzewacie, że to zbrodnia w afekcie, ciało może nie być głęboko zakopane.

– To ma sens.

– Ile jeszcze ciał spodziewacie się tu znaleźć? – Teraz Creed chciał tylko przejść do rzeczy.

– Naprawdę nie wiemy. Może ich być dziesięć, a może nie być nic więcej poza tym, co już znaleźliśmy.

Szczegóły, które mogły pomóc Creedowi i Grace, nie były dokładnie tymi, którymi interesowała się policja czy FBI. Czasami lepiej nie znać wszystkich podejrzeń policji czy nawet ich oczekiwań.

Creed wiedział, że Hanna powiedziała agentowi, co mogą im zaoferować i co będą robić. Zawsze to wyjaśniała, nim przyjęła zlecenie, żeby nie było żadnych nieporozumień, błędnych wyobrażeń i żeby klient wiedział, że nie ma też żadnych gwarancji. Tym razem przynajmniej nie było tu członków rodziny ofiar. Creed nie znosił, kiedy policja pozwalała rodzinie czekać gdzieś na widoku na wyniki jego pracy.

– Skoro nie może mi pan podać płci ofiary, czy może pan powiedzieć, jak długo szczątki leżały w worku? – spytał Creed.

– Około trzech tygodni.

– A czaszka i kości? W jakim były stanie?

– Nie było już śladu tkanki miękkiej, żadnego procesu gnilnego, więc trochę sobie tu poleżały. Ta farma stoi pusta prawie dziesięć lat. Nie wiemy, czy morderca przez cały ten czas

miał do niej dostęp, ale nie możemy tego wykluczyć.

Creed wyjął z plecaka GPS i włączył go. Zaczął coś wpisywać do pamięci urządzenia, żeby określić teren poszukiwań. Teren był spory i przytłaczający, zwłaszcza jeśli dołączyć do tego las za posesją.

– Wyobrażam sobie, że to robi różnicę – ciągnął Tully, kiedy Creed nie zadawał dalszych pytań – czy ciało zostało pogrzebane dwa miesiące czy dwa lata temu.

– Grace jest bardzo zdolna i potrafi wytropić kilka ciał w czasie jednej sesji. Ale tak, może być trudno, jeżeli ciała znajdują się w różnym stopniu rozkładu. Zapach zwłok to nie jest jeden zapach. To wiele różnych zapachów, które ciało wydziela na różnych etapach rozkładu. Poza tym rozmaite czynniki – jak pan zapewne wie – mają wpływ na proces rozkładu. Na przykład głębokość, na jakiej ciało jest pochowane. To, czy znajduje się w worku na śmieci. Skład ziemi i ruch powietrza. Kiedy szukamy w wodzie, ważna jest temperatura wody.

Creed zerknął na agenta i zdał sobie sprawę, że podał mu naraz za dużo informacji. Często przekonywał się, że policja chce od niego tylko tego, by znalazł ciało. Nie obchodziło ich, jak to robi. Dla nich to była magia. Kiedy próbował wytłumaczyć, na czym to polega, zwykle go nie słuchali.

– Pański pies potrafi wyczuć ciało w wodzie?

Creed uśmiechnął się zadowolony, że agent Tully wydawał się raczej zafascynowany niż zagubiony.

– Zapach unosi się do góry – odparł. – Jeśli nauczy pan psa rozpoznawać pewne zapachy, dla niego to bez różnicy, czy ciało jest pod wodą, pod ziemią czy na drzewie.

Nagle Creed usłyszał agentkę O'Dell, która wołała Grace. Odwrócił się i zobaczył, że O'Dell próbuje przywołać psa. Widział też Grace z nosem w górze i postawionymi uszami. Biegała w kółko i machała uniesionym prosto do góry ogonem.

Grace zaczęła bez niego.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

– Puszczaj ją pan ze smyczy? – spytała Maggie. – Nie potrzebuje obroży i smyczy, żeby miał ją pan na oku?

Wstydziła się, że brak jej tchu, czuła się, jakby zrobiła coś złego. Może nie powinna była tak daleko rzucać psu zabawki.

– Nic jej nie jest. Nie używamy obroży ani smyczy. Nie chcę ryzykować, że zapłacze się w krzakach. Zwłaszcza jak się rozdzielimy.

Maggie podniosła różowego słonia i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że z całej siły go ściska.

Creed nie wydawał się zły ani zmartwiony. Zbliżył się do Grace i ze spokojem powiedział:

– Pokaż mi.

Pies był spięty, chciał zostawić Maggie, ale wiedział, że nie wolno mu tego robić. Zataczał coraz większe kółka, aż Creed do niego podszedł i wydał mu komendę.

Maggie obserwowała, jak Creed wpisuje współrzędne do podręcznego GPS. Nie spuszczał Grace z oczu, szedł za nią powoli. Grace biegła, a on szedł. Maggie i Tully trzymali się kilka kroków za Creedem.

– Czemu ona tak krąży? – spytał Tully niemal szeptem, jakby się bał, że przeszkodzi psu w pracy.

– Jest w tak zwanym stożku zapachu. Rozmaite przeszkody mogą tworzyć dodatkowe pola zapachowe, nawet dodatkowe stożki zapachu. Jak już mówiłem, istnieje kilka powodów, dla których mogła jeszcze nie trafić na ten główny zapach.

– Przeszkody? – spytała Maggie i wtedy zauważyła, że choć Grace krąży na pozór bez celu, kieruje się w stronę otwartych drzwi stodoły.

– Jeśli są gdzieś rozrzucone inne kości czy nawet... – Creed się zawahał. – Czy jest możliwe, że części jednego ciała są pogrzebane w kilku różnych miejscach?

Maggie spojrzała na Tully'ego, co nie umknęło uwadze Creeda.

– Ciało w worku na śmieci nie miało głowy – odparł Tully. – Głowa była w reklamówce, ale blisko. Właściwie na tym worku.

Maggie zdała sobie sprawę, że ukrywanie przed Creedem informacji to głupota. To tylko utrudni poszukiwania. Przecież nie chodziło o to, żeby zataić przed nim szczegóły i przekonać się o zdolnościach Grace, to nie był test, podczas którego pies miał im udowodnić swoją wartość.

– Dostaliśmy informację, że być może w stodole jest pogrzebane ciało.

Grace stała już w drzwiach stodoły, ale zatrzymała się i obejrzała się na Creeda, czekała, aż pozwoli jej tam wejść.

– Jaka tam jest podłoga? – spytał, wyciągając z plecaka jakiś pręt, który po chwili rozłożony zamienił się w rodzaj dzidy z ostrymi zębami na jednym końcu.

– Ubita ziemia – odparła Maggie, a Tully uniósł brwi zdziwiony, że partnerka zna odpowiedź. – Sprawdziłam – powiedziała do niego. – Na ziemi jest rozsypana stara słoma.

– Możliwe, że jest tam mina pułapka?

– Jasny szlag – mruknął Tully. – Nie przyszło nam to do głowy.

Żadne z nich o tym nie pomyślało, kiedy beztrąsko otworzyli zasuwę i weszli do środka.

– Jeśli to jakieś pocieszenie – rzekła Maggie. – W domu niczego nie było.

Stali całą trójką w milczeniu, a Grace wachała i machała ogonem, podniecona i gotowa

do wejścia.

Wreszcie odezwał się Creed.

– Zostańcie tu. Każę Grace siedzieć na zewnątrz, dopóki nie upewnię się, że jest bezpiecznie.

– Sprawdzimy razem z panem. – Spojrzała na Tully'ego. To do nich należało zapewnienie innym bezpieczeństwa.

– Maggie ma rację. To my odpowiadamy za tę farmę, także za stodołę. – Tully pierwszy ruszył naprzód.

– Szczerze mówiąc, byłoby lepiej, gdybym sam tam wszedł – rzekł Creed, idąc obok nich. Powoli posuwali się naprzód. Nagle Maggie poczuła, że każdy krok stawia ze świadomością, iż pod stopami może być przykra niespodzianka.

– Szkolimy też psy do poszukiwania ładunków wybuchowych – ciągnął Creed. – Dla policji i wojska. Nawet dla Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Wiem, czego szukać.

– Nie brzmi to przekonująco – stwierdził Tully.

Trzy metry od otwartych drzwi stodoły Creed ich wyprzedził, odwrócił się i stanął naprzeciw nich, jakby chciał dowieść swojej słuszności.

– Jak wszyscy troje wylecimy w powietrze, nie będzie z tego wiele pożytku. Poważnie, nie kwestionuję waszej jurysdykcji ani autorytetu. Mówię tylko, że wiem lepiej, czego szukać, jeśli są tu ładunki.

Creed przenosił wzrok z Tully'ego na Maggie i z powrotem. Gdyby zachowywał się bezczelnie, byłoby łatwiej, ale on sprawiał wrażenie szczerego. Maggie nie podobały się jednak jego argumenty. Wolą sama podejmować ryzyko, niż pozwolić na to innym. Przede wszystkim złościło ją, że ani ona, ani Tully wcześniej nie pomyśleli o tym, iż morderca mógł urządzić na nich zasadzkę. W końcu zostawił im mapę. Wyszli z założenia, że chciał się przed nimi pochwalić swoim talentem i cmentarzyskiem. A przecież znali wielu morderców z radością wrabiających tych, którzy ich ścigali, z przyjemnością patrzących na ich cierpienie albo śmierć.

Maggie znów się rozglądała, obejrzała się na dom, z uwagą patrzyła na okna, wypatrując jakiegokolwiek ruchu. Kępa drzew przesłaniała zastępców szeryfa Unissa. Ktoś mógłby łatwo schować się w jednym z budynków i obserwować ich, samemu nie będąc widzianym.

– Może powinniśmy wezwać fachowców, żeby sprawdzili budynki – powiedziała do Tully'ego.

– Ekipa budowlana przez cały zeszły tydzień przekopywała teren i wyburzała budynki – odparł, choć i on się rozglądał. – Naprawdę mało prawdopodobne, żeby ktoś podłożył ładunek tylko w jednym budynku.

– Pewnie wszystko jest w porządku – wtrącił Creed. – Zawsze jestem nazbyt ostrożny. Muszę chronić psy przed nieprzewidzianymi niespodziankami, o ile to możliwe. Czasami farmerzy zostawiają pułapki na myszy. Pozwólcie mi tylko sprawdzić.

Maggie czuła na sobie wzrok Tully'ego. Wiedziała, że już zdecydował, iż puści Creeda pierwszego, ale nie chciał tego powiedzieć na głos, nim się z nią nie porozumie. Maggie obserwowała Creeda, czekała, aż spojrzy jej w oczy. Kiedy wreszcie na nią popatrzył, ani mrugnął. Patrzył z napięciem, z zaskakującą dojrzałością jak na tak młody wiek. Ale poza tym w jego spojrzeniu Maggie dojrzała lekkomyślne lekceważenie własnego bezpieczeństwa. To nią wstrząsnęło. Zwykle w ryzykownych sytuacjach czuła skok adrenaliny, czasem zdrową dawkę strachu albo podniecenia. W oczach Rydera Creeda widziała cień determinacji. Jakby był gotów za parę minut wylecieć w powietrze.

Złościło ją, że obaj mężczyźni postawili ją w takiej sytuacji. Chciała wierzyć, że Tully ma rację. Gdyby morderca zamierzał wysadzić ich w powietrze, miał dotąd kilka okazji. Potem

pomyślała o pomarańczowych skarpetkach, które włożył tamtej kobiecie. Morderca pragnął, by jego dzieło zostało odnalezione, a nie zniszczone czy wysadzone.

Nie zdejmując oczu z Creeda, powiedziała do niego:

– Jak zobaczy pan coś podejrzanego, proszę się natychmiast wycofać, wezwiemy fachowców.

– Jasne – zgodził się.

Zaczął się znów odwracać, ale jeszcze się zatrzymał, jakby o czymś zapomniał. Sięgnął do kieszeni dżinsów i podał Tully’emu kluczyki do dżipa.

– Na wszelki wypadek – rzekł z lekkim uśmiechem, który unosił kącik jego warg i boleśnie przypominał Maggie, że nie myliła się co do tego, co dojrzała w jego oczach. Zdumiało ją, jak bardzo nie chciała, by tego mężczyznę spotkało coś złego.

Creed kazał podnieconej machającej ogonem Grace zostać na zewnątrz. Potem wszedł do stodoły, trzymając w ręce składaną dzidę.

– Nie wiemy nic na ten temat, żeby morderca ukrywał gdzieś miny pułapki, prawda? – spytał Tully, jakby wciąż potrzebował potwierdzenia.

– Rozwiesił na drzewie wnętrzności Zacha Lestera. Zostawił nam mapę. – Myślała głośno Maggie. – A te pomarańczowe skarpetki – powiedziała. – Włożył je ofierze, która już nie żyła, przez wzgląd na nas. Jeżeli w środku jest kolejne ciało, mam nadzieję, że on chce, żebyśmy je znaleźli, a nie padli obok niego trupem.

Patrzyła na drzwi stodoły i w tym momencie zdała sobie sprawę, że odpięła kaburę i prawą ręką pod kurtką ścisnęła rewolwer.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Matka przyniosła Noahowi czyste ubranie. Detektywi skonfiskowali z samochodu Ethana jego podręczną torbę i wszystko, co było w środku. Przekazali ją do laboratorium kryminalistycznego. Powiedziano mu, że teraz badają każdą znajdującą się tam rzecz, szukają jakiegoś tropu. Detektyw Lopez oznajmił to Noahowi tonem, który brzmiał jak groźba. Noah wiedział, że nie znajdą tam żadnego wyjaśnienia tego, co się stało. W świetle dnia sam nie był pewien, czy w to wszystko wierzy.

Kiedy im powiedział, że Ethan nie żyje, matka jęknęła, ale detektyw Lopez i ojciec patrzyli na niego, jakby kłamał albo majaczył. Teraz rozmawiali, jakby jego tam nie było. Jacyś ludzie wchodzili i wychodzili ze szpitalnego pokoju.

Lekarz jako jedyny rozmawiał z Noahem, nie patrząc na niego jak na wariata. Kiedy przyszedł go zbadać, był miły i uprzejmy. Noah chciał mu powiedzieć o głosach, które słyszy. Czy lekarz mógłby coś na to poradzić? Czy ma lekarstwo, które by pomogło? Może Noah powinien był się poskarżyć. Może wtedy lekarz nie wypisałby go ze szpitala.

Detektyw Lopez powiedział Noahowi, że ma szczęście. Że na razie odsyła go z rodzicami do domu, zamiast zatrzymać go w areszcie. Noah chciał odpowiedzieć detektywowi, że w celi czułby się bezpieczniejszy. Że nie chce wracać z rodzicami do domu. Powinien był im wyznać, że szalenciec zabrał jego prawo jazdy. Że zna jego adres domowy – adres rodziców.

Ale jak miał to wszystko powiedzieć, skoro obiecał mordercy, że o tym, co się wydarzyło, słowa nikomu nie piśnie?

„Co oni wszyscy by pomyśleli?” – Noah wciąż słyszał głos szaleńca. – „Co powiedzieliby twoi rodzice, gdyby wiedzieli, że błagałeś mnie o to, żebym najpierw zabił twojego przyjaciela?”

Noah rozejrzał się po pokoju, upewnił się, czy nikt prócz niego nie słyszy głosu. Taki ten głos w jego głowie był przekonujący. Ale chyba nikt niczego nie zauważył. Ani ojciec, ani detektyw Lopez, którzy tuż za drzwiami rozmawiali szeptem. Ani pielęgniarka czy matka, które przeglądały formularze wypisu.

A jednak głos był jak żywy. Podobnie jak krzyki Ethana.

*Nie myśl o tym. Przestań o tym myśleć. Po prostu przestań.*

Tym razem, gdy podniósł wzrok, wszyscy na niego patrzyli. Noah zdał sobie sprawę, że niektóre słowa znów wypowiedział głośno. Nadal siedział na rogu łóżka, ale odwrócił się do nich plecami i wkładał koszulę, jakby nigdy nic, jakby nie wykrzyczał tych wszystkich dziwnych rzeczy.

Skupił się na przyjemnym zapachu koszuli, takiej miękkiej i miłej na jego posiniaczonej skórze. Potem spróbował wciągnąć skarpetki. Dzięki Bogu, kostka nie była złamana. Opuchlizna zeszała, ale noga nadal straszyla czarno-siną barwą.

„Zdejmij buty”- usłyszał głos szaleńca. Tym razem opuścił głowę i zwalczył nagłą instynktowną chęć rozejrzenia się wokół. „Co jesteś w stanie zrobić? – Głos nie chciał ucichnąć. – Co zrobisz, żeby przeżyć?”

Noah przygryzł wargę i starał się go zignorować. Naciągnął skarpetkę nad kostkę, krzywiąc się z bólu. To nic, powiedział sobie. Potem zobaczył kroplę krwi. Jasnoczerwoną kroplę, która spadła na białą pościel. Panika ścisnęła mu żołądek. Tak mocno przygryzł wargę, aż zaczęła krwawić.

W korytarzu zrobił się jakiś ruch. Noah się odwrócił. Do detektywa Lopeza dołączył policjant w mundurze i razem coś oglądali. Starali się ukrywać to przed rodzicami Noaha.

Potem nagle Noah usłyszał głos ojca:

– O mój Boże!

Teraz panika gwałtownie ścisnęła mu serce i płuca. Nie chciał wiedzieć, co tak zaszokowało ojca. Lopez spojrział na Noaha, który nawet z odległości czuł wstręt i złość detektywa.

Potem zobaczył, że Lopez zabrał coś z ręki policjanta. Coś zapakowanego w szczelnie zamknięty foliowy woreczek. Detektyw wkroczył do pokoju i stanął przed Noahem.

– Znaleźli to w bagażniku twojego przyjaciela – oznajmił. – Porządnie zapakowane w foliowej torebce. W jaką chorą grę ty grasz?

Uniósł torebkę i pokazał ją Noahowi i wszystkim w pokoju.

Noah usłyszał, jak ojciec mówi do matki:

– Nie patrz.

Potem polecił Noahowi:

– Nie odpowiadaj. Detektywie Lopez, od tej chwili mój syn bez adwokata nie będzie odpowiadał na żadne pytania.

Noah wlepił wzrok w zakrwawiony kawałek papieru w foliowej torebce. Zapisane tam liczby wyglądały na numer telefonu. W woreczku była jeszcze tylko jedna rzecz i na to właśnie zareagował ojciec Noaha. Noah nie musiał specjalnie się przyglądać, by wiedzieć, co to takiego. Na dnie woreczka leżał odcięty palec wskazujący Ethana.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Dla Maggie minuty płynęły teraz nieznośnie powoli, ale każda, która mijała bez eksplozji, przynosiła ulgę. Potem nagle Ryder Creed wyłonił się ze stodoły. Pokazał im uniesiony do góry kciuk i natychmiast ruszył do Grace. Pies wciąż czekał, wyraźnie nauczony, że bez komendy Creeda nie wolno mu się ruszyć, za to machał nie tylko ogonem, ale jakby całym zadem. Creed postukał prawą otwartą dłonią w pierś, jakby wskazywał na serce, a wtedy Grace do niego popędziła.

– Sprawdziłem wszystkie drzwi, zjrzałem do boksów i na strych na siano – powiedział do nich, zdejmując z włosów pajęczyny. – Możemy zaczynać. – Potem rzekł do Grace: – Idź szukaj.

Pies skoczył do stodoły z nosem do góry.

Dla Maggie to poszukiwanie było fascynujące. Jej własne psy dość niespodziewanie znalazły się w jej życiu. Harvey, biały labrador, należał do sąsiadki, której Maggie nigdy nie spotkała. Kobietę brutalnie porwano z domu, choć Harvey bronił jej, jak potrafił, aż sam został ranny. Jake, czarny owczarek, uratował Maggie w Sandhills w Nebrasce. Był samotnikiem, nie chciał mieć właściciela – nawet Maggie. Kiedy przywiozła go do domu, podkopywał się i uciekał z azylu, jaki mu – jej zdaniem – stworzyła. Oba psy wciąż uczyły Maggie trudnych prawd na temat jej samej, zaufania, życia. Nigdy jednak nie widziała psa i jego pana, którzy pracują tak blisko, tak zgodnie, rozpoznają nawzajem swoje ruchy, reakcje, oczekiwania.

Maggie i Tully stali w kącie, żeby im nie przeszkadzać. Obserwowali Creeda, który swoim ostro zakończonym drążkiem nakłuwał ubitą ziemię. Nazywał to przewietrzaniem i wyjaśnił, że otwory w ziemi pozwalają na cyrkulację powietrza, co z kolei ułatwia uwalnianie się zapachów, a tym samym pracę Grace. Co prawda Grace nie sprawiała wrażenia, że jej to potrzebne. Biegała po stodole z uniesionym nosem, jakby dzieliła tę powierzchnię na części. Nie biegała w kółko bez ładu i składu, tylko wzdłuż bocznej ściany, tam i z powrotem, niemal po równoległych liniach.

Z każdą chwilą wydawała się bardziej podekscytowana. W pewnym momencie przystanęła i pazurami zaczęła grzebać w sianie i ziemi. Znów powąchała, odwróciła się i nasikała, po czym ruszyła dalej.

Creed cały czas był tuż obok. Pochylił się i przyjrzał się tamtemu miejscu, po czym rzekł do Maggie i Tully'ego:

– Martwa mysz.

– Myśli pan, że tylko to wyczuła? – spytał Tully.

– Nie, jest wyszkolona do szukania ludzkich szczątków.

– Ale może to ją zdezorientowało? – Tully powiedział to tak, jakby uważał, że tracą czas.

– Martwe zwierzęta tylko na moment odwracają jej uwagę. Dlatego oddała na nią moc.

W ten sposób zaznaczyła ten zapach.

Faktycznie, poszukiwania trwały dalej. Maggie zauważyła, że pies oddycha coraz szybciej. Nagle Grace nadstawiła uszu, uniosła ogonek i zaczęła machać. Drapała pod drzwiami jednego z końskich boksów. Na tyłach stodoły znajdowały się obok siebie trzy takie boksy. Drewniane drzwi nie sięgały podłogi, szpara w dole miała jakieś siedem do ośmiu centymetrów. Od góry drzwi sięgały do wysokości piersi, więc trudno było zajrzeć do środka.

Creed zerknął nerwowo na Maggie i Tully'ego.

– Sprawdzałem drzwi, ale tam nie wchodziłem. – Potem powiedział do Grace: –



Chwileczkę, dziewczyno. – Przejechał dłonią po zawiasach, raz jeszcze sprawdził zasuwę i od góry zajrzał do boks.

Grace była coraz bardziej ożywiona, unosiła nos i wciągała powietrze, zniecierpliwiona, gotowa do skoku. Kiedy jednak Creed podniósł zasuwę, a potem otworzył drzwi, Grace się zawahała. Zrobiła kilka kroków naprzód, po czym się wycofała. Odwróciła się i podniosła wzrok na Creeda.

Jej spojrzenie przyprawiło Maggie o ciarki. Grace patrzyła prosto w oczy swojego pana, jakby mówiła: „Tutaj jest to, czego szukamy”.

– Dobra dziewczyna. – Nie odwracając wzroku, Creed wyciągnął rękę w kierunku Maggie i rzekł: – Mogę poprosić o słońia?

W pierwszej chwili Maggie nie wiedziała, o czym on mówi. Potem zdała sobie sprawę, że w lewej dłoni wciąż ściska różową zabawkę Grace. Powoli podeszła do Creeda i ostrożnie położyła zabawkę na jego wyciągniętej ręce. On z kolei pokazał słońia Grace, która natychmiast się uspokoiła, zaczęła znów machać ogonem, tyle że już nie w szalonym tempie jak chwilę wcześniej. Znów była psem, który czeka na zasłużoną nagrodę.

– Grace, dobra dziewczyna – powtórzył Creed i rzucił jej zabawkę.

Grace chwyciła zębami słońia, aż zapiszczała. Maggie nie mogła uciec od myśli, jak bardzo ten radosny dźwięk nie pasuje do tej chwili i miejsca, gdzie może znajdować się kolejny grób.

Creed pozwolił Grace pobaraszkować, lecz nie próbował wejść do boks. W końcu odsunął się od otwartych drzwi i spojrzał na Maggie i Tully’ego.

– Nie biorę udziału w odkopywaniu – oznajmił.

Tully nadal nie wyglądał na przekonanego, że mają co odkopywać. Maggie podeszła bliżej, by się przyjrzeć. Boks miał jakieś trzy metry szerokości i trzy długości. Z tego, co widziała w przyćmionym świetle, podłoga wyglądała podobnie jak w całej stodole. Nie zauważyła w ziemi żadnych wybrzuszeń czy zagłębień. Słoma leżąca na ziemi także nie różniła się od słomy w pozostałej części pomieszczenia, nie sprawiała też wrażenia, by ktoś ją ruszał. Ani śladu krwi czy rozkładającego się ciała. Drewniany żłób był pełen, przykryty starą końską derką. Obok stało dwudziestolitrowe metalowe wiadro z zakurzoną pokrywą.

Maggie obejrzała się za siebie i zobaczyła, że Creed wyprowadził Grace na zewnątrz. Rzucił jej różowego słońika, a ona za nim biegła. Tully stał po drugiej stronie stodoły z telefonem przy uchu. Mówił komuś – prawdopodobnie szeryfowi, żeby sprowadził ekipę do kopania. Kiedy wyjaśniał sytuację, w jego głosie Maggie wciąż słyszała sceptycyzm, choć bardzo chciał go ukryć.

Maggie weszła dalej do boks i zastanawiała się, czy Grace mogła się pomylić. Teraz poczuła silny kwaśny odór, prawdopodobnie zapach końskich odchodów. Potem sobie przypomniała, co powiedział Creed, kiedy Grace znalazła martwą mysz. Każdy inny zapach tylko na chwilę odwracał uwagę psa. Grace wyszkolono do znajdowania ludzkich szczątków, a nie martwych zwierząt i z pewnością nie końskiego nawozu. Właśnie w tym momencie Maggie zrozumiała, co czuje.

Gwałtownie przeniosła wzrok na wiadro. Dwudziestolitrowe, szczelnie zamknięte, metalowe. Zapach nie mógł się stamtąd wydostawać, a jednak sama myśl o tym, co mogłoby znajdować się w środku, sprawiła, że zaschło jej w ustach, a żołądek podszedł do gardła.

Wyjęła z kieszeni kurtki lateksowe rękawiczki i włożyła je, zbliżając się do drewnianego żłobu. Palcem wskazującym uniosła środkową część wełnianej końskiej derki.

Było tam coś twardego, z pewnością nie pokarm dla koni.

Znalazła róg derki i zaczęła ją podnosić, ale zatrzymała się, gdy derka stawiała opór

i wydała taki odgłos jak przy rozpinaniu zapięcia na rzep. Jednak nawet niewielka szpara uwolniła więcej kwaśnego odoru.

Maggie znów obejrzała się przez ramię. Tully wciąż rozmawiał przez telefon. Creed i Grace, sądząc z pisku gumowego słownika, byli dość daleko.

Po raz kolejny pociągnęła za róg wełnianej derki i pomimo przykrego dźwięku i odoru nie przerywała, ciągnęła powoli, centymetr po centymetrze. Rozkładające się ciało wniknęło w splot derki, i kiedy Maggie ciągnęła derkę, odciągnęła też warstwę skóry. Gruba wełna działała niczym środek do mumifikacji, ale zdejmowanie jej z ciała zaczęło uwalniać gazy.

Maggie musiała się odsunąć. Serce jej waliło. Odwróciła się i zaczerpnęła kilka haustów powietrza, które płynęło z zewnątrz. To pomogło jej się uspokoić. Potem wróciła do pracy. Znowu ostrożnie i niespiesznie ciągnęła derkę, aż mogła zidentyfikować przedramię. To jej wystarczyło. Była pewna, że tam jest ciało. Zostawi je koronerowi do badania.

Zanim się odsunęła, zobaczyła coś jasnoczerwonego i niebieskiego, a ponieważ oderwała też warstwę skóry, tatuaż stał się jeszcze bardziej wyraźny. Wiedziała, że z tatuażami tak właśnie się dzieje, gdyż atrament przedostaje się pod wierzchnią warstwę skóry. Tatuaże są bardzo pomocne przy identyfikacji ciała. Teraz nie mogła dłużej czekać. Była już tak blisko. Musiała przynajmniej zerknąć.

Pociągnęła derkę, aż ujrzała cały tatuaż – głowę orła z przeszywającymi oczami nad sporym dziobem, a nad tym napis „Sturgis”.

Odsunęła się.

Pieprzony drań mówił prawdę.

Otis P. Dodd miał rację, twierdząc, że w stodole jest ciało. Wyglądało też na to, że się nie mylił, mówiąc, iż jest to wytatuowany motocyklista.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Późnym popołudniem cicha farma nie była już tak cicha. Rola Maggie i Tully'ego została szybko zredukowana do kierowania ruchem i dozoru. Z Omaha przyjechali znów technicy kryminalistyki – Janet, Matt i Ryan – ze swoim przenośnym laboratorium. Agent Alonzo powiedział Maggie i Tully'emu, że agent FBI z biura w Omaha także się tam pojawi, ale na razie go nie widzieli.

Grace wskazała jeszcze pięć innych miejsc: jedno za starą pralnię, jedno za stodołę i trzy w lesie. Po każdym wskazaniu Creed pozwalał jej odpocząć, bawiła się różowym słoniem i dostawała miskę wody. Teraz szli pastwiskiem, ale w ciągu minionej godziny na nic nie trafili. Creed upierał się, żeby tego dnia to był ich ostatni teren do sprawdzenia.

Szeryf Uniss przywiózł ze sobą profesora antropologii z pobliskiego uniwersytetu, który miał pokazać jego zastępcom, jak kopać we wskazanych przez Grace miejscach. Creed ich uprzedził, że trzy lokalizacje w lesie mogą być otoczone przez coś, co nazwał drugorzędnymi elementami rozproszonymi – innymi słowy fragmentami głównego celu. Zaznaczył miejsca głównego celu nie tylko zgodnie ze wskazaniem Grace, ale także swoimi obserwacjami, zwracając szczególną uwagę na jedno miejsce, gdzie trawa sięgała do połowy wysokości zielska, które ją otaczało.

Maggie nie zazdrościła ekipie kopaczy. Creed oznaczył teren co najmniej tuzinem fluorescencyjnych chorągiewek, niektóre z nich znajdowały się w naprawdę trudno dostępnych miejscach, z dala od bitej drogi.

Szeryf wysłał jednego ze swoich ludzi po kanapki dla wszystkich. Maggie i Tully byli jedynymi, którzy zabrali się do jedzenia. Tully przyniósł także butelkowaną wodę gazowaną i niegazowaną, a Maggie znalazła spokojne miejsce przy piknikowym stole.

Tego dnia słońce nie grzało zbyt mocno, ale dzień był piękny i Maggie uderzyła absurdalność sytuacji – połączenie piękna natury i ludzkiej makabry. Patrząc na Grace, pomyślała o swoich psach i wyjęła telefon komórkowy. Nie zastanawiając się, która godzina ani czy komuś nie przeszkodzi, nacisnęła przycisk szybkiego wybierania. Po dwóch sygnałach przełączyło ją na pocztę głosową. Słuchała gładkiego niskiego głosu Benjamina Platta, który prosił, by zostawiła wiadomość po sygnale.

– Hej, mówi Maggie – powiedziała. – Sprawdzam tylko, co z moimi chłopakami. Chyba utkniemy tu na parę dni. Później spróbuję cię złapać. Cześć.

Te słowa wydały się jej niemal obcesowe. A przecież ledwie kilka miesięcy temu zastanawiała się, czy nie związać się z tym mężczyzną. Tak szybko się zaprzyjaźnili, że kolejny krok wydawał się nie tylko naturalny, ale i nieunikniony. Oboje to udaremнили. Nie, nieprawda, Maggie to udaremniła. Ben pragnął stałego związku. Chciał założyć rodzinę i mieć dzieci. Nadal cierpiał po stracie córeczki, Allie, choć od jej śmierci minęło blisko pięć lat. Jednak Maggie nie była pewna, czy potrafi wypełnić pustkę po śmierci Allie. Nie wiedziała, czy chce mieć dzieci.

– Złapałem ostatnią dietetyczną pepsi – rzekł Tully, wracając z puszkami wody w rękach i butelkami wystającymi z kieszeni.

Otworzył puszki, a Maggie rozłożyła serwetki i rozpakowała kanapki. Ich codzienne rytuały miały swój rytm, było widać, że spędzają razem sporo czasu.

– Nie zapomnij wziąć antybiotyków – powiedziała Maggie. – I popij dużą ilością wody. – Otworzyła butelkę wody i postawiła ją przed Tullym.

– Dzisiaj czuję się lepiej.

– Mimo wszystko musisz wziąć lekarstwo.  
– Rozmawiałaś z Gwen – rzekł, ale już wyciągał z kieszeni spodni foliowy woreczek z pigułkami. – Nie podoba mi się, że wraca na rozmowę z tym Doddem. Nie obchodzi mnie, że jej zdaniem jest niegroźny. Po prostu nie chcę, żeby tam wracała.  
– Otis jest jedyną osobą, która może nam powiedzieć, kim jest morderca.  
– Myślisz, że naprawdę ma na imię Jack?  
– Wątpię. – Ugryzła kanapkę. Zastępca szeryfa dobrze się spisał: kanapka była z indykiem, serem provolone i ostrą musztardą.  
– Alonzo mówił, że zjazd motocyklistów w Sturgis jest w sierpniu – rzekł Tully. – W Sturgis w Dakocie Południowej. To sześć do siedmiu godzin stąd. Drogą I-29 na północ, a potem I-90 na zachód. Powiedział też, że uczestniczy w tym jakieś pół miliona ludzi. Dasz wiarę?

Maggie potrząsnęła głową.

– Od sierpnia minęło zbyt dużo czasu. – Wskazała na rozrzucone opakowania po jedzeniu. – Zjesz swoje pikle?

– Częstuj się. – Przesunął ku niej pikle na woskowanym papierze.

– Zresztą Jack nie musiał go akurat wtedy załatwić.

– A według ciebie kiedy to się stało?

– Przez tę końską derkę trudno powiedzieć.

– Nawet nie chciało mu się pogrzebać ciała. Robi się niechlujny?

Technik kryminalistyki Ryan wyszedł ze stodoły z metalowym wiadrem w ręce. Stół piknikowy stał za domem jakieś trzydzieści metrów dalej. Kiedy Ryan dostrzegł Maggie, wskazał na wiadro i z emfazą kiwnął głową, a potem szedł dalej do samochodu laboratorium zaparkowanego obok stodoły.

– O co chodzi? – spytał Tully.

– Powiedziałam mu, że głowa naszego motocyklisty może być w wiadrze. Chyba miałam rację.

– Jack robi się bardzo przewidywalny.

Zadzwoń na komórkę Maggie. Nie rozpoznała numeru ani kierunkowego 785.

– Maggie O'Dell, słucham?

– Pani O'Dell, mówi detektyw Lopez z wydziału policji hrabstwa Riley w Manhattan w stanie Kansas. Czy byłaby pani uprzejma powiedzieć mi, kim pani jest i dlaczego, do diabła, pani numer znajduje się w foliowym woreczku razem z odciętym palcem zaginionego studenta college'u?

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

– Akurat kiedy myśleliśmy, że w tym pościgu już mało co nas zaskoczy – rzekł Tully do Maggie, kiedy ruszyli znów w drogę.

– Nie wiadomo, czy to ma coś wspólnego z naszym Jackiem.

– Z twoim Jackiem – poprawił Tully.

Detektyw Lopez niewiele jej zdradził, choć wydawał się zadowolony z propozycji pomocy Maggie. Szczerze mówiąc, Maggie odniosła wrażenie, że odetchnął z ulgą. Powiedział, że dziesięcioletni student Ethan Ames zaginął i dotąd go nie odnaleziono. Ekipa poszukiwaczy przeczesła lasy otaczające parking, gdzie stał jego samochód. Przyjaciel Ethana Noah Waters, który wówczas z nim był, plecie jakieś bzdury. A ponieważ detektyw Lopez sądzi, że Noah może być zamieszany w zaginięcie kolegi, ojciec Noaha nie pozwolił synowi odpowiadać na ich pytania bez obecności adwokata.

Lopez wyjaśnił, że numer telefonu Maggie został zapisany na skrawku papieru, który schowano w szczelnie zamykanym foliowym woreczku. W tym samym woreczku znajdował się, jak przypuszczali, prawy palec wskazujący Ethana Amesa. Znaleźli to, przeglądając zawartość bagażnika samochodu chłopaka. Auto skonfiskowali na parkingu.

Na koniec detektyw zapytał:

– To jakiś pieprzony satanistyczny kult?

Maggie i Tully zostawili farmę w Iowa w rękach bardzo młodego agenta z biura w Omaha i techników kryminalistyki. Jazda z Sioux City w Iowa do Manhattan w stanie Kansas to pięć do sześciu godzin. W drugiej połowie podróży, kiedy Maggie zauważyła, że Tully pobladł, zastąpiła go za kierownicą. Po drodze zatrzymali się tylko dwa razy, raz po benzynę i na kawę i drugi raz na kawę i do toalety. Za każdym razem, gdy zjeżdżali z międzystanowej na parking dla ciężarówek, Maggie przylapywała się na tym, że bacznie się rozgląda i nasłuchuje.

Było już późno i końcowe dwieście kilometrów z Lincoln w Nebrasce jechali czteropasmową autostradą, a potem znów dwupasmową międzystanową. Po drodze mijali mnóstwo miasteczek, co zwalniało ich podróż. Czarny asfalt oświetlały tylko reflektory samochodu i księżyc. Ruch był bardzo mały.

Kiedy wjechali do Manhattan w stanie Kansas i minęli kampus uniwersytecki, oboje byli wykończeni i mieli zaczerwienione zapuchnięte oczy.

Detektyw Lopez zarezerwował im dwa pokoje w Holiday Inn. Rano mieli się z nim spotkać. W związku z tym, że nadal nie odnaleziono Ethana Amesa, Creed zgodził się nazajutrz do nich dołączyć. Grace była wyszkolona do poszukiwania i akcji ratunkowych. Creed upierał się jednak, że po dniu pracy pies potrzebuje odpoczynku. Podróż do Iowa zajęła im osiemnaście godzin. Przyznał, że on także chciałby się wyspać. Ale obiecał, że nazajutrz wyruszy wcześniej rano i spotka się z nimi w Manhattanie.

Maggie wiedziała, że musieliby być kompletnie wykończeni, żeby Tully cieszył się hotelem. W porównaniu do ich ostatnich miejsc noclegowych te pokoje były jednak luksusowe. Co najlepsze, dostali dwa sąsiednie na końcu korytarza na trzecim piętrze.

Natychmiast otworzyli łączące drzwi. Układ ścian i tak zapewniał im wystarczającą prywatność. Nie mogli zaglądać nawzajem w głąb swoich pokoi, ale mogli rozmawiać i odwiedzać się, kiedy chcieli.

– Obsługa pracuje do północy. – Tully wszedł do Maggie z hotelowym menu i laptopem.

– Tully, dochodzi północ. – Zignorowała go i zaczęła wypakowywać koszulę nocną

i przybory toaletowe.

– Jedliśmy tylko kanapki, i to prawie dziesięć godzin temu. Spójrz na to. Mają menu z Houlihan's. Kiedy się meldowaliśmy, zauważyłem, że restauracja jest zaraz obok holu.

Zostawił menu na jej łóżku, postawił komputer na biurku i zaczął na nim pisać. Może sąsiednie pokoje to jednak nie taki dobry pomysł. Mieli przed sobą kolejny długi dzień, a Maggie ledwie trzymała się na nogach.

– Alonzo przysłał mi zdjęcie satelitarne parkingu.

Zerknęła na zdjęcie, które właśnie wyświetliło się na ekranie komputera. Podczas ostatnich kilometrów jazdy zauważyła na GPS-ie, że droga lekko się wznosi, widziała też w przeblysku wapienne stromizny. Okolicę porastały głównie rośliny zimozielone i drzewa liściaste w pełnym rozkwicie.

Maggie milczała, więc Tully wziął menu z rogu łóżka i powiedział:

– Prawdziwe jedzenie. Nie burgery z parkingu czy kanapki ze sklepu. Mają tu prawdziwe hamburgery i paszteciki z kurczakiem i awokado.

– Okej, już cię słucham – zażartowała, nie zdejmując wzroku z ekranu komputera.

Tully wyraźnie złapał drugi oddech. No jasne, że złapał – przez ostatnie trzy godziny to ona prowadziła. Teraz, gdy już dotarli na miejsce, był gotowy do pracy.

– Lopez uważa, że ci chłopcy mimowolnie posunęli się za daleko – rzekła. – Że to się zaczęło jako zabawa i wymknęło im się z rąk.

– I jeden obciął drugiemu palec?

– Powiedział, że Manhattan w stanie Kansas to miasto uniwersyteckie. Widział już dziwniejsze rzeczy.

– Cóż, oboje wiemy, że to prawda. Dzieciaki są zdolne do głupich i okrutnych czynów. To jeden z powodów, dla których chciałbym zamknąć Emmę w jej pokoju, aż skończy trzydziestkę.

Córka Tully'ego właśnie rozpoczęła naukę w college'u. Od czternastego roku życia była wychowywana prawie wyłącznie przez ojca, z bardzo małym udziałem matki.

– On sądzi, że Noah nie chce mówić, bo coś tamtemu zrobił.

– A ty uważasz, że ten jego kumpel został zamordowany przez naszego Jacka? – spytał.

Nacisnął dwa klawisze i powiększył obraz na ekranie. Grube baldachimy drzew. Skaliste występy. Hektary jednego i drugiego, otaczające niewielki ceglany budynek i parking.

– Jeden chłopak zaginął – rzekł. – Prawdopodobnie nie żyje. Ale ten drugi żyje. Wiemy, do czego zdolny jest Jack, a to do niego niepodobne, żeby puścił kogoś wolno. To mi nie pasuje.

– Jak wyjaśnimy numer mojej komórki?

– To akurat w jego stylu. Co ci podpowiada instynkt?

Maggie zastanowiła się, przetarła zmęczone oczy. Niestety, nietrudno było zdobyć numer jej komórki. To mógł być jakiś dowcipniś, który nie ma nic wspólnego z Jackiem, ich autostradowym mordercą. Ale odkąd Tully porównał obsesję Jacka z obsesją Alberta Stucky'ego, niepokój Maggie odrobinę wzrósł.

Jak się tak nad tym zastanowić, ten gość co najmniej od miesiąca miał ją na oku. W Waszyngtonie prawie się do niej zbliżył. Teraz przejechali pół kraju, kierując się jego wskazówkami. Bawił się z nimi, udawał, do czego jest zdolny.

– To on – stwierdziła w końcu. – Ale myślę, że tym razem jednak coś spieprzył.

– Niby jak?

– Noah Waters może nam podać jego rysopis.

**CZWARTEK 21 MARCA**

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

*Manhattan w stanie Kansas*

Noah próbował nie patrzeć w oczy kobiety, która siedziała naprzeciw niego w salonie rodziców. Detektyw Lopez przedstawił ją jako agentkę O'Dell z FBI, po czym wyszedł.

*O Boże... tylko nie FBI.*

Spanikowany i z walącym sercem, które zagłuszało wszystkie inne dźwięki, Noah nie słyszał połowy tego, co mówił detektyw.

Ostatniej nocy prawie nie spał. Na gorze w jego starej sypialni okna tłukły się nawet bez wiatru. W pewnej chwili przysięgłby, że słyszał jakieś drapanie. Sypialnia była na piętrze, ale pod oknami nie rosły drzewa, na które można by się wspiąć, by drapać w szybę czy mur. Ani by rzucać cienie, które go obudziły.

*To nieprawda.*

Nie obudziło go drapanie ani cienie, tylko krzyki Ethana.

– Detektyw Lopez powiedział mi, co się stało – mówiła agentka.

Noah omal się nie zaśmiał. Potwornie się denerwował. Zupełnie nie panował nad emocjami. Ale to było zabawne – jak detektyw mógł jej cokolwiek powiedzieć, skoro Noah nic mu nie zdradził? Zerknął na kobietę. Próbuje jakichś sztuczek? Zdał sobie sprawę, że bacznie mu się przypatruje. Czy zdoła zobaczyć to, co przed nią ukrywa?

Była młodsza od matki i przypominała mu profesorkę angielskiego. Lubił panią Gilbert. Ale co by o nim pomyślała, gdyby wiedziała, co zrobił?

– Potrzebujemy twojej pomocy – powiedziała agentka FBI. – Musimy znaleźć twojego przyjaciela Ethana.

Noah potrząsnął głową. To niczego nie zmieni. Zresztą i tak nic nie powie.

– Nawet jeśli Ethan nie żyje – dodała, jakby czytała mu w myślach.

Teraz przyciągnęła uwagę Noaha, który podniósł na nią wzrok i patrzył jej w oczy tak długo, jak długo dał radę wytrzymać tę konfrontację. Potem przeniósł spojrzenie z twarzy agentki na nowy obraz, który matka powiesiła nad kominkiem. Konie, dzikie konie. Matka dekorowała dom rzeźbami i obrazami, licznymi – dopiero teraz to zauważył – portretami uciekających zwierząt albo ptaków.

– Detektyw Lopez myśli chyba, że razem z Ethanem byliście zaangażowani w jakiś satanistyczny rytuał.

Tym razem Noah głośno się roześmiał. Nerwowy wybuch śmiechu szybko ucichł. Szaleniec, który ich zaatakował, zdecydowanie był jakimś szatanem.

„Co zrobisz?” Noah wciąż słyszał głos mężczyzny. Pochylił głowę, oparł brodę na piersi. Zdusił chęć obejrzenia się za siebie.

*Nie myśl o tym. Przestań o tym myśleć. Nie powiem, obiecałem, że nie powiem.*

Za późno. Już czuł zapach uryny, wymiocin i krwi. Smród tak silny, że unióśł ręce i sprawdził, czy nie ma na nich krwi. Słyszał odgłos łamanych kości i przecinanej skóry. Nagle zrobiło mu się niedobrze. Czuł podchodzącą do gardła żółć.

*Jedno dźgnięcie i pozwolę ci odejść.*

Noah zaczął się krztusić. Podniósł wzrok na agentkę FBI i wybiegł do najbliższej łazienki.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Maggie czekała cierpliwie. Słyszała wymiotującego w łazience Noaha. Jeszcze nawet nie zaczęła przesłuchania. Chłopak wyraźnie doświadczał szoku pourazowego.

To, co detektyw Lopez nazwał poczuciem winy, było o wiele głębsze i bardziej niepokojące. Lopez uważał, że to z powodu poczucia winy Noah tak dziwnie się zachowuje i nie współpracuje z policją. Maggie z kolei zadała sobie pytanie, czy chodzi o to, co chłopak zrobił, czy o to, czego był świadkiem.

Po wyjściu z łazienki Noah wydawał się zdziwiony, wciąż widząc agentkę. Ze wstydu się zaczerwienił. Mimo wszystko usiadł naprzeciw niej na kanapie.

Maggie przekonała Tully'ego, by pozwolił jej samej porozmawiać z chłopakiem. Cokolwiek przeszedł Noah, zasługiwał na łagodniejsze traktowanie niż to, jakiego zaznał od detektywa Lopeza. Ale czas nie był ich sprzymierzeńcem. Minęły ponad dwie doby. Jeżeli Ethan w ogóle jeszcze żył, stracił dużo krwi. Jeśli Jack zaatakował tych dwóch chłopców dwie noce wcześniej, mógł wciąż przebywać w tej okolicy. Ale nie zostanie tu długo.

– Noahu, pozwól, że opowiem ci o sprawie, nad którą teraz pracuję.

Spojrzał jej w oczy i tym razem się nie odwrócił. Maggie zdawało się, że na jego twarzy dostrzega ulgę, ale nieufność pozostała.

– Razem z moim zawodowym partnerem ścigamy seryjnego mordercę.

Noah wydawał się zaskoczony i zmartwiony. Maggie zrozumiała, że nie brał pod uwagę, iż szaleniec, który go zaatakował, może być seryjnym mordercą.

– Wiemy, że wybiera swoje ofiary na parkingach przy drogach międzystanowych.

Znów zrobiła pauzę, dała mu czas, by słowa do niego dotarły. Mówiła spokojnym, łagodnym tonem, jak podczas zwyczajnej rozmowy, obserwując jego twarz, gesty i postawę. Ręce trzymał na kolanach. Wcześniej bezustannie zginał i prostował palce. Teraz jedną dłonią obejmował drugą, zaciśniętą w pięść.

– Naszym zdaniem ten człowiek wykorzystuje chwile bezbronności czy bezradności swoich ofiar. Komuś na przykład zepsuje się samochód. Komuś zabraknie benzyny albo z takiego czy innego powodu jest zdany na własne siły. Parkingi to miejsca, gdzie podróżni tak się nie pilnują. Są zmęczeni. Czasami mają za sobą wielogodzinną podróż. Albo nawet wiele dni w podróży. Jest późny wieczór. Chcą tylko skorzystać z toalety, napić się wody, coś przekąsić, zanim znów wrócą na drogę. Pewnie dlatego zatrzymaliście się z Ethanem, prawda?

Kiwnął głową.

– Ethanowi chciało się sikać. – Na sekundę czy dwie uciekł od niej wzrokiem. – Już prawie byliśmy w domu.

– Jechaliście do domu z college'u, prawda? Macie przerwę wiosenną.

Znów skinął głową.

– Gdzie się uczycie?

– Na Uniwersytecie Stanu Missouri.

– Drużyna Mizzou Tigers.

Spojrzał na nią zaskoczony, ale zadowolony. Po raz pierwszy okazał jakąś szczerą emocję.

– Zgadza się.

– Jestem fanką studenckiej ligi futbolowej – rzekła. – Grasz w piłkę?

– Nie.

– Nie chciałeś studiować w Kansas?

– Nie chciałem zostać w domu.

Powiedział to, pomyślała Maggie, jak zwyczajny młody człowiek.

– Ten morderca – podjął sam. – Ile osób zabił?

– Znaleźliśmy pięć – odparła Maggie wciąż tym samym łagodnym tonem. Zatem skłoniła go do mówienia. – Wiemy, że jest ich więcej.

Oczy mu zabłyśły. Ta cyfra go zaskoczyła. Ściągnął brwi, jakby próbował sobie coś przypomnieć albo zapomnieć. Detektyw Lopez mówił im, że Noaha znaleziono w samej bieliźnie, uwalanego krwią. Większość tej krwi nie należała do niego.

Potem szeptem, który Maggie ledwie usłyszała, chłopak spytał:

– Co on im zrobił?

Zawahała się, ale tylko sekundę czy dwie, potem oznajmiła:

– Pewnie to samo, co zrobił Ethanowi.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

### *Wirginia*

Gwen nie chciała wracać do tego więzienia. Tym razem zastępca dyrektora Kunze starał się doprowadzić do skrócenia osobistej rewizji, którą rozkazał przeprowadzić naczelnik Demarcus. Demarcus wiedział, że ma coś, czego oni potrzebują, bo inaczej nie wróciliby tak szybko. Miał przewagę i zamierzał ją jak najlepiej wykorzystać. Skończyło się na tym, że także Kunze został obmacany.

Tym razem Gwen włożyła praktyczne buty i jak wcześniej rajstopy z obciskającą górą, a także swój najlepszy, jak go nazywała, „babciny stanik”. Mimo to strażnikowi udało się dotknąć jej nie tam, gdzie trzeba, i nawet nie udawał, że zrobił to przypadkiem.

Gdy tylko Otis zajął miejsce naprzeciw Gwen, a strażnik przymocował jego kajdanki do podłogi, zauważyła na jego twarzy siniak. Wyglądał na świeży, ze świeżą opuchlizną, ciemnofioletowy, wielkości piłeczki golfowej. Może nawet większy, bo częściowo nad lewą skronią chował się pod bakiem.

Czekała, aż strażnik ich zostawi.

– Skąd ma pan ten siniak?

– Ten? – Otis uśmiechnął się nie w swoim stylu, szeroko. Dotknął tego miejsca opuszkami palców. – Ktoś mnie poklepał. – Zamilkł i jasne było, że nic więcej nie powie.

Przeniósł wzrok na ścianę z przyciemnioną szybą, za którą siedzieli, patrzyli i słuchali Kunze i Demarcus.

Czy Demarcus uderzył więźnia? Nie, pewnie sam by tego nie zrobił. Podobnie jak w przypadku osobistej rewizji, zleciłby to jednemu ze swoich ludzi. Ale dlaczego? Gwen próbowała sobie przypomnieć, co takiego Otis powiedział ostatnim razem. Oczywiście, to nie musiało mieć związku z jej wizytą. Mogło chodzić o co innego. Jakieś wykroczenie przeciw więziennej dyscyplinie, którym sobie na to zasłużył.

– Miałem nadzieję, że pani wróci – rzekł.

Patrzył na nią z tym swoim krzywym uśmiechem. Siedział z rękami splecionymi na piersi w dziwaczny sposób – z powodu kajdanków i krótkiego łańcucha. Znów przypominał jej przerosniętego nastolatka, który nie wie, co zrobić z rękami.

Potem, nie czekając, aż ona się odezwie, powiedział:

– Coś znaleźliście.

– Tak. – Głupio byłoby odpowiedzieć inaczej.

– Teraz mi pani wierzy. – Z zadowoleniem oblizał wargi.

– Tak.

Twarz Otisa pojaśniała jak twarz małego chłopca w bożonarodzeniowy poranek. Był wyraźnie ucieszony, tak bardzo, że nawet jego oczy się śmiały.

– Liczę na to – podjęła powoli – że powie mi pan, co jeszcze usłyszał pan od Jacka.

– No nie wiem – urwał, przekrzywił głowę, patrzył na nią, oceniał język jej ciała. Nadal jej nie ufał. – Czemu miałbym to zrobić?

Sama się nad tym zastanawiała. Czemu miałby chcieć podzielić się z nią tą informacją? Gdyby zależało mu na skróceniu wyroku czy umowie, która przyniosłaby mu jakieś korzyści, powiedziałby to w minionym miesiącu, kiedy po raz pierwszy wspomniał o kobiecie w pomarańczowych skarpetkach, której ciało Jack porzucił w przepuście.

Gwen podejrzewała, że Otis dzieli się z nią opowieściami Jacka – podobnie jak z jednym

z telewizyjnych dziennikarzy w poprzednim miesiącu – tylko po to, by zwrócić na siebie uwagę. Bo sprawia mu to przyjemność. Sam przyznał, że największą radość daje mu poczucie mocy. Wiedziała, że podpalacze – zwłaszcza seryjni podpalacze jak Otis – podkładają ogień właśnie dla tej uwagi, jaką przyciągają, bo to ona, a nie zniszczenie, którego dokonują, daje im owo poczucie mocy. Mężczyzna patrzył na nią wyczekująco, jakby chciał od niej czegoś konkretnego.

– Zależy, co jeszcze ma pan do powiedzenia – rzekła. – Z pewnością rozważę możliwość zeznania przed instancją orzekającą w sprawach o warunkowe zwolnienie, jak bardzo nam pan pomógł.

Nie miała żadnego prawa składać mu takiej obietnicy i wyobrażała sobie, że Kunze w tym momencie poderwał się z krzesła i wrzeszczy na nią przez dźwiękoszczelną ścianę. Niezależnie od ewentualnych reperkusji, jakie mogły ją spotkać, natychmiast zobaczyła, że warto było zaryzykować.

Przez twarz Otisa przemknęły tak silne emocje, że pomimo głupiego uśmiechu nie potrafił ich ukryć. Gwen stwierdziła, że ten uśmiech to jego sposób radzenia sobie z trudnymi sytuacjami, narzędzie, którym się posługiwał nawet wtedy, gdy nie pasowało do jego słów czy nastroju. Ale już po kilku sekundach od propozycji Gwen Otis popatrzył na nią z niedowierzaniem. Uśmiech zgasł – choć tylko na chwilę. W tym ulotnym momencie zobaczyła, że mężczyzna był niepomiernie zdziwiony, wręcz zaskoczony, że ktoś taki jak ona mógłby szczerze się za nim wstawić.

– Zrobiłaby to pani? – Uśmiech powrócił, a zaraz za nim wysunięty koniuszek języka.

Otis usiadł prosto, a potem lekko pochylił się do przodu. Zaufanie to delikatna sprawa, krucha, niełatwo je zdobyć, a jeszcze trudniej odzyskać.

– Jeśli poda nam pan więcej informacji, które pomogą znaleźć Jacka, zrobię to.

– Znaleźć Jacka?

Znów usiadł prosto. Tego się nie spodziewał, więc potrząsnął głową, jakby go oszukała. I tyle z zaufania. Straciła je, zanim je zdobyła.

– Może pomoże mi go pan zrozumieć. No wie pan: dlaczego on to robi.

Czy zauważył, jak bardzo się wycofała? Jeśli potrzebowali kogoś, kto jest dobry w podlizywaniu się przestępcom, mogli wynająć negocjatora od zakładników. Ona nigdy nie udawała, że potrafi porozumieć się z przestępcą, zrozumieć jego umysł, nawet jeśli go studiowała i miała nadzieję się z nim rozprawić.

– Być może powiem pani o Jacku tylko dlatego, że lubię pani towarzystwo. I uważam, że jest pani ładna.

Tym razem on ją zaskoczył. Rozmowa zamieniła się w słowną szermierkę. A Otis wcale nie był głupi.

– Podobają się panu starsze kobiety? – Zaśmiała się, a jej śmiech brzmiał tak, jakby uznała, że z niej kpi.

– A co? Pani jest dla mnie w sam raz.

Było to miłe i czarujące, lecz tylko upewniło Gwen w przekonaniu, że Otis przypomina wyrosniętego nastolatka. Zresztą na jego szyi pojawił się rumieniec.

– Proszę mi opowiedzieć o spotkaniu z Jackiem. Mówił pan, że spędziliście wieczór przy drinkach. Wygląda na to, że miał pan okazję go poznać.

Pochylił się do przodu. Czy wreszcie był gotów jej zaufać?

– Zabawna rzecz z tym Jackiem. Kiedy człowiekowi wydaje się, że już go poznał, zdaje sobie sprawę, że ani trochę go nie zna. Mnie się zdaje, że nikt go nie zna.

– Ale opowiadał panu różne rzeczy.

– Taa, niby tak. Opowiedział mi mnóstwo rzeczy.

– Czemu to zrobił? Jak pan sądzi?  
– Och, nie wiem – odparł. Nie był zbity z tropu. Nie przyjął postawy obronnej. Oparł plecy i szukał czegoś wzrokiem na suficie, jakby tam mógł znaleźć odpowiedzi. – Pewnie, tak mi się zdaje, zobaczył, że on i ja mamy coś wspólnego, wie pani. Kiedy byliśmy dziećmi, obaj wpadliśmy w kłopoty.

– Mówił panu o swoim dzieciństwie.

– Nie, on nie lubi o tym mówić. Ale ja to bym się założył, że coś tam wtedy było. Jack widział, że ja i on, że my nie jesteśmy jak inni normalni ludzie.

– A jacy są ci normalni? Czy ktoś wie, co jest normą?

Zaśmiał się, tym razem szczerze. Powinna się cieszyć, że do tego doprowadziła. Potem zmrużył oczy, jakby próbował stwierdzić, czy mówiła poważnie, czy tylko się z niego naigrawa.

– Cokolwiek to jest, nie wiem, czy mogę jeszcze wrócić do normalności – rzekł.

Kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, wiedziała, że ten człowiek nie jest półgłówkiem. Był zbyt dobry w rzucaniu na pozór zwyczajnych uwag, które skrywały drugie dno.

Wzruszyła ramionami, próbowała zachęcić go do dalszych wynurzeń. Widziała, że miał na to ochotę.

– A Jack?

– Och, on nie jest normalny. – Znów się zaśmiał, lecz teraz nie brzmiało to ani szczerze, ani radośnie. Raczej nerwowo i sztucznie.

– Co każe mu zabijać?

Z przesadą wzruszył ramionami, dosłownie uniósł je do swoich szerokich bokobrodów. Zdała sobie sprawę, że Otis wie o wiele więcej, niż chce zdradzić.

– Chyba musi pani spytać Jacka. Jemu chyba sprawia to przyjemność.

– Tak panu powiedział?

Znów wzruszył ramionami.

– Chyba lubi takie wyzwania czy jak to tam. Lubi się tym ludziom przyglądać.

– Kiedy ich zabija?

Otis na nią patrzył. Wysunął czubek języka. Gwen już wiedziała, że ten nerwowy tik pojawia się, gdy mężczyzna chce coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się powstrzymuje.

– Nie chodzi tylko o zabijanie. – Mówił tak cicho, że pochyliła się nad stolikiem, by go słyszeć.

Zawahał się, szukał słów albo je ważył. Gwen nie była tego pewna.

– Powiedział, że lubi patrzeć, jacy są naprawdę, wie pani. Do czego są zdolni, co zrobią albo co mu powiedzą, byle tylko pozostać przy życiu. Co mu powiedzą, a czego nie, żeby ich nie zabił. – Urwał. Podniósł znów wzrok na sufit, na krótką chwilę, po czym wrócił spojrzeniem do Gwen. – Mówił, że lubi... no nie wiem... lubi czuć, z czego są zrobieni. Ich skórę i krew, i tak dalej. Naprawdę lubi ich kroić. Cięcie człowieka na kawałki nie różni się tak bardzo od rozbierania świni. – Znów zrobił pauzę, ale teraz patrzył na rozmówczynię i jej reakcję. – Tak przynajmniej twierdził.

W pokoju zrobiło się gorąco. Bluzka przykleiła się Gwen do pleców. Miała ochotę się powachlować. Nie chciała jednak, by Otis widział, że czuje się niekomfortowo. Że się poci. Zapomniała o swojej misji. Jakimś cudem odbiegli od tematu. Ona nie musi tego wszystkiego wiedzieć. Musi się skupić. Musi wydobyć z niego to, po co tu przyszła.

– Od tamtej rozmowy z Jackiem minął rok. Myśli pan, że zdołałby go teraz rozpoznać?

– Och, nie wiem. On wygląda całkiem zwyczajnie.

– Powiedział panu, gdzie mieszka albo gdzie pracuje?

Uśmiechnął się szerzej, spojrzał w górę, a potem pokręcił głową. Świetnie wiedział, do

czego zmierza Gwen, i nie ukrywał tego.

– Znaleźliście jedno z miejsc, gdzie grzebie ciała – powiedział, jakby to odkrycie znaczyło coś więcej.

– Jack mieszka niedaleko tego miejsca?

Nadal kręcił głową. Gwen nie była pewna, czy to znaczy „nie”, czy po prostu Otis nie może uwierzyć, że ona o to pyta.

– Nie mogę wam wydać Jacka.

Powściągnęła westchnienie i poprawiła się na krześle. Potworna strata czasu.

– Ale mogę wam podać namiary na inne miejsce, gdzie grzebie swoje ofiary.

– A jest inne?

– O tak, kilka.

Przypomniała sobie, że wszystko, co dotąd mówił, okazało się prawdą.

– Okej. – Skinęła głową.

– Ale tym razem czegoś za to chcę. Pojadę z wami i pokażę wam, gdzie to jest.

– Słucham?

– Nic nie powiem, dopóki nie będę mógł tam pojechać.

W tym momencie odsunął się z krzesłem, wstał i wyprostował się, na ile pozwalał mu łańcuch. Z Gwen już skończył.

– Nie wiem, czy uda mi się to załatwić.

Wszedł strażnik i Otis wyciągnął do niego rękę.

– Da mi pani znać. Będę czekał. Nigdzie się nie wybieram.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

*Manhattan w stanie Kansas*

– On się boi – powiedziała Maggie do Tully’ego i detektywa Lopez.

– Że ten tak zwany szaleniec wróci i się do niego dobierze? – Lopez tego nie kupował. – To czemu nie poda nam jego rysopisu? Czemu nie powie, gdzie znajdziemy jego kumpla?

– Morderca jest nie tylko pewny siebie i skuteczny, on jest... – Tully urwał i szukał właściwego słowa. – Mówiąc oględnie, jest brutalny.

Lopez potrząsnął głową.

Siedzieli na parkingu, czekając na Rydera Creeda i Grace. Lopez wziął ze sobą dwóch mundurowych policjantów, ale już im powiedział, że dzień wcześniej przez bite dziesięć godzin dwunastu mężczyzn przeszukiwało las. Nie znaleźli niczego, co pozwoliłoby stwierdzić, że ich wysiłek się opłacił.

– Poza tym jest sezon na grzyby – powiedział Lopez.

– Sezon na grzyby? W marcu? – Maggie zerknęła na Tully’ego, niepewna, czy dobrze zrozumiała.

– Gdy tylko zakwitną judaszowce, pokazują się dzikie grzyby – wyjaśnił Lopez. – To przysmak, miejscowi na nie polują. Kupa ludzi krąży po okolicznych wzgórzach, a jakoś nikt nie doniósł, że znalazł zaginionego chłopaka. Albo ciało.

– Chcecie znać moje zdanie? – kontynuował po chwili. – Myślę, że Noah Waters naprawdę się boi. Boi się, że wsadzę jego dupę za kratki. Twierdzicie, że ten morderca, którego szukacie, jest pewny siebie i skuteczny? No to dość dziwne, że puścił jedną ofiarę wolno. Ta sprawa z pewnością nie ma nic wspólnego z tym waszym gościem.

– Nadal uważa pan, że Noah zrobił coś Ethanowi?

– Tak, do diabła. Bo niby czemu rzyga za każdym razem, jak dochodzimy do szczegółów? Może nawet nie wierzy w to, co zrobił. Widziałem, jak zachowują się winni, a Noah Waters jest winny.

– Co takiego zrobił Ethanowi? – spytał Tully.

Detektyw wzruszył ramionami.

– Sprawdziłem szpitale w promieniu ponad stu pięćdziesięciu kilometrów. Na wszelki wypadek, gdyby ktoś go znalazł i zawiózł do szpitala. Jego rodzice obdzwonili wszystkich kolegów. Wydałem list gończy. Jeśli został ranny, może być nieprzytomny. Może wziął go jakiś kierowca ciężarówki. Może być teraz w innym stanie.

Maggie przyjrzała się Lopezowi. Miał czterdzieści kilka lat, był krótko po wojskowemu ostrzyżony, niewysoki, ale krępy, stale ściągał brwi. Sprawiał wrażenie poważnego, doświadczonego i twardego, a mimo to wciąż nie wierzył agentom, że ta sprawa może mieć związek z ich polowaniem na seryjnego mordercę. Maggie nie mogła się zdecydować, czy Lopez naprawdę wierzy, że Ethan żyje, czy tylko chce w to wierzyć.

– Ale pańscy ludzie nie znaleźli noża? – spytał sceptycznie Tully.

– Jakiego noża?

– Znalazł pan odcięty palec – odparł Tully. – Nie szukał pan narzędzia, którym go odcięto?

Po raz pierwszy Lopez wyglądał na zaskoczonego.

W chwili, gdy dżip Creeda pojawił się na zjeździe na parking, Maggie zauważyła śmieciarkę, jej hamulce zasyczały. Skończyła pracę na odległym końcu parkingu i ruszała

w stronę rampy, żeby wyjechać na międzystanową.

Maggie odwróciła się do Lopeza i spytała:

– Pańscy ludzie sprawdzili pojemniki na śmieci?

– Moi ludzie byli zajęci poszukiwaniem zaginionego – bronił się zirytowany.

– Jak często zabierają stąd śmieci?

– Co? Może raz w tygodniu. Nie mam pojęcia.

Szturchnęła Tully’ego, żeby dał jej kluczyki do ich wynajętego auta.

– Trzeba zatrzymać śmieciarkę.

– Robi się – rzucił Tully i ruszył biegiem.

SUV stał zaparkowany po drugiej stronie krętej drogi na parkingu dla samochodów osobowych.

Maggie oceniła odległość. Śmieciarka czknęła i zaśmierdziało benzyną. Tully za nic w świecie nie zdąży jej zatrzymać. Maggie pobiegła przez trawnik i chodnikiem, omijając podróżnych. Przez drzewa widziała drogę, która otaczała parking. Żeby dotrzeć do wyjazdu na międzystanową, ciężarówka musiała najpierw pokonać tę drogę. Maggie łatwiej było biec przez zagajnik, niż okrążyć mały ceglany budynek. W ten sposób zyskiwała na czasie. Gnała na ukos, zmuszając nogi do wysiłku. Śmieciarka wjechała już na drogę. Maggie wiedziała, że musi ją zatrzymać, nim samochód dotrze do rampy.

Tyle że w ogóle nie pomyślała, jak tego dokona.

Biegąc w stronę drogi, wyjęła odznakę i wymachiwała nią, ale była po złej stronie i za blisko, żeby kierowca zobaczył ją ze swojego miejsca. Śmieciarka zaczęła przyspieszać, Maggie także.

Wybiegła naprzód. Wyprzedziła samochód o jakieś sto metrów. Potem zaczęła podskakiwać na środku drogi i znów wymachiwała odznaką. Pedał sprzęgła i skrzynia biegów zazgrzytały. Zapiszczały hamulce. Śmieciarka z przednim załadunkiem zatrzymała się jakiś metr od Maggie, tak blisko, że jej nozdrza natychmiast wypełnił odór śmieci.

– Jezu, paniusiu! – krzyknął kierowca, wystawiając głowę przez okno. – Odbiło pani?!

– FBI! Musimy sprawdzić pańskie śmieci.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Creed obserwował to wszystko ze swojego dżipa. Właśnie zaparkował, kiedy zobaczył, że Maggie wyskakuje przed maskę śmieciarki. Teraz kręcił głową z uśmiechem. Nawet Grace stanęła obok niego na konsoli, machała ogonem i podniosła łeb, żeby patrzeć przez okno.

– Przestań – powiedział Creed. – Wiem, że ją lubisz.

On z kolei unikał bliskich związków z kobietami, z którymi pracował. Niezależnie od tego, co myślała Hanna, miał pewne zasady. Ale, jasna cholera, ta kobieta rzeczywiście coś w nim obudziła. Powinien wracać do domu. Był zły, że zmusza Grace do kolejnego wyczerpującego poszukiwania na nowym terenie, na dodatek po poszukiwaniach ciała każe jej teraz szukać żywego człowieka. Oczywiście Grace mogła to zrobić bez problemu. I robi to bardzo chętnie. Ale Creedowi nie podobało się, że jedynym powodem, dla którego tak szybko się na to zgodził, było to, że chciał spędzić więcej czasu z Maggie O'Dell. To nie w jego stylu. Nie łączył pracy i przyjemności.

Nauczył się rozdzielać te dwie rzeczy. Kobiety, z którymi sypiał, często nawet nie wiedziały, jak zarabia na życie, i zwykle się tym nie interesowały. Creed pragnął, by tak pozostało. Jego praca niosła ze sobą zbyt wiele emocji, budziła zbyt wiele wspomnień. Oczywiście, to nie było proste, ale już dawno nauczył się, że lepiej tego nie łączyć.

Jego przyjaciółki to rozumiały. Nie, to nieprawda. Nie rozumiały tego. One to akceptowały.

Teraz, gdy Maggie zatrzymała śmieciarkę, przekazała ją dwóm mundurowym policjantom. Zanim Creed zdał sobie sprawę, że policjanci są z Maggie, wyglądało na to, że to ją chcą zaarrestować. Kazali kierowcy śmieciarki zawrócić, gdy tylko usuną dwa samochody osobowe i jedną osiemnastokółową ciężarówkę, które stały za nią na rampie.

Co za burdel, pomyślał Creed. Miejscowi policjanci powinni byli wcześniej pomyśleć o przejrzeniu śmieci. Poklepał Grace po łbie i powiedział:

– Kolejni amatorzy, Grace. Boże dopomóż!

Zadzwoiła jego komórka. Już chciał ją wyłączyć, gdy zobaczył numer.

– Tęsknisz za mną? – spytał na powitanie.

– Strasznie – odparła natychmiast Hanna. – Której części mojej prośby: „Proszę, skontaktuj się ze mną” nie zrozumiałeś?

– Prawdę mówiąc, nie pamiętam „proszę”.

– Wszystko gra?

Wciąż się o niego martwiła. Słyszał to w jej głosie i wcale mu się to nie podobało. Mógł jej powiedzieć, że nie pił od niedzieli, ale wiedział, że nie spodziewała się takiego raportu.

– Grace była jak zwykle wspaniała. – Skup się na tym, co ważne, powiedział sobie.

Na dźwięk swojego imienia pies polizał mu rękę, ale nadal obserwował zamieszanie na zewnątrz.

– Było źle?

– Grace wskazała sześć miejsc.

– Matko Chrystusowa!

Creed się uśmiechnął. Nieomal widział, jak Hanna robi znak krzyża. Nigdy nie rozumiał, jakim cudem, przy tej ilości zła, jakiego wciąż byli świadkami, nie straciła wiary. Ale podziwiał ją za to.

– Znaleźli dwa ciała. Nie zostaliśmy tam, żeby przekonać się, co dalej. W lesie mogły

znajdować się rozczłonkowane zwłoki.

– Wracasz już do domu?

– Niezupełnie.

Powiedział jej o zaginionym chłopaku i możliwym związku między sprawami. Hanna rzeczowym tonem odparła, że zadzwoni do Alonza, żeby się upewnić, czy otrzymają oficjalną prośbę o pomoc.

– Zgodziłeś się wziąć w tym udział, nawet nie myśląc, czy ci zapłacą?

– Chyba po to mam ciebie.

– Tu chodzi o coś innego – zaskoczyła go. – Słyszę to w twoim głosie.

– O czym ty mówisz?

– Pięć, może sześć ciał, a ty jesteś taki... radosny.

– Radosny? Nigdy dotąd nikt mnie o to nie oskarżył.

– Wiem, to brzmi idiotycznie. Więc co się dzieje?

Creed poszukał wzrokiem Maggie O'Dell.

– Nie bądź głupia, Hanno – rzekł. – Zapewniam cię, że jestem równie nieszczęśliwy jak zawsze.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Maggie patrzyła, jak Creed wkłada Grace jasnożółtą kamizelkę i szelki ze smyczą. Skalisty teren w Kansas wyglądał na bardziej niebezpieczny niż lesiste pagórki wokół farmy w Iowa. Maggie głośno wyraziła swoje wątpliwości.

– To jest jej sprzęt do akcji – wyjaśnił Creed, zrzucając plecak na ramiona. Przymocował do paska pojemnik z wodą dla Grace. – Zwykle nie szkolę jednego psa do różnych zadań. Grace stanowi wyjątek. Kiedy zmieniam jej zadanie, potrzebuję czegoś, co jej powie, że teraz będziemy zajmować się czym innym. Używam innych słów, ale sprzęt też ją do tego przygotowuje.

– Mówił pan, że lepiej, żeby nie miała obroży ani smyczy, bo może zaczepić się o gałęzie. Ta okolica wygląda na trudniejszą niż poprzednia.

– No właśnie. Dlatego będę ją trzymał na smyczy. Nie chcę, żeby się oddalała.

Gotowy do pracy Creed zawahał się, patrząc na Maggie.

– Wszystko w porządku? – spytał, oglądając się na detektywa Lopeza i Tully'ego. Obaj pochylali się nad mapą rozłożoną na masce radiowozu. – Miejscowi chyba nie są zadowoleni, że włączyliśmy się do akcji.

– Nie o to chodzi. – Maggie nie była pewna, na czym polega problem Lopeza.

Poprzedniego dnia podczas rozmowy telefonicznej zdawało jej się, że odetchnął z ulgą, gdy okazało się, że numer, który znalazł na kartce, należy do agentki FBI. – On nie wierzy, że jest w to zaangażowany nasz parkingowy morderca. Uważa, że chłopcy prowadzili jakąś dziwną grę i posunęli się za daleko.

– Brzytwa Ockhama – powiedział Creed.

Maggie spojrzała na niego zdumiona.

– Najprostsza odpowiedź jest zwykle tą właściwą – rzekł i uśmiechnął się. – Myśli pani, że skoro posługuję się psem, a nie bronią, nie znam takich rzeczy?

– Nieprawda – zaprotestowała zbyt szybko, czym tylko przyznała się do winy. Poczula, że się czerwieni, i próbowała odwrócić kota ogonem. – Wiem, że pan to wie.

Creed się uśmiechnął. Potarł brodę grzbietem dłoni, jakby próbował zetrzeć uśmiech albo nie dopuścić do tego, by zajął całą twarz. Ten drobny gest uświadomił Maggie, jak bardzo cieszy się z jego obecności, i to ją zaskoczyło.

– Jak więc ten detektyw tłumaczy sprawę z numerem pani komórki? – spytał, wracając do rzeczy.

– Nie ma na to odpowiedzi. Sądzi również, że chłopak, którego szukamy, wciąż żyje.

– Stąd ekipa ratownicza – Creed wskazał na nowy uniform Grace.

– Ale Lopez może się mylić.

– Pani uważa, że chłopak nie żyje?

– Tak.

– Dla mnie i dla Grace to ważna informacja.

– Ma pan rację. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki nie włożył jej pan kamizelki.

Jeśli każe pan Grace szukać żywego człowieka, czy pominie zwłoki?

– Kiedy chłopak zaginął? Dwadzieścia cztery godziny temu?

– Ponad dwie doby temu.

Creed wyglądał, jakby w myśli coś liczył. Potarł skroń, zlustrował teren za parkingiem, gdzie mieli zacząć poszukiwania.

– Są pewni, że palec został odcięty, tak? – spytał.

- Tak.
- Ale chłopak, który przeżył...
- Noah.
- Był cały we krwi, jak go znaleźli?
- Zgadza się. Większość tej krwi nie była jego krwią.
- Jest zimno. Nawet jeśli ciało zostało rozczłonkowane, rozkład będzie minimalny.

Minęło stosunkowo niewiele czasu, a jeśli do tego było dużo krwi, Grace wyczuje zapach. – Pochylił się i poklepał psi łeb. – Prawda, Grace?

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Creedowi to się nie podobało.

Nie minęło jeszcze pół godziny, a Grace już prowadziła go do skalistych wapiennych urwisk za parkingiem. Ubitą ziemię pod stopami zastąpiły kamienie. Wokół widzieli tylko niewielkie skrawki ziemi porośnięte trawą, dzikie kwiaty, postrzępione sosny i wyrastające ze szczelin niskie judaszowce z fioletowymi pąkami. Wiatr się wzmagał.

Im bardziej oddalali się od parkingu i im wyżej się wspinali, tym bardziej teren robił się nierówny. Grace nigdy wcześniej nie była w podobnym miejscu i Creed zaczął kwestionować swoją decyzję. Ale pies już trzymał nos w górze. Oddychał coraz szybciej. Jedno i drugie oznaczało, że jest w stożku zapachu.

Maggie, Tully i detektyw Lopez szli za nimi. Creed prosił, by trzymali się ze trzy metry z tyłu, a kilka minut temu prosił też, by ograniczyli rozmowy do niezbędnego minimum. Słyszał, jak Lopez pomrukuje pod nosem, ale nic go to nie obchodziło, byle facet się zamknął. Detektyw czuł się zmuszony powiedzieć Creedowi, że jego ludzie już przeczesał ten teren, przeszli tymi samymi ścieżkami. Twierdził, że dzień wcześniej nic nie znaleźli. Powtarzanie tej drogi to strata czasu.

Creed był zdumiony, że Grace tak szybko coś wyczuła. Nie widział jeszcze żadnych rdzawych plam. Żadnych ciemno zabarwionych kropli. Na jasnym wapieniu plamy krwi byłyby wyraźne. Starał się zwracać uwagę na liście, wypatrywał złamanych gałęzi, skrawków materiału, jakiejś nitki.

Nagle zatrzymał Grace. Wyciągnął rękę, by zatrzymać pozostałych. Potem kazał Grace usiąść. Posłuchała go niechętnie, zdawało się, że siadając, cały czas kręci zadem. Creed zrobił kilka kroków ścieżką. Przykucnął, by przyjrzeć się porastającej skałę kolczastej winorośli. Dotknął jej. Wsadził w nią palec i gwałtownie wyciągnął. Ukłuł się. Wysysał krew z palca.

– Co jest? – spytała Maggie.

Pomachał im, żeby podeszli, ale Grace kazał zostać na miejscu. Pochylił się tak nisko, aż oparł się na łokciu.

– Ta gałązka wina leży w poprzek ścieżki.

– Hurra! Bez pańskiej pomocy nigdy byśmy tego nie odkryli.

Creed zignorował sarkastyczną uwagę detektywa. Ostrożnie chwycił gałązkę między kolcami i uniósł.

– Wygląda to, jakby ktoś wziął gałąź z tej strony, gdzie wyrasta, i przerzucił ją przez ścieżkę.

– Celowo? – spytała Maggie.

Creed nie miał co do tego pewności, ale winorośl rosła na poboczu. Nie porastała skały. Za to tam i z powrotem kładła się na wąskiej ścieżce, jedno pasmo na drugim. Nie wyglądało to naturalnie.

– Noah był boso, tak?

– Tak, i miał pokaleczone stopy – odparł Lopez.

Creed przykucnął. Podniósł wzrok na Tully'ego i wskazał na kilka splecionych odgałęzień winorośli.

– Myślę, że jest na tym krew i skóra.

Wcześniej widział, że agent Tully włożył do kieszeni lateksowe rękawiczki i woreczki na dowody. Tully bez wahania wyjął jeden z nich i pochylił się nad miejscem, które wskazał Creed.

– To może być cokolwiek – rzekł Lopez, ale się nie upierał. Zaciekawiony przyglądał się, jak Tully oderwał i schował fragment gałązki.

– Jeżeli są tu ślady obu chłopców, Grace może próbować namierzyć dwa różne stożki zapachu – wyjaśnił Creed.

– Jeden żywego człowieka, a drugi martwego – powiedziała Maggie, jakby czytała w jego myślach.

Creed skinął głową.

– To może być mylące. – Zerknął na Lopeza. Maggie powiedziała, że detektyw nie chciał wierzyć w śmierć zaginionego chłopca. Patrzył na winorośl i pewnie się zastanawiał, jakim cudem jego ludzie minionego dnia nie zwrócili na to uwagi.

Grace, wciąż siedząc, machała ogonem, zamiatając kamyki. Nie mogła się doczekać, kiedy wróci do pracy. Nie przestawała węszyć, nawet gdy Creed kazał jej zrobić przerwę.

– Okej, Grace, szukaj – rzekł i dał jej komendę poszukiwania żywego człowieka.

Wspinali się na skalistą grań. Poniżej po prawej kilometrami ciągnęło się koryto rzeki. Grace była coraz bardziej podniecona. Creed musiał mocno trzymać smycz. W przeciwieństwie do obroży szelki pozwalały mu ją powściągać, nie dusząc jej. Grace była małym psem – ważyła poniżej dziesięciu kilogramów – ale silnym i ciągnęła z całej siły.

Sprowadziła ich ze ścieżki. Drobne kamyki nie pozwalały zbyt szybko posuwać się naprzód. Na ścianie z wapienia dojrzeli coś, co wyglądało na rozmażane odbicie ręki. Pięć rdzawych linii. Sierść stanęła na grzbiecie Grace. Creed poczuł, że i jemu na karku włoski stanęły dęba.

Pozwolił psu iść dalej. Teraz wspinali się na płyty z wapienia, tworzące nierówne schody. Niektóre tak dziwnie wystawały i sterczały, że łatwo się było potknąć i przewrócić. Grace dwa razy musiała coś przeskoczyć. Drobne pęknięcia pod stopami zamieniały się w szersze szczeliny.

Słońce świeciło na nich prosto z góry. Nad głowami rozlegał się klangor dzikich gęsi, ale Grace nic z tych rzeczy nie przeszkadzało. Zdecydowanie dążyła do celu.

Creed nie wiedział, jak do tego doszło. Później, w kolejnych tygodniach, kiedy wracał do tego myślenia, szukając wyjaśnienia, obraz był zamazany. Widział tę chwilę, trzy albo cztery sekundy, w zwolnionym tempie. Błysk jaskrawej żółci, która wymyka mu się z ręki i wpada w szczelinę, jakby ta szczelina pochłonięła Grace.

Grace ciągnęła naprzód w stronę skalistego zbocza. Creed czuł, że mu się wymyka, chwycił smycz obiema rękami. Nagle zobaczył, jak pies znika w szczelinie. Mocno trzymał smycz i powoli ją do siebie przyciągał. Był już blisko, kiedy dobiegł go jakiś trzask i przestał czuć ciężar Grace. Potem usłyszał jeszcze przerażający głuchy odgłos i żalony skowyt.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Maggie chwyciła plecak Creeda. Zrzucił go z ramion, by zajrzeć do szczeliny, gdzie wpadła Grace. Maggie otworzyła plecak i grzebała w bocznych kieszeniach, aż znalazła nylonową linę i latarkę. Podała latarkę Tully'emu, który dołączył do Creeda, kładąc się brzuchem na skale.

Detektyw Lopez przez radio wzywał pomoc, próbował wytłumaczyć, gdzie dokładnie się znajdują.

Maggie słyszała popiskiwanie. Grace żyła, ale Creed był zrozpaczony.

Zawołał do psa uspokajającym łagodnym głosem:

– Okej, Grace, spokojnie, dziewczyno. Już do ciebie schodzę. – Potem wsadził rękę w szczelinę i jęknął, kiedy zobaczył, że nie zdoła się tam wcisnąć. Koszulę miał zakrwawioną w miejscu, gdzie zahaczył o wystającą skałę.

Tully wyciągnął go z powrotem i powiedział:

– Tam jest za wąsko. Pan się tam nie wciśnie, niezależnie od tego, jak bardzo będzie się pan starał. – Zaświecił latarką w dół. – Jezu, to jakieś trzy do czterech metrów. – Przesunął światło latarki z boku na bok. – Hej, Grace?

– Widzi ją pan? – Creed znów się położył. – Hej, Grace, jak się masz? Wszystko będzie dobrze.

Maggie słyszała, jak szepnął do Tully'ego:

– O Boże, ona nie wygląda dobrze.

– Wezwałem ratowników – oznajmił Lopez.

Creed znów próbował wepchnąć rękę do szczeliny, ale Tully go powstrzymał.

– Niech pan nie traci sił. Nie zmieścimy się tam.

Maggie zerknęła na zegarek. Wejście tam zajęło im trzydzieści pięć, czterdzieści minut. Minie kolejna godzina, nim dotrze tam ekipa ratunkowa. Zaczęła obwiązywać się w pasie nylonową liną, robiąc węzeł, który ją utrzyma.

– Wy się tam nie wciśnecie, ale ja powinnam dać radę.

Obaj mężczyźni podnieśli na nią wzrok, jakby o niej zapomnieli. Szybko pomogli zabezpieczyć koniec nylonowej liny. Gdy tylko Maggie spuściła nogi ze skraju szczeliny, poczuła znajomy zimny pot. W ustach zaschło, puls przyspieszył. Tully podał jej latarkę, którą wsadziła do kieszeni.

Trzymała się brzegu skały, a mężczyźni chwycili linę. Maggie łączywie chwytiała powietrze, jakby to były ostatnie hausty świeżego powietrza, a jeszcze nawet nie wcisnęła się w szczelinę. Potem zaczęła się spuszczać między poszarpanymi skałami. Ostra skała dźgnęła ją w plecy. Kiedy Maggie się obróciła, żeby się od niej odsunąć, poczuła draśnięcie na skórze.

– Poczekał – powiedział Tully. – Nic ci nie jest?

– Wszystko okej – odparła, pozwalając, by ciężar ciała i siła przyciągania ściągały ją w dół. Cały czas myślała, jak się stamtąd potem wydostanie, i to z rannym psem.

Maggie musiała z niechęcią przyznać, że odkąd szalenciec wepchnął ją do zamrażarki, licząc, że już stamtąd nie wyjdzie, cierpiała na klaustrofobię. To nie jest takie złe, mówiła sobie, gdy znalazła się poniżej powierzchni ziemi i mężczyźni powoli opuszczali ją na dół. Natychmiast otoczyła ją woń ziemi i wilgotnej skały. Z trudem oddychała, czuła, że ogarnia ją panika. Serce łomotało, zaczęło jej się kręcić w głowie.

Podniosła wzrok i zobaczyła, jak niebo wiruje i znika, teraz widziała tylko skrawek

błękitu. Jaskinia pod nią wyglądała jak grobowiec i taki też miała zapach. Kiedy Maggie schodziła niżej, pomyślała, że panowała tam cisza jak w grobie. Głosy mężczyzn docierały do niej stłumione.

Bicie własnego serca odbijało się echem w jej głowie. Pot spływał strużkami po plecach. Robiło się coraz ciemniej, coraz trudniej było oddychać. Kiedy wreszcie dotknęła stopami dna jaskini, czuła się tak słabo, że ledwie trzymała się na nogach.

Wtedy gdzieś za plecami usłyszała powitalne skomlenie Grace.

Wymacała latarkę i włączyła ją, starała się nie świecić prosto na Grace. Pies leżał na skalistym dnie, ale podniósł łeb, ucieszony na widok Maggie i spojrzał jej w oczy, patrząc z niesłabnącym napięciem.

– Zostań, Grace, nie ruszaj się. – Maggie nie wiedziała, czy pies był w stanie się ruszyć, ale nie chciała, by instynktownie się poderwał. Miała nadzieję, że to dobry znak, iż Grace może podnieść łeb.

Wokół zwierzęcia ani pod nim nie widziała ani śladu krwi. Kolejny dobry znak. Zauważyła jednak, że lewa tylna łapa leżała wyciągnięta pod dziwnym kątem. Drugą tylną łapę Grace podkułiła pod siebie.

– Jak wygląda?

Maggie podniosła wzrok i przestraszona ujrzała głowę Creeda zwieszoną nad krawędzią skały.

– Nie widać krwi. Nie wiem, czy nie doznała jakichś wewnętrznych obrażeń. Obie tylne łapy mogą być złamane.

Słyszała, jak Creed gwałtownie wciągnął powietrze i próbował opanować emocje.

– Hej, dziewczyno. Wydostaniemy cię stamtąd – zawołał do Grace i zwrócił się do Maggie: – Myśli pani, że można ją ruszyć?

Zbliżyła się do psa, uważnie mu się przypatrując. Kiedy przykucnęła, próbował pomachać ogonem, ale skończyło się na skomleniu. Maggie przesunęła dłoń po grzbiecie Grace, powiedziała jej, że jest dzielna.

Grace polizała jej rękę i znów patrzyła prosto w oczy. Wówczas Maggie zdała sobie sprawę, że Grace patrzy na nią tak samo jak na Creeda. To był jej sposób na przekazywanie mu informacji – poinformowanie go, że coś znalazła.

Maggie wstrząsnęła dreszcz. Ścisnęła w dłoni latarkę i powoli przesuwiała strumień światła po skalistej ścianie. Potem odwróciła się i robiła to samo po drugiej stronie wąskiej i długiej jaskini.

Smuga światła trafiła na coś, co wyglądało jak kupa szmat. Dopóki Maggie nie dojrzała wystających spod szmat dłoni. Dwóch dłoni. I tylko dziewięciu palców.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

### *Waszyngton*

Gwen przekonała Kunzego i pozostałych członków zespołu, by zorganizowali zebranie w jej mieszkaniu w Georgetown. Tak, to było niekonwencjonalne i prawie nieprofesjonalne, ale spędziwszy tyle czasu w więzieniu, gdzie oddychała więziennym powietrzem, nie miała ochoty jechać do Quantico i siedzieć w sali konferencyjnej Wydziału Badań Behawioralnych prawie dwieście metrów pod powierzchnią ziemi.

Zagrała na wrażliwości Kunzego – to pewnie też było nieprofesjonalne. Wiedziała, że wciąż czuje się winny z powodu jej drugiej osobistej kontroli. Stwierdziła, że skoro ona jest outsiderką, mogą spotkać się na jej warunkach. Kiedy powiedziała zastępcy dyrektora, że przygotowuje dla wszystkich kolację, spytał tylko, o której mają się u niej pojawić.

Racine oczywiście przyjechała wcześniej, bo nie jechała z Quantico. Komisariat pani detektyw od spraw zabójstw znajdował się niespełna kwadrans drogi od mieszkania Gwen. Gospodyni od razu zaangażowała ją do pracy. Z jakiegoś szalonego powodu eksperymentowanie w kuchni i przygotowywanie wyśmienitych potraw zawsze było dla Gwen sposobem na rozładowanie stresów. Kuchnia stanowiła jej azyl. Często zapominała, że azyl jednej kobiety dla drugiej może być piekłem. Julia Racine nie mogłaby czuć się bardziej nie na miejscu. Kiedy myślała o szparagi, można by pomyśleć, że trzyma je w morderczym uścisku.

– Nigdy dotąd nie zauważyłam, jak bardzo przypominają penisy.

Gwen przewróciła oczami i zdecydowanie odebrała jej pęk szparagów. Zamiast tego podała Racine czerwoną cebulę.

– Pokrój ją – powiedziała i podała jej też nóż i deskę do krojenia.

– Cholera. Zawsze płaczę przy krojeniu cebuli. Nie ma nic innego do zrobienia?

– Odetnij najpierw czubek, i to pod bieżącą wodą. Zimną.

Racine spojrzała na nią podejrzliwie, jakby spodziewała się jakiejś sztuczki.

– Poważnie, to działa – zapewniła Gwen, wracając do obierania krewetek.

Kątem oka widziała, jak Racine zerka na krewetki i marszczy nos. Pewnie uznała, że krojenie cebuli to nie taka zła robota. Bez kolejnego słowa skargi zabrała się do dzieła.

– Jestem zaskoczona, że nie widzę tu Harveya i Jake'a. Chyba zwykle, jak Maggie wyjeżdża, opiekujesz się jej psami, prawda?

– Są u Bena. On ma większe podwórze.

– U Bena? Myślałam, że ze sobą zerwali?

Gwen powstrzymała się przed powiedzeniem, że nie można ze sobą zerwać, jeśli nie jest się w związku. Maggie i Ben nie zdążyli zostać parą, gdy postanowili przystopować, jak mawiała Maggie. Wciąż jednak pozostawali przyjaciółmi, dobrymi przyjaciółmi, i Gwen miała nadzieję, że ostatecznie będzie z tego coś więcej. Zamiast mówić to wszystko Racine, rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie.

Maggie i Racine zaprzyjaźniły się mimo wielu dzielących je różnic, a także pomimo tego, że na początku znajomości Racine próbowała ją poderwać. O ile Gwen wiedziała, Racine miała teraz nową partnerkę, dziennikarkę „Washington Post”, której nawet pomagała w wychowaniu córki. Gwen nie potrzebowała dyplomu z psychologii, by widzieć, że Julia Racine wciąż interesowała się Maggie.

Racine zauważyła jej spojrzenie i uniosła brwi.

– Co? Tylko pytam. Myślałam, że poróżniła ich kwestia dziecka.

– Nie będę plotkować na temat osobistego życia Maggie.

– Rozumiem.

A jednak Racine się wahała. Miała więcej do powiedzenia.

– Wiem, że wiesz – rzekła Julia z ręką opartą na biodrze.

Kiedy Gwen spojrzała jej w oczy, zobaczyła, że Racine przygryza dolną wargę, jakby szykowała się do wyznania. O Boże, czemu ludzie zawsze uważają, że powinni jej się zwierzać? Była psychologiem, nie księdzem.

– Maggie pewnie powiedziała ci o tym, co zdarzyło się ze dwa lata temu. Tylko jeden pocałunek. Serio.

– I jak było?

– Słucham?

Gwen kompletnie ją zaskoczyła. Na widok miny Julii siłą woli powściągnęła uśmiech. To ją nauczy, pomyślała, jeśli spodziewała się, że dostanie rozgrzeszenie.

– Pocałunek. Jak było?

Racine się uśmiechnęła, zdecydowanie z ulgą, po czym oznajmiła:

– Prawdę mówiąc, bardzo w porządku.

– Wiesz, że najtrudniej zakończyć związek, który tak naprawdę nigdy nie istniał. –

Zrobiła pauzę, by jej słowa dotarły do Racine, po czym dodała: – W naszej pamięci zawsze jest idealny. Żadnych złych wspomnień, które by go psuły.

– Co chcesz powiedzieć?

– Ciesz się tym, co było. Nie inwestuj uczuć w to, czym mogłoby to być – rzekła Gwen.

– Takie bzdety opowiadasz swoim klientom?

– Tak, i masz szczęście, że nie każę ci płacić, bo jesteś upierdliwa i nie stać cię na mnie. – Gwen wskazała na cebulę, dając do zrozumienia, żeby Racine wracała do pracy.

O dziwo, Racine jej posłuchała, ale oczywiście nie mogła milczeć.

– Miałaś jakieś wieści od Maggie albo Tully’ego? – spytała.

– Oboje meldują się prawie co wieczór.

– Alonzo przekazał mi szczegóły. Całkiem pokręcona historia. Wygląda na to, że facet wybiera ofiary na chybił trafił. Kobiety, mężczyźni, w różnym wieku, różnych zawodów i różnego pochodzenia. Nagłowiłam się, szukając jakiegoś wspólnego mianownika. Mało mi łeb nie pękł. Nie widać żadnego związku, choćby patrząc na to, skąd ich zabiera ani dokąd. Kazałam nawet Alonzowi porównać samochody ofiar. No wiesz, że może wszyscy jeżdżą fordami albo SUV-ami.

– I?

– Nic. Niczego nie znalazł, a jest specem od takich rzeczy. Najprawdopodobniej to kierowca tira, który jeździ na długie trasy i zabawia się, zabijając po drodze rozmaitych podróżnych. Na parkingach ma taki wybór jak na szwedzkim stole.

– Czy możemy unikać aluzji do jedzenia, proszę?

Gwen podniosła wzrok na Racine, która kroїła cebulę jak zawodowiec. Zdawało się, że nie ma problemu z zajęciami kuchennymi, o ile tylko myśli w tym czasie o pracy.

Zaczęła dzwonić komórka. Gwen szybko umyła ręce i sięgnęła po telefon.

– Gwen Patterson, słucham?

– Mówi doktor Halston. Przepraszam, że zawracam pani głowę w domu.

– Och, nie ma sprawy – odparła, ale natychmiast zdała sobie sprawę, że nigdy dotąd doktor nie dzwonił do niej prywatnie, to znaczy po godzinach pracy. Zwykle dzwonił ktoś ze współpracowników doktora Halstona, by ustalić termin wizyty albo odpowiedzieć na jakieś pytania, a jej pielęgniarka zawsze dzwoniła po wyniki. Wyniki. Coś było nie tak. Gwen to

wiedziała, nim doktor Halston podjął.

– Mam wyniki pani mammografii i jest... cóż, wątpliwe miejsce w lewej piersi.

Chciałbym umówić panią na biopsję.

– Biopsję? To brzmi poważnie. Chce pan powiedzieć, że to może być nowotwór?

– To nie musi być nic groźnego. Ale wolę grzeszyć nadmiarem ostrożności.

– Pod koniec przyszłego tygodnia chyba znajdę czas.

– Uważam, że powinniśmy to zrobić, nie czekając do przyszłego tygodnia. Poproszę moją pielęgniarkę, żeby jutro do pani zadzwoniła i ustaliła termin.

Gwen nie była całkiem pewna, co jeszcze mówił do niej doktor Halston. Kiedy skończyła rozmowę, odwróciła się i zobaczyła, że Racine na nią patrzy. Potem Julia Racine zrobiła najdziwniejszą rzecz, coś, czego Gwen nie spodziewałaby się po tej twardej i często chamskiej detektyw. Podeszła do Gwen i uściskała ją.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

*Uniwersytet Kansas City, klinika weterynaryjna dla małych zwierząt, Manhattan w stanie Kansas*

Maggie podała Creedowi butelkę napoju i usiadła obok niego w poczekalni. Czekanie było nieznośne. Od chwili, gdy rozmawiali z młodą chirurg, doktor Towle, minęły trzy godziny. Grupa studentów i profesorów wciąż operowała Grace.

Wcześniej, podczas gdy zespół chirurgów przygotowywał się do zabiegu, Grace zbadał doktor Smee, specjalista medycyny ogólnej, który zaordynował rozmaite badania, prześwietlenia, USG i tomografię. Choć nie mogli określić wszystkich obrażeń Grace, dopóki jej nie uspią, powiedzieli Creedowi, że najgorzej ucierpiała lewa łapa psa. Była złamana co najmniej w dwóch miejscach.

– Słyszałem dobre opinie o tej klinice – rzekł Creed, przerywając ciszę.

Maggie nie powiedziała mu, że już dwa razy to mówił.

– Na pewno nie chce pan, żebym przyniosła coś do jedzenia?

Creed potrząsnął głową. Potem dodał:

– Nie musi pani ze mną siedzieć, dam radę.

– Nie jestem tu dla pana, tylko dla Grace.

Zobaczyła, że Creed uniósł kącik ust. To był najbliższy uśmiechu grymas, jaki u niego widziała tego ranka.

– Ona panią lubi – stwierdził.

– A ja ją. Nie jest taka uparta jak jej pan.

Tym razem zasłużyła na pełny uśmiech.

– Może się pani mylić. Hanna mówi, że wszystkie nasze psy mają trochę mojego uporu.

– Hanna to pan żona? – wypaliła bez namysłu. Na szczęście Creed potraktował to normalnie.

– Nie, prowadzimy razem firmę.

Maggie wiedziała, że to musi być coś więcej. Choćby po tym, jak wypowiedział imię tamtej kobiety. Czekwała na wyjaśnienie, ale Creed milczał.

Kiedy poszła szukać automatu z wodą, zadzwoniła do Tully'ego. Wciąż był przy szczelinie. Detektyw Lopez wezwał ekipę techników kryminalistyki i koronera hrabstwa. Tully powiedział, że jeszcze nie wynieśli zwłok Ethana. Ciało nie zostało pozbawione głowy, ale było rozczłonkowane. Wyglądało na to, że zabójca odciął lub wyciął różne jego części.

Maggie nie mogła pojąć, dlaczego morderca, który doprowadził ich na miejsce, gdzie grzebał swoje ofiary i tyle pozwolił im znaleźć, miałby porzucić ciało Ethana w jaskini. Z pewnością zależało mu na tym, by dowiedzieli się o tej zbrodni, bo inaczej nie zostawiłby numeru telefonu Maggie razem z odciętym palcem. Ale może wcale nie chciał, by znaleźli ciało Ethana. Postanowiła, że nie będzie o tym myśleć, dopóki nie zakończy się operacja Grace.

Doktor Towle uprzedziła ich, że zabieg może potrwać trzy do czterech godzin. Czekanie było koszmarem, ale milczenie Creeda – wprost nie do zniesienia. Widzieli już dwa koty i ponad dziesięć psów różnych ras, które wchodziły i wychodziły ze swoimi właścicielami. Na kilka z nich Maggie patrzyła z bólem. Wiedziała, że nigdy nie zapomni widoku starszej pary ze starym border collie, tak słabym, że student na rękach niósł go do gabinetu.

Był koniec dnia i poczekalnia, wcześniej pełna ludzi i hałasu, opustoszała. Zostali tylko oni dwoje.

– Proszę mi opowiedzieć o Grace – Maggie poprosiła z nadzieją, że skłoni Creeda do mówienia.

– Ale co?

– Nie wydaje się typowym psem do poszukiwań. Wiem, stwierdził pan, że nie chodzi o rasę, lecz o charakter, ale ona...

– Jest mała, ale silna – przerwał jej. – I jest pracowoliczką.

Mówił takim tonem, jakby bronił się przed atakiem. Ostatnia rzecz, jakiej pragnęła Maggie.

– Prawie wszystkie nasze psy są przez nas uratowane, więc żaden nie jest typowy. – Otworzył butelkę wody mineralnej i wypił łyk. – Przez ratunek rozumiem, że znaleźliśmy je dosłownie na naszym progu albo wzięłem je ze schroniska. Niektóre mają dużo problemów i trzeba z nimi dłużej pracować. Mówiąc szczerze, są takie, których nie da się wyszkolić.

– Co się z nimi dzieje? – Patrząc na jego minę, nie była pewna, czy chce znać odpowiedź.

– Hanna znajduje im dobry dom. Musi robić rozmaite rzeczy, których nigdy się nie spodziewała.

Wspominając znów Hannę, Creed wyjął z kieszeni komórkę. Kiedy przyjechali z Grace do szpitala, Maggie widziała, że wysłał kilka esemesów. Teraz zdała sobie sprawę, że pewnie pisał do Hanny. Jak zwykle przy takiej okazji uprzytomniła sobie, że ona nie ma nikogo, z kim pragnęłaby się tak szybko porozumieć, by wysłać mu wiadomość i komunikować się na bieżąco. Wszystko, co miała do powiedzenia, mogło poczekać.

Tak samo było nawet wtedy, gdy trwało jej małżeństwo. W pewnym momencie wierzyła, że Benjamin Platt to zmieni, nawet na to liczyła. Co za ironia. Od rozwodu Maggie czuła, że kolejny związek stałby się krępującym obciążeniem. Nie chciała być zobowiązana do mówienia komuś, gdzie jest, co robi czy choćby kiedy wróci do domu. Nie zamierzała w zamian za miłość żyć wedle czyichś oczekiwań. Robiła to przez zbyt wiele lat małżeństwa, które okazało się bardziej wyczerpujące niż satysfakcjonujące.

Ostatnio jednak odkryła, że pragnie mieć kogoś bliskiego. Kogoś, kto nie może się doczekać, by dowiedzieć się, co u niej słychać. Z kim mogłaby porozmawiać, kto niezwłocznie odpowiedziałby na jej esemes. Siedząc obok Rydera Creeda, zrozumiała, że samotność to czasami potworna pustka.

Creed wyrwał ją z zamyślenia.

– Nie powinienem był zgadzać się, żeby Grace dzisiaj pracowała.

Maggie spojrzała na niego. Siedział pochylony z łokciami na kolanach, z brodą opartą na złączonych dłoniach.

– Przecież nie mógł pan przewidzieć, że tam będzie szczelina.

– Nie, ale wiedziałem, że Grace nie przywykła do skalistego terenu. Tam było niebezpiecznie. To głupota z mojej strony. – Patrzył przed siebie, w głąb korytarza, którym oddalił się rozmawiający z nimi chirurg.

Potem powiedział:

– Dzięki, że pani została.

Zaskoczył Maggie. Zanim mu odpowiedziała, dodał:

– Ze względu na Grace, oczywiście.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Po zakończeniu operacji Grace Maggie zostawiła Creeda. Doktor Towle była zadowolona, stwierdziła, że wszystko poszło dobrze.

– Żadnych niespodzianek – oświadczyła. – Ten mały piesek ma dużo szczęścia.

Potem wyjaśniła im, na czym polegała operacja. Cała łapa była w gipsie. Chcieli zatrzymać Grace na noc, może nawet na dwie noce. Creed natychmiast chciał ją zobaczyć. Maggie skorzystała z okazji i wyszła.

Miała do dyspozycji wynajętego SUV-a, bo Tully został z Lopezem i jego ekipą. Zanim zadzwoniła do Tully'go, pojechała znów do domu Noaha Watersa. Zaparkowała przy krawężniku po drugiej stronie piętrowego domu. Wybrała numer w komórce i wpatrywała się we frontowe wykuszowe okno Watersów. Choć przezroczyste firanki były zasunięte, Maggie widziała, że ktoś podszedł i odebrał telefon, który, jak pamiętała, stał na półce z książkami w rogu.

– Słucham?

To była matka Noaha.

– Pani Waters, mówi agentka Maggie O'Dell. Spotkałyśmy się dzisiaj wcześniej.

Cisza. Oczywiście, że kobieta ją pamiętała. Spędziła sporo czasu, obrzucając Maggie gniewnym spojrzeniem. Narzekała, że nie pozwala jej zostać w pokoju podczas przesłuchiwania syna.

– Pani Waters, muszę porozmawiać z Noahem.

– Nie ma go tu – odparła szybko kobieta.

– Nie wolno mu opuszczać domu. Jeśli go nie ma, muszę przekazać to detektywowi Lopezowi, który wyda nakaz aresztowania – mówiła to, patrząc na panią Waters przez okno. Matka Noaha machała ręką do kogoś w pokoju, żeby siedział cicho albo wyszedł.

Maggie wysiadła z auta, przeszła przez jezdnię i ruszyła chodnikiem.

– On jest z ojcem. Niedługo wrócą – skłamała kobieta, gdy Maggie zadzwoniła do drzwi.

– Och, ktoś dzwoni do drzwi, musi pani później zatelefonować – powiedziała i rozłączyła się.

Kiedy pani Waters otworzyła drzwi, jej uśmiech zmienił się z zdumienie, a potem w złość.

– To nie było bardzo profesjonalne – zrugła Maggie.

– A okłamywanie agenta federalnego jest ciężkim przestępstwem – odparowała Maggie, widząc Noaha siedzącego na brzegu sofy.

– Nie może pani tu przychodzić, kiedy pani chce.

– Wolałaby pani, żebym przyszła z nakazem aresztowania?

– Niech pani nie będzie śmieszna. Nie pozwolę...

– Znalazła go pani – wtrącił chłopak, ale nie ruszył się z miejsca.

– O mój Boże, znaleźliście Ethana? Nic mu nie jest?

– Nie żyje. Tak jak mówił pani syn.

– Dzwonię do twojego ojca, Noahu. – Kobieta ruszyła do telefonu. – Nie powinieneś z nikim rozmawiać bez adwokata.

– Pora, żebyś mi wyznał prawdę – rzekła Maggie.

Noah spojrział przez ramię na matkę, która mówiła coś do słuchawki histerycznym tonem. Wstał, wziął kurtkę i powiedział do Maggie:

– Możemy się przejść? Cały dzień nie byłem na dworze.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Noah nie mógł uwierzyć, że nagle ogarnął go taki spokój. Znalezienie Ethana oznaczało, że nie wyobraził sobie tamtej koszmarnej nocy. Nie powinno mu to poprawić samopoczucia, a jednak poczuł ulgę. Wciągał świeże wiosenne powietrze. Słońce powoli chowało się za górami, malując na niebie różowe i fioletowe smugi. Wraz ze słońcem zniknęło ciepło dnia. Noah schował ręce głęboko do kieszeni kurtki, idąc obok agentki FBI.

Przewyższał ją wzrostem. Jej dzinsy były brudne na kolanach, dostrzegł też świeże zadrapania na przedramionach, bo podwinęła rękawy koszuli. Krótkie włosy miała zmierzwiłone, chociaż nie czuło się najłżejszego podmuchu wiatru. Powietrze zrobiło się już chłodne, ale ona nie wyglądała na zmarzniętą. W tym miejscu i w tej chwili zdawała mu się młodsza. I mniej groźna. Tak, w niczym nie przypominała agentki FBI.

Miał do niej wiele pytań, lecz nie wiedział, czy chce poznać odpowiedzi. Domyślał się, że kobieta czeka, aż on pierwszy się odezwie. Przeszli całą przecznicę, nim Noah sobie uprzytomnił, że musi jej coś powiedzieć.

– To nie my mieliśmy problem – zaczął w końcu. – Myśleliśmy, że on ma problem. Powiedział, że silnik mu nie chce zapalić i bateria w telefonie mu padła. Miał rękę na temblaku.

*A durny Ethan opuścił szybę w oknie. Byliśmy tak blisko domu.*

– Jak on wyglądał? Mógłbyś go opisać?

– Było ciemno. Miał czapkę bejsbolówkę nasuniętą nisko na czoło. – Wiedział, że nigdy nie zapomni blisko osadzonych czarnych oczu. Wyglądały jak oczy wilka.

Kobieta czekała na coś więcej. Nigdy jej tego nie powie.

*Nie może tego powiedzieć. Obiecał, że zachowa to w tajemnicy.*

– Był wysoki?

Noah wzruszył ramionami, jakby nie mógł sobie przypomnieć.

– Twojego wzrostu?

– Chyba tak.

Kobieta odsunęła z twarzy kosmyk włosów i westchnęła z irytacją.

– Musisz mi powiedzieć coś więcej, Noahu.

Powrócił ucisk w piersi. A jeżeli szalencie obserwuje jego dom? Jeśli teraz ich obserwuje? Czy wie, że kobieta jest agentką FBI? Nie, nie miał powodu sądzić, że jest kimś innym niż przyjaciółką rodziny.

– Ukrył nóż w temblaku. – Noah rozejrzał się dokoła i spojrzał przez ramię.

Popatrzyła na niego bez słowa. Czuł, że jego oddech się zmienia, że znów zbliża się atak paniki.

– Uciekłem. – Otarł rękawem czoło. Było mu zimno, a jednocześnie się pocił. – Zostawiłem Ethana i uciekłem.

– To wszystko?

*To wszystko. To wszystko, czego ona się od niego dowie. Nie może więcej powiedzieć. Nie powie.*

– Uciekłem. Zostawiłem go z tym szaleńcem.

Nabrał haust zimnego powietrza i powoli je wypuścił. Zwolnili kroku, ale szli dalej. Serce wciąż mu waliło. Kiedy był dwa czy trzy kroki przed nią, zdał sobie sprawę, że kobieta się zatrzymała.

– Skąd więc wzięła się na twoim ciele krew Ethana?

– Pewnie ten szaleniec go zranił. – Potrząsnął głową, nie chciał dopuścić do siebie tamtych obrazów. Nie chciał znów widzieć zagłębiającego się w ciele noża. Nóża krojącego ciało. Nie chciał słyszeć trzasku łamanych stawów. – Sporo z tego nadal pamiętam jak przez mgłę – skłamał i zamknął oczy, broniąc się przed wspomnieniami, które zalewały go niekontrolowane. Nie było w nich nic mglistego, ale przy odrobinie szczęścia agentka mu uwierzy.

Kiedy podniósł powieki, patrzyła na niego. Nie wierzyła mu i nie zależało jej na tym, by przed nim to ukryć. Czekala, aż Noah spojrzy jej w oczy.

– Jestem osobą, która może schwytać tego mordercę, Noahu. Jeśli ja tego nie zrobię, on wróci. Po raz drugi nie da ci szansy ucieczki.

Potem się odwróciła i zostawiła go samego. Patrzył, jak wsiadła do SUV-a i ani razu się nie obejrzała.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Maggie wróciła do Holiday Inn, gdy zmierzch zamienił niebo w neonowy błękit. Kiedy weszła do pokoju, zauważyła, że drzwi łączące są wciąż otwarte. Za to drzwi łazienki Tully'ego były zamknięte, dobiegał zza nich dźwięk płynącej z prysznicy wody, który podziałał na nią kojąco.

Wcześniej czuła, że puszcza ją jej nerwy. Tak niewiele brakowało, by chwyciła Noaha Watersa za kołnierz i potrząsnęła nim, żeby powiedział jej prawdę. Teraz ogarnęło ją zmęczenie. Czuła się obolała po spuszczeniu się na dno jaskini. W klinice weterynaryjnej oczyściła się z brudu, umyła i wytarła twarz szorstkimi brązowymi papierowymi ręcznikami. Wiedziała, że kiedy się rozbierze, zobaczy siniaki i zadrapania. Długi gorący prysznic przyniesie ulgę.

Cieszyła się, że Tully tam jest. Wysłucha, wzruszy ramionami i powie coś, co pozwoli jej spojrzeć na wszystko z dystansem. Potem zaproponuje, by zamówili piwo i coś do jedzenia, pewnie te hamburgery, którymi obżerał się minionego wieczoru.

Woda ucichła. Maggie sprawdziła swoją komórkę. Da Tully'emu czas, żeby coś na siebie włożył. Bateria była bliska rozładowania. Miała tylko jedną wiadomość głosową z nieznanego numeru. Wygrzebała z torby na laptop ładowarkę i podłączyła do niej telefon. Znow go sprawdziła i zauważyła esemes od Bena.

„Twoi chłopcy za tobą tęsknią”.

Do tych słów Ben dołączył zdjęcie, na którym ujrzała Jake'a i Harveya, którzy robili psie miny, a także Bena i jego teriera Diggera.

„Twoi chłopcy” przeczytała pod zdjęciem. Czy Ben miał na myśli Jake'a i Harveya, czy także siebie i Diggera?

Za drzwiami usłyszała jakiś hałas, jakby Tully po wyjściu z łazienki przesuwał meble.

Podeszła do łączących pokoje drzwi.

– Hej, jesteś ubrany? – spytała, wchodząc. Na drugim końcu pokoju stał Creed owinięty ręcznikiem wokół talii.

– O mój Boże, przepraszam. – Natychmiast poczuła, że robi się czerwona. – Myślałam, że to Tully. – Cofnęła się o krok i pochyliła głowę, ale zerknęła na pierś i nogi Creeda.

– Nie ma sprawy. Proszę wejść. Mnie to nie przeszkadza, jeśli pani nie przeszkadza.

Gdyby teraz wyszła, przyznałaby, że dla niej ta sytuacja coś znaczy. A wydawało się, że Creed zupełnie się tym nie przejmuje. Wrócił do tego, co mu przerwała, rozkładał mapę na bliższym okna łóżku. Maggie skorzystała z okazji, by szybko mu się przyjrzeć. Zaraz potem poczuła, że już nie tylko policzki ma czerwone. Co się z nią, do licha, dzieje?

– Czy Tully tu jest?

– Powinien niedługo wrócić. Wziął mojego dżipa. Miał jakąś sprawę do załatwienia.

Wyglądał złożoną w harmonijkę mapę. Wydawał się całkiem nieświadomy tego, dokąd sięga wąski ręcznik, odsłaniający fragment jego szczupłych bioder.

A ponieważ Maggie milczała, ciągnął, nie podnosząc wzroku:

– Lopez podrzucił go do kliniki weterynaryjnej. W Holiday Inn nie mają już wolnych pokoi. Tully powiedział, że mogę u niego przewaletować. – Był skupiony na mapie, zgięty w pół przesuwał po niej palcem wskazującym. Potem nagle podniósł wzrok na Maggie. – Przepraszam, powinniśmy byli to z panią ustalić.

– Nie ma sprawy. Wszystko w porządku. Jest dużo miejsca. W obu pokojach są dwa podwójne łóżka – plotła Maggie, która nigdy nie plotła trzy po trzy. Po co mu powiedziała o tych

łózkach? – Jak się ma Grace? – spytała. Nie chciała myśleć o jego długich nogach i szerokich ramionach. Z tym swoim sześciopakim mógłby pojawić się jako model na plakacie.

– Dobrze. – Wyprostował się, wrócił myślami do Grace. Włosy wciąż miał wilgotne i zmierzwione. Brodę pokrywał ciemny zarost. Potarł twarz dłonią. – Zaczekałem, aż się obudzi. Chciałem zostać wystarczająco długo, żeby ona rozumiała, że jej nie opuściłem. Że z nią wszystko w porządku. Żeby się nie bała. Ma pani psy, więc rozumie pani, o czym mówię. Człowiek dodaje im otuchy najlepiej, jak potrafi.

Słuchając, Maggie patrzyła mu w oczy i była świadkiem kolejnego przeobrażenia tego człowieka. W ciągu dwóch dni widziała najpierw spokojnego wytrawnego zawodowca, potem macho, posępnego, refleksyjnego ratownika, a wreszcie zatroskanego, delikatnego i cholernie podniecającego opiekuna.

Nie zdawała sobie sprawy, że odrobinę zbyt długo patrzy sobie w oczy, dopóki Creed się nie uśmiechnął.

– A co pan właściwie robi? – Spuściła wzrok na mapę, ale wciąż czuła na sobie jego spojrzenie.

– Kupiłem to na dole. – Na szczęście przeniósł uwagę na mapę. – To mapa Dakoty Południowej, Iowy, Nebraski i Kansas. Pomyślałem, że może w tych fragmentach autostrady, które wybiera morderca, jest coś wspólnego. Autostrada I-70 prowadzi prosto do Waszyngtonu. Proszę popatrzeć. – Gestem wskazał, by Maggie podeszła bliżej, na jego stronę łóżka.

– Mogę poczekać, jeśli chce się pan ubrać.

– Nie mam w co. Mój worek z rzeczami został w dzipie. – Podniósł na nią wzrok. Maggie ani drgnęła. – Jeśli panią to krępuje...

– Nie, skąd, nie. – Zrobiła krok, potem drugi, aż znalazła się w nogach łóżka, przekrzywiła głowę, żeby widzieć mapę, nie stając obok Creeda. – Okej, proszę mi pokazać, co pan tam ma – powiedziała i natychmiast się zaczerwieniła, bo te słowa zabrzmiały dwuznacznie.

Creed udał, że tego nie zauważył. Maggie zaczesła kosmyk za ucho. Potem wsparła rękę na biodrach i wlepiła wzrok w mapę.

Skup się, O'Dell, powiedziała sobie.

Z bliska czuła zapach jego świeżo umytej skóry i hotelowego szamponu. Na moment podniosła wzrok i dojrzała niespełna centymetrową bliznę na linii brody. Zbyt mocno odczuwała jego bliskość. Była wyczerpana, to wszystko. Kiedy człowiek jest tak zmęczony, trudniej zapanować nad własnym ciałem i jego odruchami. Tym razem Creed popatrzył jej prosto w oczy.

Maggie nie była pewna, jak do tego doszło. Wiedziała jednak, że nie zrobiła nic, by temu zapobiec. Zaczęło się od pocałunku, pełnego wahania i delikatnego, jakby sprawdzającego. Kiedy Creed ją do siebie przyciągnął, stracił równowagę i plecami padł na łóżko. Przypadek? Czy zrobił to celowo? W tym momencie to się nie liczyło. Creed nie wypuścił Maggie z objęć, więc znalazła się na nim. Oparła się na dłoniach, zamierzając wstać.

Ich piersi dzieliły ledwie centymetry. Mógł ją znów do siebie przyciągnąć, ale pozwolił Maggie decydować. Przez chwilę walczyła ze sobą, nie wiedząc, co wybrać. Patrzył z powagą, bez cienia humoru. Ich oczy znów się spotkały. Uniósł głowę i zaczął pieścić ustami jej brodę, szyję, potem obojczyk.

Stukanie do drzwi zabrzmiało jak wystrzał ostrzegawczy.

– Hej, Creed, to ja, Tully. Zapomniałem, że dałem panu moją kartę magnetyczną.

Maggie natychmiast poczuła się jak przyłapana na pieszcotach z chłopakiem napalona nastolatka. Niezgrabnie zsunęła się z Creeda. Mapa pod nimi zaszeleściła głośno niczym wybuch. Maggie stuknęła nogą o podłogę. Była czerwona z zażenowania, a jeszcze bardziej się zaczerwieniła, widząc, że ręcznik Creeda się poluzował.

– Creed, jest pan tam?

Maggie na palcach ruszyła w stronę drzwi.

– Chwileczkę, właśnie wyszedłem spod prysznic! – zawołał Creed.

Maggie już prawie znalazła się za łączącymi pokoje drzwiami, kiedy się zatrzymała i obejrzała. Creed popatrzył jej w oczy i pokazał, by szła dalej. Nie uśmiechał się. Nie patrzył z żalem ani triumfem. Patrzył na nią z napięciem. Tak wielkim napięciem, że gdy Maggie przekroczyła próg, zamknęła drzwi, które łączyły pokoje, nie tylko na klamkę, ale też na zatrzask.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Może urządzenie w domu spotkania w sprawie seryjnego mordercy to jednak nie był taki dobry pomysł. Agent Alonzo zamienił miłą kolację w groteskowy pokaz slajdów. Po rozmowie z lekarzem Gwen miała mętlik w głowie, z trudem skupiała uwagę. Kilka razy, gdy spoglądała ponad dużym mahoniowym stołem w jadalni, napotykała spojrzenie Julii Racine. Na szczęście detektyw miała dość rozsądku i wycucia, by się odwrócić, a nawet wydawała się nieco zażenowana.

Raz jeszcze, niezależnie od elektronicznych gadżetów, które ze sobą przytargał, agent Alonzo skupił się na papierowej mapie Stanów Zjednoczonych przyklepionej na tablicy. Postawił ją na końcu pokoju na bardzo delikatnej sztaludze. Kiedy rozłożył sztalugę z połączonych, długich na trzydzieści parę centymetrów kijków, które wyjął z torby na ramię, Gwen przyszła na myśl czarodziejska różdżka. W pierwszej chwili, gdy zobaczyła torbę Alonza, uśmiechnęła się, bo wyglądało to, jakby agent przyniósł ze sobą przybory toaletowe i zamierzał zostać na noc. Tak pracował jej umysł tego wieczoru po telefonie lekarza. Najdrobniejsze rzeczy zamieniał w absurd. Może to rak w ten sposób zmienia ludzki umysł.

Kiedy Alonzo wyjął pinezki i zaczął je wpinać w mapę, Gwen zastanawiała się, czy nie prościej byłoby to prześledzić na komputerze. Gdy tylko ta myśl wpadła jej do głowy, zauważyła wymianę spojrzeń między Kunzem i Alonzem, i zdała sobie sprawę, że to właśnie zastępca dyrektora naciskał na ten przedpotopowy sprzęt. Przez krótki moment poczuła do niego większą sympatię.

*My, dinozaury, musimy trzymać się razem.*

Alonzo miał na sobie kolejną fioletową koszulę, spodnie khaki i buty żeglarskie marki Sperry. Okulary druciane zamienił na szkła w grubej czarnej oprawie.

*Kiedy okulary stały się sezonowym modowym dodatkiem?*

Gwen myślała chaotycznie. Jej goście rozmawiali na temat dowodów, śladów i motywów zbrodni, podczas gdy ona próbowała ustalić, co każdy z nich chciał powiedzieć swoim strojem.

Chyba nigdy dotąd nie widziała Keitha Ganzy bez białego laboratoryjnego fartucha. Jego długi siwy koński ogon lepiej pasował do T-shirtu i zamszowej kamizelki, które teraz miał na sobie i w których wyglądał na wyluzowanego hipisa, a nie na kujona. Nawet Kunze trochę odpuścił. Jasnoniebieską koszulkę polo z długim rękawem włożył porządnie za pasek czarnych jak węgiel spodni, do których nosił skórzane mokasyny z frędzlami.

W tej chwili morderstwo niezbyt Gwen obchodziło. Buty przeciwnie, a ona знаła się na butach, męskich i damskich. Zresztą to bez znaczenia. Maggie wciąż z niej żartowała, że buty są jej fetyszem. Jednak pomimo jej wysiłków, Tully nie nauczył się doceniać porządnych skórzanych butów, choć kupiła mu seksowne włoskie mokasyny. Nagle Gwen bardzo zatęskniła za Tullym i jego butami.

We własnym domu, w grupie kolegów, czuła się samotna. Dwoje ludzi, których kochała i którym ufała, którym mogła się zwierzyć, znajdowało się prawie dwa tysiące kilometrów dalej. Miała wrażenie, że traci rozum, a nie był to temat, który można dokładnie obgadać przez telefon.

W tym momencie Gwen zauważyła, że w pokoju zaległa cisza. Co gorsze, wszyscy wlepiali w nią wzrok. Czekali. Czyżby coś przeoczyła?

– Przepraszam, tak?

– Dobrze się pani czuje, doktor Patterson? – spytał agent Alonzo.

– Dobrze, całkiem dobrze.

– Zanim przejdziemy do Otisa P. Dodda – wtrącił Kunze, a Gwen zdała sobie sprawę, że dał jej czas. – Omówmy ofiary, chronologię i to wszystko, co wiemy.

– Jasne – odparł Alonzo, wciąż patrząc na Gwen z troską.

Zastąpił mapę białą tablicą metr na półtora metra. To z pewnością pomysł Kunzego, pomyślała Gwen. Alonzo przygotowałby prezentację w PowerPoincie.

Agent podzielił tablicę na sześć części, potem od lewej do prawej na górze wpisywał nazwiska ofiar w kolejności, w jakiej zostały odnalezione. Mówił tak, jakby naciskał przyciski klawiatury, technik przetwarzania danych zamienił się w nauczyciela.

– Najpierw Pomarańczowe Skarpetki numer jeden. Selena Thurber zaginiona w drodze do domu w Jacksonville na Florydzie. Jej samochód znaleziono na parkingu przy autostradzie I-95 na południe od Richmond w Wirginii. Ciało znaleziono w przepuście pod mało uczęszczaną drogą gruntową jakieś półtora kilometra dalej. Otis wspomniał o tym miejscu dziennikarzowi. Ciało znaleziono w całości, choć w bardzo późnym stanie rozkładu. Kobieta zaginęła rok wcześniej. Identyfikacji dokonano na podstawie uzębienia. Koroner uważa, że została zamordowana wkrótce po zabraniu z parkingu.

Ofiary numer dwa i numer trzy. Gloria Dobson i Zach Lester. Koledzy z pracy z Concordii w stanie Missouri. Byli już blisko celu, jechali na konferencję do Baltimore, kiedy zostali zamordowani. Dobson znaleziono w przejściu obok płonącego magazynu. Lestera oraz ich samochód znaleziono na parkingu przy autostradzie I-64 na wschód od Covington w Wirginii. Twarz i szczeka Dobson były zmasakrowane, przez co nie dało się jej rozpoznać. Została zidentyfikowana dzięki numerowi seryjnemu na implantach piersi.

Gwen nie chciała spojrzeć na Racine, która teraz na pewno na nią patrzyła. Znała historię Dobson. Wiedziała, że kobieta miała męża i troje dzieci, że wyleczyła się z raka piersi. Żadna z tych ofiar nie była typowym łatwym celem.

*Implanty piersi – dobry Boże, nawet o tym nie pomyślała!*

Nie słyszała wypowiedzi Alonza na temat Lestera. Nieważne. Wiedziała, że biedakowi obcięto głowę, a jego ciało wypatroszono. „Zostawiono krukowi na pożarcie” – jak wyraził się Tully.

Życie jest takie kruche. Czy na końcu ma jakieś znaczenie, czy zabił cię dający przerzuty rak, czy seryjny morderca pociął twoje wnętrzności, czy autobus potracił cię na skrzyżowaniu? Zerknęła na Racine. Tak, Julia na nią patrzyła.

– Ofiara numer cztery zidentyfikowana jako Wendi Conroy z Filadelfii – mówił agent Alonzo. – Jechała do Greensboro w Północnej Karolinie odwiedzić siostrę. Jej samochód odkryto w zeszłym miesiącu na parkingu przy autostradzie I-95 na południe od Dale City w Wirginii. Ciało znaleziono dwa dni temu w worku na śmieci zakopanym na farmie w Iowa. Farma graniczy z parkingiem przy autostradzie I-29 tuż za Sioux City. Ofiara miała odciętą głowę, a na stopach pomarańczowe skarpetki, ale uważamy, że skarpetki włożono już po jej śmierci. Morderca zapakował głowę Conroy do reklamówki, do której wrzucił paragon ze sklepu, gdzie kupił skarpetki. Zrobił nam przysługę i zostawił też jej prawo jazdy.

Na tej samej farmie w stodole znaleziono ofiarę numer pięć, mężczyznę. Wciąż czekamy na jego identyfikację i dokładne informacje. Agenci O'Dell i Tully zbadali tatuaż, który daje nam prawo podejrzewać, że mężczyzna był miłośnikiem motocykli.

– Och, na Boga – przerwał mu Kunze. – To był motocyklista i miał wytatuowany napis „Sturgis”.

– Tak, zgadza się. – Agent Alonzo nie obraził się i kontynuował. – Miejscowy koroner jeszcze nie wykonał autopsji ani nie podał czasu zgonu.

Dzisiaj znaleziono ofiarę numer sześć. Miałem wiadomość od agenta Tully'ego. Uważają,

że szczątki ukryte w głębokiej szczelinie na obrzeżach Manhattanu w stanie Kansas są szczątkami poszukiwanego nastolatka Ethana Amesa. Zaginął dwa dni temu. Jego samochód stał na parkingu przy drodze I-70. Także na obrzeżach Manhattanu. Wedle wstępnej oceny agenta Tully'ego jego ciało zostało częściowo rozczłonkowane. Co dziwne, przyjaciel chłopaka przeżył atak, ale nie przekazał żadnych informacji na temat osoby, która ich zaatakowała.

– Coś się tu nie zgadza – rzekł Keith Ganza. – Skąd wiemy, że to ten sam morderca?

– Na miejscu zbrodni znaleziono numer telefonu agentki O'Dell – odparł Alonzo.

– W foliowym woreczku razem z odciętym palcem chłopaka – dodał Kunze. – To on.

Prowadzi z nami jakąś chorą grę.

– Jednego nie rozumiem – odezwała się po raz pierwszy Racine. – Dlaczego zrezygnował z takiego superterenu do grzebania ofiar. Ta farma była idealna. Od lat stała pusta. Miał tam nawet dom, gdzie mógł się zatrzymać. Mógł do woli przyjeżdżać i wyjeżdżać. Przez nikogo niewidziany.

– Sprawdziłem to – rzekł Alonzo. – Zmarła właścicielka farmy w testamencie zostawiła wykonawcy testamentu dokładne instrukcje. Dziesięć lat po jej śmierci miał przekazać farmę na rezerwat przyrody. Termin się zbliża. Wykonawca testamentu jest w trakcie przekazywania ziemi rządowi federalnemu.

– Dlatego zastanawiam się, czy morderca ma do dyspozycji inny podobny teren – rzekł Kunze. – Otis powiedział doktor Patterson, że Jack ma inne cmentarzyska. Twierdził, że zna lokalizację jednego z nich. Jeżeli to miejsce jest podobne do farmy w Iowa i on czuje się tam swobodnie, możemy go zaskoczyć. A przynajmniej znaleźć coś, co go obciąży, zdradzi, kim on jest.

– Poważnie rozważa pan ofertę Otisa? – spytała Gwen.

– Na farmie w Iowa wykopują szczątki przypuszczalnie pięciu kolejnych ofiar. Sześć już znamy. Cztery z nich zostały zamordowane w zeszłym miesiącu. Może to przypadek, a może tyle ofiar zabija co miesiąc. Nie daj Boże. Tully i O'Dell sądzą, że on przyspiesza. Wiem tylko, że możemy już nigdy nie być tak blisko. Jeżeli on się nami znudzi, może ukryć się w jednej ze swoich kryjówek. To bystry gość. Na jakiś czas ucichnie. Co nie znaczy, że przestanie zabijać.

Kunze popatrzył po twarzach zebranych. Nikt nie protestował.

– Otis nie mylił się co do pierwszej kobiety w pomarańczowych skarpetkach. – Kunze spojrział na tablicę i dodał: – Seleny Thurber. Wszystkie media grzmią teraz o farmie w Iowa, ale dwa dni temu nawet w lokalnych mediach o niej nie mówili. A jednak Otis dokładnie wiedział, gdzie jest to cmentarzysko. Wiedział też o wytatuowanym motocyklicie w stodole. Nie tylko to, gdzie jest ciało, ale że ofiara to wytatuowany motocyklista.

Kunze spojrział na Gwen.

– Co pani sądzi, doktor Patterson? Powinniśmy przyjąć ofertę Otisa?

Wszystkie oczy skierowały się na Gwen. Wcześniej zastępca dyrektora zostawił ją w spokoju. Być może włączono ją do tego zespołu ze względów politycznych, może nawet jako potencjalnego kozła ofiarnego, ale teraz Kunze szczerze pytał ją o radę. O radę, nie tylko opinię.

– Kiedy poznałam Otisa, szybko stwierdził, że nie jest piromanem, że tak naprawdę lubi poczucie władzy. – Gwen usiłowała się skupić. Cały wieczór miała w głowie chaos. – Sporo czytałam na temat jego podpaleń. To były duże i niebezpieczne pożary. Ale niezależnie od jego gadki na temat władzy, w tych pożarach nie było ofiar. Nikt fizycznie nie ucierpiał. To by wskazywało, że Otis lubi zwracać na siebie uwagę. Na tym mu zależy. Prawie rok siedzi w więzieniu. Wie, że posiada cenne informacje i chce coś w zamian.

– Prawdę mówiąc, do swojej oryginalnej prośby dodał zastrzeżenie – rzekł Kunze.

– Ja nie pojadę – powiedziała szybko Gwen. – To nie moja bajka.

– Nie, nie, on nie chce pani ze sobą ciągnąć. Oglądał wszystkie relacje na temat farmy w Iowa. Chce, żeby pojechała z nim ta ładna agentka FBI.

– Maggie? – Gwen to nie zaskoczyło. Pamiętała, jaki czarujący był Otis, gdy zasugerowała, że jest dla niego za stara. Jak zadurzony nastolatek.

– On wie, że się przyjaźnicie.

– Z programu CNN?

W minionym miesiącu podczas śledztwa w sprawie podpaień w Waszyngtonie pewien reporter zrobił program na temat Maggie. Był bardzo dociekliwy.

– Już dwa razy to pokazywali. Nieważne. Ta wycieczka będzie częścią poszukiwań O'Dell i Tully'ego. Oczywiście chcę, żeby pojechali. Czy to jakoś wpływa na pani decyzję na temat Otisa?

Gwen zerknęła na Racine, Ganzę i Alonza. Jeśli powie „nie”, morderca może zabić kolejne dziesięć osób, których nigdy nie znajdą. Ani o krok nie zbliżą się do schwytania Jacka, mordercy z autostrady.

– Niech Otis jedzie.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Kiedy Tully zasugerował, by udali się we trójkę na późną kolację, Maggie pomimo wyczerpania ucieszyła się z tego pomysłu. Gdyby zostali w sąsiadujących ze sobą pokojach, chyba by się udusiła – dwoje to para, troje to tłok. Zwłaszcza kiedy między dwojgiem z tych trojga iskrzy.

Niedaleko hotelu i kampusu uniwersyteckiego znajdowała się część miasta zwana Aggieville, gdzie mieściły się sklepy, restauracje, puby, bary i nocne kluby. Zdecydowali się na pizzę w stylu nowojorskim, odpowiednią dla miasta zwanego też Małym Jabłkiem. Tully pozwolił sobie zamówić dla nich pizzę pod nazwą 18th i 8th, jedną ze specjalności restauracji, z pepperoni, mieloną wołowiną, włoską kielbasą wieprzową i kanadyjskim bekonem. Maggie wzięła jeszcze sałatę. Creed z radością wypatrzył w menu mrożoną herbatę. Tully zamówił piwo z beczki, a Maggie dietetyczną pepsi, bo sobie nie ufała i nie chciała stracić samokontroli.

Tully opowiedział im o skomplikowanym wydobywaniu ciała Ethana. W chwili, gdy zamierzał pokazać im zdjęcia w smartfonie, przyniesiono pizzę. Tully przesunął telefon do Maggie i Creeda. Siedzieli przy okrągłym stoliku, gdzie każde z nich miało dla siebie dość miejsca, ale by widzieć ekran smartfona, Creed przysunął się z krzesłem do Maggie. Kiedy Tully dzielił i podawał pizzę, Maggie przesuwiała palcem po ekranie, wyświetlając kolejne zdjęcia i patrząc na ponure znalezisko, tak jak wcześniej Tully, detektyw Lopez i jego ludzie.

Ciało było w koszmarnym stanie. W pewnej chwili Maggie zdała sobie sprawę, że Creed wrócił na swoje miejsce. Przypomniała sobie, jak mówił jej i Tully'emu, kiedy Grace dała mu sygnał w stodole, że nie pomaga w odkopywaniu ofiar. Ale z pewnością widział mnóstwo ciał, wiele z nich okrutnie potraktowanych.

– W porządku? – spytała.

– To nie jest moja ulubiona część pracy.

Wypił do dna mrożoną herbatę i zaczął się rozglądać za kelnerem, żeby zamówić następną. Maggie zastanowiła się, czy nie wolałby czegoś mocniejszego.

– Och, zaczekaj – rzekł Tully i wziął do ręki telefon. – Mam zdjęcie butów, które znaleźli w śmieciach na parkingu. Pokazywałem je wcześniej Creedowi – powiedział do Maggie, szukając zdjęcia. Kilka razy przesunął palcem po ekranie. – Lopez zgodził się, żebym wysłał je Alonzowi, więc to zrobiłem, jak podrzuciłem Creeda do hotelu.

Wreszcie znalazł i podał Maggie telefon.

Buty wyglądały zwyczajnie, sznurowane buty turystyczne, ale na palcach Maggie dostrzegła rdzawe plamy.

– Krew?

– Nie będziemy wiedzieli, dopóki laboratorium tego nie potwierdzi, ale na to wygląda.

Widzisz ten biały ślad?

Na dolnej części skórzanego buta widniały białawe zacieki.

– Co to jest?

– Creed powiedział, że to wygląda... Niech pan sam powie.

– Moje buty mają takie plamy, kiedy namokną słonawą wodą. – Wziął kawałek pizzy i ugryzł kęs. Na szczęście już nie myślał o zdjęciach.

– Słonawą? – spytała Maggie.

– Mieszanką słonej i świeżej wody. Zwykle w miejscu, gdzie rzeka wpada do oceanu czy zatoki.



– Jeżeli buty należą do Jacka – rzekł Tully. – To może znaczyć, że mieszka blisko oceanu albo zatoki.

– Mamy pewność, że nie należą do Ethana?

– To nie są buty Ethana – zapewnił Tully. – Miał na nogach tenisówki. Tylko że stopy w tenisówkach były osobno.

– Jack spędza więc sporo czasu gdzieś na wybrzeżu. To niespecjalnie zawęża teren poszukiwań.

– Creed pokazał mi mapę, którą oglądaliście.

Maggie omal nie zakrztusiła się pizzą. Rzuciła spojrzenie Creedowi, czując, że robi się czerwona. Tully jakoś nie zwrócił na to uwagi. Grzebał w kieszeniach, szukając jakiegoś papieru, a wreszcie wziął serwetkę, uwielbiał pisać na serwetkach. Wyciągnął pióro, a Maggie, która starała się skupić na czymkolwiek poza Creedem i tym, co wydarzyło się w pokoju hotelowym, wskazała na pióro Tully’ego. To było oryginalne pióro, nie jedna z tanich jednorazówek, które zwykle nosił w kieszeni.

– No, no, skąd ty to masz?

– Gwen mi je podarowała na naszą rocznicę.

– To wy świętujecie jakieś rocznice?

Zignorował jej przytyk, wycelował w nią piórem i uśmiechnął się, kiedy w stronę Maggie wystrzelił niebieski promień światła.

– To nie wszystko – rzekł i przekręcił pióro, aż rozłożył je na dwie części. Wyrzucił na stolik zawartość górnej części pióra. Dwa nożyki X-Acto i trzycentymetrowe ząbkowane ostrze. Odwrócił drugą połówkę pióra i pokazał śrubokręt z nierdzewnej stali.

– Prawdziwy James Bond – powiedział Creed.

– Gwen uważa cię za Jamesa Bonda?

– Jak powiedziałaaby Emma, Bond jest taki niedzisiejszy. Już raczej za Jasona Bourne’a.

– No dobra – zaśmiała się Maggie. – Właśnie jego widzę, ilekroć o tobie myślę.

– Poczekaj, to nie koniec. – Tully złożył z powrotem pióro. Odkręcił górną końcówkę i pokazał im.

– Kompas?

– Nie kompas – rzekł Creed. – To GPS?

– Tak. – Tully przykręcił go na miejsce i zaczął rysować znaczki na serwetce. – I na dodatek pisze. Czy ta moja kobieta mnie kocha, czy co?

W tym momencie spojrzenia Creeda i Maggie się skrzyżowały. Była w nich jakaś moc, Creed szybko odwrócił wzrok. Nie tylko odwrócił wzrok, ale wziął głęboki oddech.

– Może jeszcze coś do picia? – spytał i już machał ręką na kelnera.

Zadzwoiła komórka. Maggie zerknęła na ekran. Rozpoznała numer, choć nie znała dzwoniącego. Już wcześniej ktoś dzwonił do niej z tego numeru, lecz nie zostawił żadnej wiadomości.

– Maggie O’Dell, słucham?

– Ten dupek próbował mnie zabić.

– Słucham? Kto mówi?

– Lily. Twoja najlepsza przyjaciółka z Iowa. Już o mnie zapomniałaś, do diabła?

– Powoli. Nie, oczywiście, że nie zapomniałam.

– Ten pieprzony drań walnął mnie w głowę.

– Lily, o czym ty mówisz? Kto usiłował cię zabić?

– Ten sukinsyn, który zakopał te wszystkie ciała. Ten dupek w durnej czapce z napisem „Łowca nagród”... chciał mnie zabić.

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY

Kiedy Maggie zadzwoniła do szeryfa Unissa w Sioux City, dochodziła północ. Była gotowa przeprosić, ale szeryf ją uprzedził.

– Nie wiem, jak to się stało. – Natychmiast zaczął się bronić. – Nikomu nie podałem pani nazwiska.

– O czym pan właściwie mówi?

– O mediach. Jak tylko pani wyjechała, namnożyło się ich tu jak robactwa. Wszyscy się pojawili: CNN, ABC, FOX, nawet pieprzone Entertainment Tonight. Nie dałem im pani nazwiska.

Od chwili gdy stamtąd wyjechali, Maggie nie włączała telewizora ani radia. Słuchając teraz Unissa, przeszła przez pokój i włączyła telewizor, znalazła CNN i po paru sekundach przekonała się, czemu szeryf tak się zdenerwował jej telefonem. Rozpoznała długi podjazd farmy w Iowa w tle. Nie włączyła głosu. Usiadła na skraju łóżka i przeczesła palcami włosy.

To nic takiego, powiedziała sobie.

– Nie w tej sprawie dzwonię, szeryfie – oznajmiła.

– Jeden z mężczyzn powiedział, że robią o pani materiał. Przysięgam, ode mnie ani od moich ludzi niczego się nie dowiedział.

Maggie przełączyła się na FOX. I tu jej zdjęcie stanowiło część wiadomości z ostatniej chwili. Trochę są spóźnieni, pomyślała, i to też zignorowała.

– Szeryfie, niech pan mnie przez chwilę posłucha, proszę. Czy ekipa budowlana, która nam pomagała, jest tam jeszcze?

– Ekipa budowlana?

– Tak, brygadzysta Buzz i jego ludzie. – Potrząsnęła głową sfrustrowana. Czemu nie dowiedzieli się, jak facet ma na nazwisko?

– Nie, oni już się wynieśli. Otoczyliśmy ten teren na czas nieograniczony jako miejsce zbrodni. Szybko tu nie wróć.

– Zabrali sprzęt?

– Wczoraj rano.

Niech to szlag!

Maggie usłyszała stukanie w otwarte drzwi między pokojami. Creed zajrzał do środka. Trzymał dwie puszki dietetycznej pepsy. Pokazała mu, żeby wszedł dalej.

– Musimy sprowadzić Buzza na przesłuchanie. Czy pański wydział może się tym zająć?

– Oczywiście, ale musi mi pani powiedzieć, w jakiej sprawie mamy go przesłuchiwać.

Creed patrzył na ekran telewizora, a Maggie żałowała, że nie wyłączyła cholernego sprzętu.

– Miałam telefon od Lily.

– Lily?

– Tej kobiety, którą znaleźliśmy w domu na farmie.

– Tej tirówki?

– Tak. Powiedziała, że Buzz próbował ją zabić.

– Och, na rany Boga. I pani jej uwierzyła? Pewnie znów nawciągała się persilu.

– Persilu?

– Metamfetaminy. Kierowcy tirów tak to nazywają.

– Szeryfie, musi pan znaleźć Buzza i jeśli to możliwe, Lily.

– Zadzwoiła do pani i nie powiedziała, gdzie jest? Nie chciałbym tego mówić, agentko O'Dell, ale czasami po metamfetaminie ludzie mają urojenia i wyobrażają sobie Bóg wie co.

Maggie świetnie to wiedziała. Pamiętała, jak Lily obsesyjnie usiłowała z siebie zrzucić wyobrazone robale. Ale przez telefon kobieta mówiła z prawdziwym zdenerwowaniem. A Buzz odpowiadał ich ogólnemu profilowi. Mężczyzna, który przenosi się z jednego miejsca budowy na inne, przemieszczając się po kraju. Trzydziestoparoletni, szczupły, w dobrej formie. Przywykły do ciężkiej fizycznej pracy, ale inteligentny i łatwo nawiązujący kontakt z ludźmi. Mógł bez trudu uzyskać przewagę nad ofiarą, a jednocześnie był dość przyjacielski, by zdobyć zaufanie każdego. Pamiętała, że kiedy dał jej tę czapkę, poczuła się jak członek jego drużyny.

– Jeśli nie ma pan dość ludzi, żeby znaleźć Lily i Buzza, proszę mi teraz powiedzieć – rzekła.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Maggie czekała. Pewnie szeryf myślał o tym, jak zareagują media, jeśli jej odmówi. Albo czy do mediów przecieknie, że nie spełnił prośby agenta FBI.

– Będzie pani chciała go przesłuchać, kiedy go sprowadzimy? – spytał w końcu.

– Tak. Gdy tylko poznacie jego nazwisko, proszę mi je przesłać esemesem.

– Jasna sprawa.

– Aha, szeryfie, proszę mi natychmiast dać znać, gdy znajdzie pan Lily. Może pan sprawdzić dom na farmie.

– Po całym terenie łążą ludzie. Wątpię, żeby była w tym domu.

– Proszę sprawdzić dom.

Szeryf głęboko westchnął. Potem powtórzył:

– Jasna sprawa.

Creed siedział na rogu drugiego łóżka. Kiedy Maggie na niego spojrzała, wyciągnął rękę z pepsi.

– Okazuje się, że w automacie mają tę pani pepsi.

– Dzięki. – Starła się nie pokazać, że jest pod wrażeniem, iż to zapamiętał.

Otworzył obie puszki. Maggie wypila łyk. Czowała na sobie jego spojrzenie. Odwróciła się i wyłączyła telewizor. Z sąsiedniego pokoju słyszała głos Tully'ego, który prowadził trudniejszą niż ona rozmowę – z ich szefem.

Po raz pierwszy od pocałunku i... tego, co wydarzyło się na łóżku, znalazła się z Creedem sam na sam. Nie wiedziała, co ma powiedzieć. Może dla niego to była normalna sytuacja, która mu się czasem zdarzała. Dla niej z pewnością nie.

– Co do tego, co się stało – zaczęła i z oczu Creeda natychmiast wyczytała, że dokładnie wie, o czym ona mówi, i że nie musi kończyć zdania.

– Proszę się tym nie przejmować.

– To nic takiego? – spytała zbyt szybko, zdziwiona lekko uszczypliwym tonem. Czy nie tego chciała? Żeby to nic nie znaczyło?

Twarz Creeda pozostała poważna, bez cienia uśmiechu.

– Jeśli pani tak chce.

No i znowu, znowu to poczuła, całą sobą. Tę iskrę, to przyciąganie. Zbyt silne, by zachowała spokój.

Creed wstał, nie spuszczać z niej wzroku nawet wtedy, gdy zrobił dwa kroki do tyłu, oddalając się od łóżka i od Maggie. Próbował przerwać obwód?

– Powinna pani się przespać – powiedział.

Skinęła głową, uśmiechnęła się.

– Ostatnio mało spałam.

- Cierpi pani na bezsenność?
- To chyba nieodłączne od tej pracy.
- Przekonałem się, że szkocka albo bourbon zwykle pomagają.
- Pan też?
- Jest taka legenda, która mówi, że nie można spać, ponieważ w czyimś śnie się nie śpi. Zastanowiła się nad tym. Wypiła kilka łyków pepsi, po czym powiedziała:
  - W czyimś śnie? Czy czyimś koszmarze sennym?

W tym momencie do pokoju wszedł Tully. Włosy stały mu dęba, widać było, że zbyt wiele razy wsuwał w nie palce. Na jego koszuli Maggie zauważyła świeżą plamę – od sosu z pizzy. Wyglądał na wykończonego. Oparł się ramieniem o ścianę, jakby nie mógł ustać na nogach.

Poszukał oczu Maggie i chwilę w nie patrzył.

- No to chyba jedziemy razem na Florydę.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Zanim agent Tully skończył wyjaśniać, czemu wysyłają ich na Florydę, zadzwonił telefon Creeda. To była Hanna. Creed zostawił agentów i przeszedł do sąsiedniego pokoju, patrząc po drodze na zegarek. Zaciśnął zęby. O tej porze nocy Hanna mogła mieć tylko złe wiadomości.

– Wszystko w porządku? – spytał na powitanie.

– W porządku. Nie denerwuj się. Wiedziałam, że się od razu zagotujesz, ale domyślałam się, że jeszcze nie śpisz.

– Psy w porządku?

– Wszystko w porządku. Jak Grace?

– Jutro o siódmej rano ją odbiorę. Właściwie dzisiaj rano. Dwie godziny temu dzwoniłem i pytałem, co z nią, powiedzieli, że odpoczywa. Jest dobrze.

– To twardzielka, ale ucieszę się, kiedy będę ją już miała w domu, żeby się nią zaopiekować.

Creed się uśmiechnął. Hanna pewnie już naszykowała dla Grace posłanie w biurze, gdzie będzie mogła jej doglądać.

– Właśnie miałam telefon od agenta Alonza – oznajmiła. – Pytał, czy w sobotę tu, w naszych stronach, moglibyśmy zapewnić psa z opiekunem.

Zatem to tam wybierali się Maggie i Tully. Creed zirytował się, że jego pierwszą reakcją było radosne podniecenie.

– Felix wróci dopiero w przyszłym tygodniu, Andy jest wciąż na Zachodnim Wybrzeżu – ciągnęła Hanna.

– To dotyczy tej samej sprawy – powiedział jej. – Ja się tym zajmę.

– Rye, poważnie? Jutro będziesz cały dzień w drodze.

– Wyjadę stąd o siódmej, będę w domu późnym wieczorem. W sobotę na miejscu mogę się z nimi spotkać.

– Co z tobą? Coś się dzieje?

– Ten morderca znajduje swoje ofiary na parkingach, Hanno. Ci z FBI uważają, że przez jakieś dziesięć lat korzystał z tej farmy w Iowa. Może znajdą kolejne miejsce, gdzie grzebał ofiary, a kto wie, od kiedy miał do niego dostęp.

Hanna milczała bardzo długo. Już się obawiał, że połączenie zostało przerwane.

– Rye, za długo pracujesz bez przerwy.

Mówiła cicho i łagodnie, troskliwym tonem, który go irytował.

– Powiedziałem, że dam ci znać, kiedy będziesz musiała zacząć się o mnie martwić.

– Powiedziałeś – przyznała, a on zrozumiał, że mu odpuści.

Prawdopodobnie brzmiało to tak, jakby stwierdził, że wie, iż jest szalony, ale może całkiem nie zwariował... jeszcze.

– Wiem, być może nigdy jej nie znajdę, Hanno. Ale nie potrafię przestać szukać.

Nadal milczała.

– Okej, ale za to policz FBI dodatkowo – oświadczyła w końcu.

Uśmiechnął się, świadomy, że zrobił to bardziej z ulgi niż z radości.

**PIĄTEK 22 MARCA**

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Maggie nawet nie zdawała sobie sprawy, że zaciska zęby.

– Prognozy nie przewidują do jutra deszczu – rzekł Tully, zerkając na partnerkę, która ścisnęła podłokietnik. – Ani burzy z piorunami.

Maggie nie puściła podłokietnika.

Na początku tygodnia podczas lotu do Omaha przeżyli poważne turbulencje. Brak zagrożenia turbulencjami był dobrym znakiem. Ale tak naprawdę nie miało to znaczenia. Samolot nadal się wznosił, koszmarnie się przechylał, ciśnienie wciskało ją w fotel. Nienawidziła latać. Nie znosiła być prawie dwanaście kilometrów nad powierzchnią ziemi, gdzie nie ma nad niczym kontroli.

A Tully? Prawdę mówiąc, był podekscytowany. Kunze zarezerwował im bilety w pierwszej klasie.

– Dostaniemy lunch w samolocie – oznajmił jak mały chłopiec, który czeka na niespodziankę. Maggie zauważyła nawet, że wychyla głowę, jakby chciał dojrzeć, co takiego szykują na lunch. – Pierwsza klasa to prawdziwe fotele, płócienne serwetki, prawdziwe jedzenie.

Maggie spojrzała na niego. Jakby „prawdziwe” miało dla niego znaczenie! Widziała, jak Tully wcina tosty z automatu, których data ważności minęła przed trzema miesiącami. Czasami zastanawiała się, czy Tully myśli wyłącznie o jedzeniu. Potrafił spałaszować kopsiastą porcję jedzenia i był zadziwiająco niewybredny. Szczęśliwie jego życiowa partnerka Gwen, znakomita kucharka, uwielbiała gotować tak samo, jak Tully uwielbiał jeść. Wysoki i szczupły, z trudem mieścił nogi między swoim fotelem a tym przed nim – nawet w pierwszej klasie.

– Nie jesteś głodna? – spytał. – Nie jadłaś śniadania.

– Nie wierzę, że mnie nie obudziłeś. Ani że zasnęłam.

– Widocznie potrzebowałaś snu.

Właściwie cały ranek Maggie chciała powiedzieć, że nie wierzy, iż Creed wyjechał bez pożegnania. Kiedy wstała, już go nie było. Tully mówił, że Creed pukał i zaglądał do jej pokoju, zanim wyszedł, ale zobaczył, że Maggie śpi, a wiedział, jakie to dla niej ważne.

– Spieszył się, żeby odebrać Grace i zawieźć ją do domu – wyjaśnił Tully. – Poza tym jutro się spotkamy. Alonzo wynajął go z innym psem, żeby pomógł odnaleźć kolejne miejsce, gdzie są pogrzebane ciała.

Kolejne cmentarzysko. Wiedzieli o nim tylko tyle, że jest gdzieś na wschód od Milton w stanie Floryda, przy autostradzie I-10 w gęsto zalesionym terenie w pobliżu jakichś rzek i strumyków. Tyle tylko wyjawili im Otis. Poważnie potraktował rolę przewodnika, a także swoją zdolność do manipulowania innymi, i chciał wycisnąć dla siebie z tej sytuacji, ile się da.

Kunze i Alonzo byli przekonani, że Jack ma kryjówkę obok tego drugiego cmentarzyska, tak jak w Iowa na farmie, gdzie miał wolne mieszkanie i gwarantowaną prywatność. Miejsce, gdzie mógł się zatrzymać, nie spiesząc się z pochówkiem ofiar. Sam doprowadził ich do Iowa. Chciał się z nimi podzielić swoim dziełem. Skoro rząd federalny zaczął już tworzyć tam rezerwat, tak czy owak, dokopaliby się do ciał i nikt by nie wiedział, że to ofiary Jacka.

Tym razem Kunze spodziewał się zaskoczyć mordercę, pojawiając się na jego cmentarzysku bez zaproszenia. Jack nie miał powodu sądzić, że Otis P. Dodd nagle, po roku, podzieli się jego historią. Kunze przypuszczał, że Jack już zapomniał o obdarzonym łagodnym głosem wygadany olbrzymie, który wydawał się trochę niedorozwinięty.

Ale Jack to nie było prawdziwe imię mordercy. W każdym razie nie znano go pod tym

imieniem. Po szaleńczym telefonie Lily Maggie i Tully uważali, że ich morderca ma na imię Buzz. Dzięki szeryfowi Unissowi i agentowi Alonzowi wiedzieli już, że brygadzysta Buzz to tak naprawdę Stanley Johnson. Niestety Buzz zniknął z Iowa, podobnie jak Lily.

– Myśleliśmy, że nas obserwuje. – Maggie próbowała znaleźć wygodną pozycję. – Nie wiedzieliśmy, że z tak bliska.

– To było dziwne, jak dał ci czapkę, a potem czapka zniknęła z naszego stolika na parkingu.

Z torby pod siedzeniem Maggie wyjęła laptop. Odszukała plik, który Alonzo przesłał im e-mailem tuż przed tym, jak wsiedli na pokład samolotu. Niecierpliwie go otwierała, nawet jeśli to oznaczało grzebanie w psychice seryjnego mordercy, byle tylko zapomnieć, że jest zamknięta w metalowej tubie kilometry nad powierzchnią ziemi.

– Buzz nie całkiem pasuje do naszego profilu – zauważył Tully. – Kierował tą ekipą, zanim tam przyjechaliśmy.

– Według informacji Alonza trzydziestosześcioletni Stanley „Buzz” Johnson jest niezależnym przedsiębiorcą budowlanym. Podróżuje po kraju, wykonując głównie zleczone przez rząd federalny prace. Jako swoją stałą siedzibę podaje Dothan w Alabamie. Nie był notowany. Żadnych wykroczeń drogowych. Nie mamy jego odcisków palców. Alonzo znalazł forda F-15 zarejestrowanego na jego nazwisko w stanie Alabama. Nie ma żadnych nieruchomości zarejestrowanych na to nazwisko.

– Zaczekaj. – Tully wziął swoją torbę listonoszkę i wyjął z niej mapę, którą faksem przesłał im Alonzo. Pokazywała to miejsce na Florydzie, gdzie nazajutrz miał ich zabrać Otis. Tully włożył okulary i przyjrzał się dokładniej. – Spójrz na to.

Rozłożył stolik i położył na niej mapę. Wskazał na Dotham w Alabamie, a potem przejechał palcem w dół do drogi I-10. Maggie znalazła wzrokiem Milton w stanie Floryda, nim Tully je pokazał. Stały adres Buzza Johnsona od miejsca pochówku ofiar dzieliło jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów.



**SOBOTA 23 MARCA**

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

*Przy autostradzie I-10, na obrzeżach Milton w stanie Floryda*

Kunze zarezerwował dla Maggie i Tully'ego dwa pokoje w Red Roof Inn, tuż przy drodze I-10. Z tyłu ciągnął się sosnowy las. Było tam czysto i wygodnie, ale Maggie tęskniła za połączonymi pokojami w Holliday Inn. O dziwo, tęskniła też za Creedem. To naprawdę głupie. Ledwie go знаła. Pewnie potrzebowała jakiejś odmiany. Zbyt wiele czasu już była zdana wyłącznie na towarzystwo Tully'ego.

On z kolei wydawał się bardzo zadowolony, bo obok hotelu mieściła się restauracja Waffle House.

Maggie chciała wracać do domu i do swoich psów. Za długo podróżowała. Choć musiała sobie przypomnieć, że w tej chwili nie ma domu. Zniszczył go pożar. Doprowadzanie tego pobjowiska do porządku rozdzierało jej serce. Wyjechała w połowie odbudowy, kiedy elektrycy, hydraulicy i tynkarze wkroczyli do akcji i zaczęli wynosić, odnawiać, wymieniać. Może ta podróż to jednak nie taki zły pomysł.

Nie mieli nowych wiadomości na temat Stanleya „Buzza” Johnsona. Agent Alonzo zdobył jego zdjęcie z prawa jazdy i teraz pracował z detektywem Lopezem w Kansas, żeby przekonać się, czy Noah Waters zidentyfikuje mężczyznę ze zdjęcia jako tego, który zaatakował Noaha i jego przyjaciela Ethana. Maggie na to nie liczyła. Chłopak był wciąż zbyt przerażony.

Wcześniej tego ranka nad Florydą przeszły burze, powietrze zrobiło się ciężkie i wilgotne, przy 17 stopniach Celsjusza wydawało się zimne, choć słońce przebijało się przez chmury. Na późne popołudnie zapowiadano kolejne burze z piorunami.

Maggie i Tully mieli ze sobą firmowe wiatrówki. Przed wyjazdem z Kansas kupili turystyczne buty do kostek. Maggie włożyła dzinsy i T-shirt z długimi rękawami podciągniętymi do łokci. Tully wybrał bardziej oficjalny strój – spodnie khaki i koszulkę polo. Oboje mieli pasy i broń.

Tully już rozmawiał z Creedem, który był spóźniony i powiedział, że spotka się z nimi na miejscu. Creed znał ten teren jak własną kieszeń. Jego obiekt treningowy mieścił się niespełna pół godziny drogi stąd. Tully obiecał, że prześle mu esemesem współrzędne GPS, gdy tylko znajdą się na miejscu, do którego zabierze ich Otis.

Dokładnie w samo południe dwa czarne chevrolety tahoe z napisem „Policja drogowa stanu Floryda” zajęły na pusty parking z tyłu hotelu. Zaparkowały w najbardziej odległym rogu, gdzie z dwóch stron rosły sosny. Maggie i Tully czekali już w holu i wyszli ich powitać.

Obaj funkcjonariusze policji stanowej z Florydy byli w szarych mundurach i kapeluszach z szerokim rondem. Przedstawili się jako Wiley i Campos. Z miejsca pasażera pierwszego SUV-a wysiadł mężczyzna. Maggie wiedziała, że to naczelnik więzienia Demarcus. Kunze uprzedził ich, że naczelnik uparł się, by towarzyszyć więźniowi.

Demarcus wyglądał jak polityk – siwizna na skroniach, proste plecy, pewny krok, wyprasowane spodnie, biała koszula z jedwabnym krawatem i drogie skórzane buty, które, jak Maggie natychmiast zauważyła, były wypastowane i lśniące. Idealny strój na wyprawę w poszukiwaniu ofiar mordercy. Maggie zastanawiała się, czy Demarcus spodziewał się zastać tu ekipę telewizyjną. Nie przypominał strażnika, który pilnuje więźnia, lecz kogoś, kto chce zbić kapitał na chwili sławy.

Na tylnym siedzeniu pierwszego SUV-a siedział Otis P. Dodd. Maggie stała dość blisko, by widzieć go za przyciemnioną szybą. Patrzył na nich, uśmiechał się i jadł kurze udko.

Niezależnie od zakoli i zmarszczek w kącikach oczu, kiedy się do niej krzywo uśmiechnął – był to pełen zadowolenia, a jednocześnie niewinny uśmiech – przywodził na myśl nastolatka.

Maggie, Tully i Wiley podeszli do drugiego SUV-a. Tully zostawił Maggie miejsce pasażera z przodu. Campos i Demarcus wsiedli z powrotem do auta, gdzie siedział już Otis. Zanim Wiley uruchomił silnik i ruszył, naczelnik znów wysiadł, starając się opanować malującą się na twarzy wściekłość. Podeszedł do drugiego samochodu i stanął przed drzwiami od strony pasażera. Maggie i siedzący za nią Tully opuścili szyby w oknach.

– Jakiś problem?

– On chce, żeby pani z nim jechała – rzekł Demarcus przez zaciśnięte zęby, nie tylko ze złością, ale jakby z oskarżeniem w głosie. – Mówiłem im, żeby nie ciągnąć kobiety, że to zły pomysł.

Maggie trochę za szybko otworzyła drzwi, nim Demarcus chwycił za klamkę. Uderzyła go w pierś.

– Ups, przepraszam – powiedziała. – My, kobiety, czasami bywamy trochę niezdarne i nie potrafimy ocenić własnej siły.

Kiedy wysiadała z samochodu, słyszała za sobą śmiech Tully'ego i Wileya.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Maggie siedziała na skórzanym fotelu lekko odwrócona, żeby widzieć Otisa. Był przypięty kajdankami do podłogi SUV-a, zajmował miejsce za Camposem. Przednią część samochodu dzieliła od tylnej metalowa krata.

Wnętrze pachniało smażonym kurczakiem. Broda Otisa wciąż błyszczała od tłuszczu, bo niedokładnie ją wytarł. Był podekscytowany obecnością Maggie.

– Pani jest przyjaciółką pani Gwen, prawda?

Maggie natychmiast zrozumiała, co Gwen miała na myśli, mówiąc, że ten człowiek ma w sobie naiwny urok.

Odwrócił twarz do okna i patrzył z napięciem. Powściągnął nerwowy krzywy uśmiech, który był tak samo częścią rysów jego twarzy jak nos. Zdawało się, że dokładnie wie, dokąd ich zabiera. A jednak Maggie wcale by się nie zdziwiła, gdyby okazało się, że skłamał na temat drugiego cmentarzyska Jacka, byle tylko spędzić dzień za murami więzienia. Przeleciał się samolotem i przejechał samochodem. Łyknął świeżego powietrza i zjadł kurczaka. Kiedy pozwolił im minąć zjazd na parking przy międzystanowej, Maggie pomyślała, że jej podejrzenia są słuszne.

A jednak Otis skierował Camposa na następny zjazd i zakręt za zakrętem dokładnie go instruował. Dziesięć minut później wjechali do Parku Stanowego Blackwater i Maggie pomyślała, że właśnie opuścili Kansas.

Wąską drogę z obu stron porastały wysokie smukłe sosny, rosnące tak blisko jedna obok drugiej, że światło z trudem się przez nie przedostawało. Minęli wjazdy na kilka dróg gruntowych i dwie z czerwonej gliny, które skręcały i znikwały między drzewami. Campos jechał coraz głębiej w las. Kiedy przejeżdżali przez most, Maggie zauważyła, że woda w dole była w kolorze herbaty, ale przejrzysta i dość płytka, by widzieć dno. Na rzece widniała łacha czystego białego piasku. Plaża otoczona sosnami wyglądała dziwnie nie na miejscu. W sezonie byłaby idealnym miejscem odpoczynku, w marcu świeciła pustkami.

– Gdybyś powiedział, że to w lesie – rzekł Campos do Otisa, patrząc na niego w lusterku – wezwałbym jednego ze strażników leśnych.

– Nie ma potrzeby – odparł Otis.

– Byleś tu wcześniej? – spytał Campos.

– Nie, proszę pana. Nigdy nie byłem na Florydzie. – Był uprzejmy i mówił łagodnym tonem z południowym akcentem.

– To skąd wiesz, dokąd mamy jechać?

Otis lekko postukał się dwoma palcami w skroń i uśmiechnął się, wciąż patrząc przez okno.

– Jak ludzie mi coś mówią, pamiętam. Nie wiem, czemu tak jest, ale mam w głowie dokładny obraz.

Campos rzucił Maggie spojrzenie, na szczęście nie przewrócił oczami. Wyglądał na jakieś czterdzieści lat. Z pewnością słyszał już różne historie. Widziała, że zaczął się zastanawiać nad sensem tej podróży i prawdziwością słów Otisa.

– Tutaj nikogo nie ma – rzekł Campos do Maggie. – O tej porze roku są pustki. Milton to kajakowa stolica Florydy. Blackwater płynie pośród lasów. Wpada do niej kilka strumieni i rzek dopływowych. Coldwater Creek, Juniper, Sweetwater.

– Jak duży jest las? – spytała.

– Ponad osiemdziesiąt tysięcy hektarów. Ciągnie się na północ aż do granicy z Alabamą. Maggie obejrzała się na Otisa. Poczwała lęk. Jak daleko w las ich zaciągnie? Jak długo każe im krążyć w kółko, nim przyzna, że nie ma żadnego cmentarzyska?

Patrząc na zachód przez przecinkę w gęstym lesie, Maggie dojrzała zbierające się burzowe chmury. Nie minęło jeszcze pół roku, odkąd spędziła wieczór w lesie w Nebrasce. Nigdy wcześniej nie doświadczyła takiego poczucia osamotnienia jak wówczas. Nie miała ochoty znów tego przeżywać. Instynktownie wyjęła telefon komórkowy i sprawdziła liczbę kresek. Zamrugła jedna, dwie, potem obie zniknęły. Brak zasięgu.

Campos to zauważył.

– Tutaj powinien być zasięg – rzekł i szybko dodał: – Na większej części tego obszaru. – Nie brzmiał przekonująco.

– Za tym grubasnym drzewem – oznajmił Otis, wskazując przed siebie na potężny martwy dąb. – Tam na prawo jest wąska droga.

To był charakterystyczny punkt orientacyjny, łatwy do zapamiętania. Czy tak właśnie myślał Otis?

Campos zwolnił, ale i tak o mało nie minął tej drogi. W zasadzie była to ścieżka, tak zarośnięta, że nie widzieli żadnych śladów kół ani nawet jej początku. Campos zatrzymał samochód. Upewnił się, że jadący za nimi SUV także stanął i zostawił mu dość miejsca, by mógł się cofnąć. Potem mocno szarpnął kierownicę w prawo i wjechał w las.

Droga była kręta, chwilami ostro zakręcała. A do tego wyboista, więc podskakiwali na koleinach. W żadnym miejscu się nie poszerzała. Gdzieniegdzie boczne gałęzie drapały w bok samochodu i Campos się krzywił. Te zwisające z góry groziły tym samym. Tu i ówdzie Maggie dostrzegła plamy koloru, wiosenne pąki. Niebo zaciągało się chmurami i ciemniało, na ich drodze też robiło się coraz ciemniej.

– Daleko jeszcze, kolego? – spytał Campos, a Maggie zdawało się, że na słowo „kolego” Otis się skrzywił. – Jesteś pewien, że dobrze jedziemy?

– Jeszcze trochę – odparł więzień.

Kilka sekund później SUV zakręcił i wjechał na małą polanę.

– No to wysiadamy – rzekł Otis.

Maggie musiała przyznać, że to idealne miejsce na grzebanie ciał ofiar. Jedyne problem w tym, że nic innego tam nie było. Żadnego domku, gdzie można by się zatrzymać.

Kiedy jednak wysiedli z auta, Otis powiedział im, że na właściwe miejsce muszą jeszcze iść spacerkiem, i wskazał na ścieżkę.

– To tam, między tamtymi drzewami.

– Robisz z nas durniów? – wściekł się Demarcus.

– To ze sto, sto pięćdziesiąt metrów dalej – odrzekł Otis i spytał, czy zdejmuje mu kajdanki z nóg.

Campos i Wiley spojrzeli na naczelnika. Ten skierował wzrok na Tully’ego.

– Przyjechaliśmy taki kawał drogi. Przynajmniej sprawdźmy to, zanim nadejdzie burza.

Otis miał rację. Jakies sto, sto pięćdziesiąt metrów dalej wyszli na kolejną polanę. Ta była o wiele większa, z wysoką trawą i żółtymi polnymi kwiatami – łąka w środku lasu. Wiley szedł obok Otisa. Więzień, z rękami w kajdankach, zaprowadził ich na środek polany i tam się zatrzymał. Demarcus był tuż za nim, potem Tully, Maggie, a na końcu, jakies sześć metrów dalej, Campos zamykał ten pochód.

I znów Maggie zwróciła uwagę, że polanę otaczał tylko gęsty las. Żadnego miejsca, gdzie można by się schronić. Co prawda nie mogła zajrzeć w głąb lasu. Gdzieś w oddali słyszała zbliżającą się burzę.

Prawdę mówiąc, pierwszy huk, jaki Maggie usłyszała, wzięła za grzmot, dopóki nie zobaczyła, że Wiley pada na kolana, trzymając się za gardło. Natychmiast rozległ się drugi strzał. Tuż obok Maggie eksplodowała głowa Camposa, rozbryzgując się na jej twarzy.

Gdy Campos się na nią przewracał, rozpięła wiatrówkę i upadła razem z nim na ziemię. Sięgnęła do kabury.

Potem zabrzmiał trzeci strzał. Kula trafiła Tully'ego.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Maggie na brzuchu podczołgała się do Tully'ego. Wysoka trawa trochę ją osłaniała, lecz na jej drodze leżał Campos. Wyciągnęła broń, ale nie widziała strzelca. Czy on ją widział? Wiedziała tylko, że strzały, jeden za drugim, padały spośród drzew, w końcu byli łatwym celem.

Po czwartym strzale usłyszała krzyk Demarcusa.

Schowała głowę, przycisnęła policzek do zimnej wilgotnej ziemi. Poza walącym jej w uszach sercem wszystko ucichło. Była złana potem.

Obróciła głowę, żeby widzieć Tully'ego.

Na wiatrówece miał krew. Kula weszła w ciało. O dobry Boże! Tuż nad sercem.

– Niech to szlag, Tully. Nie! – powiedziała pod nosem. Pod powiekami poczuła łyzy, łyzy złości.

Gwałtownie zamrugała i uniosła się na łokciach. Serce jej łomotało. Próbowała spojrzeć ponad ciałem Camposa.

Nigdzie nie widziała pomarańczowego kombinezonu. Gdzie, do diabła, jest Otis?

I gdzie jest jego kumpel Jack? Czy Buzz, czy jak on się tam, do cholery, nazywa?

Było tak cicho, za cicho.

Została sama.

Ta myśl wywołała kolejny atak paniki. Tully ostrzegał Maggie, że morderca ma obsesję na jej punkcie. Że nie chodzi mu o to, by podążali jego śladem, chodzi mu o nią. Teraz ona jedna pozostała przy życiu. Tak jak sobie życzył Jack, bo chciał ją mieć żywą.

Ścisnęła rewolwer, trzymając palec na spuście. Oparła się o ciało Camposa. Wolną ręką grzebała w etui przyczepionych do jego pasa z bronią. Do lewej skarpetki schowała mały pojemnik z gazem pieprzowym. Paralizator elektryczny wsadziła z tyłu za pasek. Campos leżał na kaburze z rewolwerem. Maggie nie mogła się do niego dostać, nie przewracając policjanta na bok.

Za jej plecami coś się poruszyło. Odwróciła się, gotowa wycelować.

Tully jęknął. Zamrugał, próbując skupić wzrok. Wyglądał, jakby był w szoku i cierpiał z bólu.

Maggie poczuła ulgę, po czym natychmiast zebrała się w sobie. Musi przekonać się, jak ciężko ranny jest Tully. Musi powstrzymać krwawienie. Ale najpierw, i to szybko, musi jeszcze zrobić coś innego.

Z kolejnego etui przy pasie Camposa wyjęła dwie rzeczy. Jedną wsunęła za swoją drugą skarpetkę, wpychając jak najgłębiej. Potem się podczołgała, odpychając się łokciami, by być jak najbliżej ziemi. Tylko kilka centymetrów.

Usłyszała kroki. Chrząst. Blisko, zbyt blisko.

Wyciągnęła rękę i dotknęła Tully'ego. Na trzy sekundy musiała odłożyć rewolwer.

Chwyciła partnera za nadgarstek i założyła jedną obręcz kajdanek na jego przegub, a drugą na swój. W chwili gdy znów sięgnęła po rewolwer, padł na nią cień.

– Zostaw to, Sroczo – powiedział jakiś głos w górze za jej plecami.

Słyszając to czułe przewisko, wstrzymała oddech. Tylko rodzice tak się do niej zwracali.

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SZÓSTY

*Waszyngton*

Gwen nie znosiła szpitalnych fartuchów. Zawsze były trzy razy za duże. Stopy miała lodowato zimne. Czemu nie przyszło jej do głowy, żeby wziąć skarpetki? Żeby nie myśleć o zagłębiającej się w ciele igle, myślała o różnych głupstwach. Już trzy albo cztery razy wyjaśniali jej, na czym polega biopsja. Dali jej miejscowe znieczulenie i robili badanie pod kontrolą ultrasonografu, gdyż trudno było wyczuć ręką miejsce do nakłucia. Nie zostaną jej żadne siniaki ani blizny. To mniej inwazyjne niż biopsja chirurgiczna. Zaraz po badaniu będzie mogła wrócić do domu czy do pracy.

Zapewnili ją, że wszystko „poszło bardzo dobrze”. Chcieli jednak, żeby się na krótki czas położyła. Ten zabieg to nic takiego, a jednak pielęgniarka zdziwiła się, że pacjentka jest sama i nikt po nią nie przyjedzie. Gwen nikomu o tym nie powiedziała. Wiedziała tylko Julia Racine, ale Gwen kazała jej przysiąc, że zachowa to w tajemnicy.

Jej ubranie, biżuteria, telefon i buty leżały porządnie poukładane na szafce obok łóżka. Telefon – który wyciszyła – wibrował właśnie na blacie. Nikt nie zabronił korzystać z telefonu. Sięgnęła więc po niego i poczuła ból w miejscu, gdzie trzykrotnie wbijano igłę, pobierając trzy próbki.

– Słucham?

– Doktor Patterson, mówi agent Alonzo. Może pani chwilę rozmawiać?

– Oczywiście – odparła, rzucając wzrokiem na drzwi.

– Przeglądam pewną informację i zastanawiam się, czy mogłaby mi coś pani wyjaśnić w związku z pani rozmową z Otisem P. Doddem.

– Okej.

– Pamięta pani, czy mówił, skąd wie o tym ciele w stodole w Iowa? Tego motocyklisty z tatuażem?

– Jestem pewna, że powiedział, iż wie to od Jacka.

– A pamięta pani, czy wspomniał, kiedy Jack mu to powiedział?

Gwen się zastanowiła. Otis rzucił jej tę informację tuż przed końcem spotkania. Zrobił to w złości, myśląc, że mu nie uwierzy. Z czystej złośliwości, bo może w ogóle nie zamierzał jej tego mówić.

– Nie wydaje mi się, żeby określił, kiedy się tego dowiedział. Spędzili z Jackiem wieczór w barze, popijając. – Alonzo milczał, więc nim się odezwał, spytała: – Znacie już tożsamość tej ofiary ze stodoły?

– Tak, chyba tak.

Gwen słyszała, jak Alonzo stuka w klawiaturę.

– To Michael James Earling z St. Paul w stanie Minnesota. Czy Otis kiedykolwiek przyznał, że rozmawiał z Jackiem po tamtym wieczorze przy drinkach?

– Nie, zawsze mówił o jednym wieczorze, jakby to było przypadkowe spotkanie z obcym człowiekiem. – Próbowała sobie przypomnieć, jakich słów używał. – Wyraził się jakoś tak, że obaj są popaprani. Że nie są normalni. Wydawał się zadowolony, że to ich łączy.

I znów czekała na odpowiedź, zaś Alonzo milczał.

– Czemu pan pyta? Co się stało?

– Otis prawie rok siedzi w więzieniu. Michael James Earling zniknął trzy tygodnie temu. Koroner mówi, że tyle czasu ciało leżało w stodole.



Nagle Gwen oblała się zimnym potem.

– Otis nie mógł wiedzieć o wytatuowanym motocyklicie w stodole – rzekł Alonzo –  
chyba że był w kontakcie z Jackiem.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

– Tylko powoli i ostrożnie – powiedział mężczyzna.

Maggie podciągnęła się i oparła o Tully’ego, zanim podniosła wzrok. Mężczyzna stał z wyciągniętym pistoletem, prawdopodobnie glockiem, celując jej w głowę. Wciąż miał na głowie czapkę z napisem „Łowca nagród”. Ale Jack nie był Buzzem.

Potrzebowała chwili, by go rozpoznać.

– Miałeś mnie w Iowa. Po co mnie ciągnąłeś taki szmat drogi? – spytała Howarda Elliotta.

Poczuła, że Tully się poruszył. Usłyszała jego jęk.

– To nie byłoby zabawne.

– On wciąż żyje – rzekł Otis.

Poczuła ucisk w żołądku. Myślała, że Otis mówi o Tullym, on tymczasem stał nad Wileym i naczelnikiem Demarcusem. Trzymał rewolwer, który w jego dużej dłoni wyglądał jak zabawka.

– Wykonawca testamentu z farmy to Jack? – wymamrotał Tully. – Sukinsyn.

– Ten też żyje, jak widać.

– Mam się do pana zwracać: Howardzie? – spytała Maggie zdumiona swoim spokojnym zrównoważonym głosem, gdyż czuła, jak panika mrozi jej krew w żyłach.

– To John Howard – odparł Otis, stając obok przyjaciela. – Ale lubi, jak się go nazywa Jackiem. – Uśmiech Otisa nie zniknął. Wysunął czubek języka i oblizał wargi, oglądając się przez ramię. – On wciąż żyje.

To Demarcus tak niepokoił Otisa. Naczelnik wił się na ziemi. Maggie widziała, jak objął się ramionami.

– Dostał w brzuch – powiedział Jack, nie zdejmując oczu z Maggie. – Zdechnie. Trochę się pomęczy. Myślałem, że tego mu życzysz. Ale tu mamy problem. Mogłem go tylko postrzelić w rękę.

Tully poruszył się, a Jack uniósł glocka.

– Bez niego nigdzie się nie ruszę – oznajmiła Maggie, unosząc lewą rękę i pokazując kajdanki.

– A czemu pani to zrobiła?

Otis zaśmiał się nerwowo, na siłę, a zaraz potem znów oblizał wargi.

– Wie pani, że mogę to przestrzelić.

– Jack nie znosi broni – rzekł Otis. – Zgadza się?

Otis o głowę przewyższał Jacka, był prawie dwa razy taki jak on. Z łatwością mógł wziąć go na ręce i złamać w pół, a jednak ten olbrzym kręcił się koło niego jak chłopiec, który chce zadowolić swojego mentora.

– Jak to ty zawsze mówisz? – ciągnął Otis. – Kule niszczą mięso.

W pochwie przy pasku Jacka Maggie zauważyła nóż i jej serce zaczęło walić. Mięso? Przypomniała sobie zmasakrowane ciała. Kilka z nich z odciętymi głowami. Poćwiartowanego Ethana. Rozwieszzone na gałęziach drzewa wnętrza Zacha Lestera.

– Lepiej by było, żeby mógł chodzić – zauważył Jack, wskazując na Tully’ego. Potem powiedział do Otisa: – Wyjmij mu broń spod kurtki.

Spojrzenia Jacka i Maggie się skrzyżowały. Tym razem Jack się uśmiechnął, jakby nagle ta sytuacja wydała mu się zabawna.

– Prawdę mówiąc, ciekawiej jest mieć dwoje naraz – rzekł do Maggie. – Może go po prostu od pani odetnę, kawałek po kawałku.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Maggie słyszała, że burza jest już blisko. Wysokie sosny pozwalały jej widzieć tylko skrawek nieba. Całe popołudnie słońce bawiło się w chowanego. Teraz schowało się za chmurę, niebo zrobiło się sine.

Z trudem pomagała Tully'emu wstać. Jack nie pozwolił jej obejrzeć jego rany. Choć partner był przytomny, zdawało się, że chwilami gdzieś odpływa. Przykuła kajdankami swój lewy nadgarstek do jego prawego. Żeby pomóc mu się podnieść, musiała przerzucić jego prawą rękę nad swoim ramieniem i głową, a potem trzymać lewy nadgarstek przy prawym ramieniu.

Maggie szła z lewą ręką uniesioną w poprzek ciała. A ponieważ Tully był prawie dziesięć centymetrów wyższy, on z kolei musiał się pochylać. Czuła się, jakby miała na sobie kaftan bezpieczeństwa i plecak równocześnie. Kajdanki wrzynały jej się w skórę, a ilekroć Tully unosił rękę czy gwałtowniej nią poruszał, miała wrażenie, że ktoś wrywa jej ramię ze stawu.

Jack, rzecz jasna, uznał, że to bardzo zabawne.

Nie uszli daleko, kiedy przed nimi pokazała się rzeka. Mgła wisiała nad nią jak zagubiona chmura, która spadła z burzowego nieba. Na brzegu czekała łódź z wiosłami. Wysokie trzciny kołysały się na wietrze, który zapowiadał zmianę pogody.

Maggie wiedziała, że jeśli wejdzie na pokład łodzi, znajdzie się na zupełnie obcym terenie. Przypomniała sobie, jak Campos mówił, że las zajmuje ponad 80 tysięcy hektarów, o tej porze roku w większości opustoszałych. Jack chyba dobrze znał okolicę. Zastanowiła się, czy w ogóle grzebał tu ciała. Może Otis to wymyślił, żeby ją tutaj ściągnąć.

Wcześniej Jack kazał Otisowi ją obszukać, kiedy skończy z Tullym, i Otis natychmiast znalazł paralizator. Jack cmoknął i potrząsnął głową, ale potem się uśmiechnął i znów wyglądał na zadowolonego.

Zabrał też Maggie i Tully'emu telefony komórkowe. Ale żaden z nich nie pomyślał, by obmacać jej kostki. Co prawda gaz nie na wiele się przyda. Z przypiętym do niej Tullym Maggie nie mogła działać szybko. A będzie miała sekundy, nie minuty, by pokonać mężczyzn, próbując odebrać im broń. Kiedy Jack kazał Otisowi „zrobić, co do niego należy”, olbrzym został z tyłu. To mogła być jedyna szansa Maggie.

– Wsiadaj – polecił jej Jack, jedną nogę przerzucając przez burzę.

– A jeśli odmówię?

– Kroiłaś kiedyś ludzkie ciało? Tak na poważnie, głęboko. Może w samym stawie? Tak jak się zarzyna świnię?

Ani drgnęła. Nie odwróciła wzroku. Widziała wiele takich przypadków.

– Czemu więc mnie nie potniesz, zamiast gdzieś zabierać?

– Och, nie mówię o tobie.

Wskazał na Tully'ego, a Maggie poczuła, jakby to jej zadał cios.

– To dupek – mruknął Tully.

Mogłaby pchnąć Jacka, udając, że pomaga partnerowi wejść do łodzi. A gdyby się nie udało? Ryzykowała nie tylko własne życie, ale także życie Tully'ego. Może lepiej wsiądzie do łodzi, spryska Jacka gazem i wtedy go pchnie do wody. Czy zdoła wiosłować w dół rzeki tak szybko, żeby Otis ich nie dogonił?

Pomogła Tully'emu wejść na pokład. Łódź się zakołysała. Maggie o mały włos nie straciła równowagi i nie wpadła do rzeki. Kajdanki wbijały jej się w skórę, Tully jęknął, ale ją złapał. Jakimś cudem znalazł w sobie dość siły, żeby ją utrzymać.

Jack tylko na nich patrzył. Znów potrząsnął głową, a Maggie zrozumiała, że straciła szansę.

Nagle wszyscy troje podskoczyli, słysząc przerażający krzyk. Mrozący krew w żyłach, dziki i zbolący, i zdecydowanie ludzki. Maggie czuła go całą sobą. Na ten dźwięk nawet ptaki się poderwały i zatrzepotały skrzydłami. Wiatr ustał.

*Demarcus.*

Potem Otis wyszedł spomiędzy drzew, człowiek góra szedł, głośno tupiąc tą samą ścieżką, którą oni mieli już za sobą. Był zlany potem, przód pomarańczowego kombinezonu, wcześniej czysty, teraz pokrywały plamy krwi. Uśmiechał się jak szaleniec, w prawej uniesionej ręce niośł coś jak trofeum.

– Miałeś rację. To nic wielkiego – rzekł do Jacka.

Teraz, stojąc z boku łodzi, oddychał ciężko. Maggie zauważyła, że w lewej ręce ścisnął nóż Jacka. W tej uniesionej, prawej, trzymał coś, co musiało być jednym z palców Demarcusa.

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

### *Park Stanowy Blackwater*

Creed dostał od Tully'ego drugi esemes. Współrzędne GPS były zaskakujące. Nigdy by nie zgadł, że morderca grzebie swoje ofiary w samym środku stanowego lasu. A gdzie znalazłby lepsze miejsce? – pomyślał Creed, jadąc krętą drogą.

Z tyłu siedział Bolo z otwartym pyskiem i wywieszonym językiem i dyszał niespokojnie. Creed odwiózł Grace do domu całą i zdrową i oddał ją pod opiekę Hanny. W przeciwieństwie do Grace Bolo zajmował cały tył dżipa.

O ile Creed się orientował, Bolo był w połowie labradorem, a w połowie przedstawicielem rasy Rhodesian ridgeback. Po labradorze miał przyjazne, wręcz serdeczne usposobienie oraz palce połączone błoną pławną, dzięki czemu znakomicie pływał. Po przodku rasy Rhodesian ridgeback odziedziczył niewzruszoną odwagę. Był najlepszym wielozadaniowym psem poszukiwaczem, ale Creed uważał, kiedy i gdzie go angażował. Bolo zachowywał się zdecydowanie nadopiekuńczo w stosunku do swojego trenera, można powiedzieć, że wręcz fanatycznie. Kiedy ostatnio pracowali razem, pewien zastępca szeryfa krzyknął na Creeda, a chwilę później gość leżał na ziemi, przygnieciony 45 kilogramami mięśni, przed oczami mając wyszczerzone psie kły.

W policyjnym slangu BOLO oznacza „być na czatach”, co w tym wypadku było nadzwyczaj trafne.

Z esemesów Tully'ego Creed wiedział, że Tully'emu i Maggie towarzyszy dwóch stanowych policjantów, naczelnik więzienia z Wirginii i Otis P. Dodd. Choć więzień z pewnością był w kajdankach, Creed cieszył się, że tym razem wziął ze sobą Bola. Oraz rugera 38 schowanego pod siedzeniem kierowcy.

Creed znalazł dwa czarne chevrolety tahoe i wysłał do Tully'ego wiadomość, że dotarł już na miejsce. Kiedy wyjmował sprzęt z tyłu dżipa, przyglądał się otaczającym małą polanę drzewom. Sądząc z ostatnich przesłanych przez Tully'ego współrzędnych GPS, znajdowali się niedaleko, a jednak las był zbyt gęsty, by ich zobaczył.

Na dworze się ściemniało, zbliżał się deszcz i pioruny. Na razie odgłosy burzy dochodziły z drugiej strony zachodniej linii drzew. Creed uprzedził Tully'ego, że podczas burzy będzie zbyt niebezpiecznie. Kiedy grzmi i błyska się, nie wypuszcza swoich psów na zewnątrz. Agent zapewnił, że jeśli przed burzą nie znajdą tego miejsca, będą kontynuować poszukiwania następnego dnia.

Bolo zaskomlił, stał podniecony pod otwartymi tylnymi drzwiami. Gdy Creed pakował plecak, pies dotknął go nosem. Potem szturchnął go w ramię.

– Bolo, spokój.

Spojrzał na psa i znieruchomiał. Coś było nie tak.

Oczy Bola zrobiły się dzikie. Na karku sierść stała mu dęba. Węszył nerwowo, oddychał szybko i ciężko.

Creed zamarł w bezruchu i nasłuchiwał. Bolo wyglądał, jakby coś usłyszał. Jednak Creed niczego nie słyszał. Dla niego było nawet zbyt cicho.

Sprawdził telefon. Nie dostał odpowiedzi od Tully'ego, ale w środku lasu zasięg mógł być tylko miejscami. Kazał Bolowi stać, założył mu kamizelkę i szelki. Czuł intensywny psi zapach i jakieś napięcie w jego ciele.

Psy nie kojarzą zapachów z emocjami, lecz niektóre silne zapachy wywołują reakcje.

Silny zapach może pochodzić od znajdujących się w pobliżu zwłok we wczesnej fazie rozkładu. Creed poczuł ucisk w żołądku. Silny zapach to także krew, świeża krew, i to w dużej ilości.

## ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY

Jack przymocował łańcuchem prawą nogę Maggie do żelaznego pierścienia w podłodze na tyle łodzi. Swoją drogą, nie mogłaby wypaść do wody i zniknąć pod powierzchnią, bo rzeka była zbyt płytka.

Otis wiosłował, a Jack nim kierował, zwracając jego uwagę na gałęzie i pniaki, które pojawiały się na środku rzeki. Wijące się jak wąż korzenie wyłaniały się z mgły niczym morskie stwory z mackami. Nawet Otisa to przestraszyło. Maggie starała się zapisać w pamięci charakterystyczne miejsca na obu brzegach, zniechęcając się za każdym razem, gdy Jack kierował Otisa na inny dopływ głównej rzeki.

Zdawało się, że są tam dziesiątki takich strumieni i dopływów. A wszystkie pełne zawijasów i zakrętów. Czasami strumień okrężał coś, co wydawało się ślepym zaułkiem z łąką białego jak cukier piasku albo czerwonej gliny. Wtedy Jack wskazywał Otisowi kolejny kanał, prawie niewidoczny pod zwisającymi gałęziami i wysokimi trzcinami.

Po obu stronach górowały nad nimi drzewa, polany w tym lesie pojawiały się bardzo rzadko. Gdziekolwiek na powierzchni wody unosiły się lilie wodne. Ptactwo ucichło, albo z powodu zbliżającej się burzy, albo zbliżającego się szaleńca. Szum wody poruszanej wiosłami w normalnych okolicznościach działałby kojąco. Teraz przypominał Maggie, że im dalej płyną, tym bardziej oddalają się od cywilizacji.

Otis zadawał pytania, mówił ciszej, jakby z szacunku do natury albo Jacka.

– Dlaczego woda jest taka przejrzysta, ale wygląda na brudną, jak słaba herbata?

– Woda jest czysta. Ten kolor ma od kory drzew. – Jack wskazał na brzeg, gdzie potężne drzewa rosły do połowy w wodzie, ich korzenie wystawały ponad powierzchnię jak sękaty palec. – Kolor zmienia się w zależności od głębokości wody. Płytka ma kolor herbaty. Nieco głębsza karmelu. Jeszcze głębsza prawie coli. A najgłębsza jest czarna.

Otis kiwał głową, jakby wreszcie zrozumiał.

– Aha, dlatego nazywa się czarną rzeką.

– Do Blackwater wpływa wiele strumyków i mniejszych rzek. Niektórymi z nich płyniemy. Juniper, Coldwater. Kiedy mój tata przywiózł mnie tu po raz pierwszy, od razu wiedziałem, że to najbardziej fascynujące i najpiękniejsze miejsce, jakie znam. Nie przeszkadzało mi nawet, jak zaczął mnie tu przywozić i zostawiać samego. Uważał, że w ten sposób czegoś mnie nauczy.

Otis kiwał głową. Siedział plecami do Maggie i Tully'ego. Jack siedział na dziobie, odwrócony bokiem, by móc zerkać na więźniów, ale także kierować Otisem.

– To tutaj zostawił cię na całą noc? – spytał łagodnie Otis, jakby mówił do dziecka.

– Trzy kilometry wcześniej. Przywiązał mnie do drzewa. Zostawił mnie na noc. W środku lata. Komary gryzły bezlitośnie. Była też burza z piorunami. Piękny pokaz błyskawic. Mówiłem ci, że Floryda słynie z błyskawic?

– Tutaj w ciągu roku jest więcej błyskawic niż gdziekolwiek indziej.

Maggie obserwowała obu mężczyzn. Wyglądało na to, jakby Otis już wiele razy słyszał tę historię, a jego pytania i kiwanie głową były po prostu częścią tej opowieści.

– Ale ty się nie bałeś – rzekł znów Otis.

Jack patrzył na mgłę i kontynuował:

– Tato powiedział mi, że dzięki temu stanę się prawdziwym mężczyzną. Jak mnie tutaj zostawi. Jak sam znajdę drogę do domu. Chyba miał rację, bo dwa dni później podciąłem mu



gardło. W jego własnej szopie porąbałem go na kawałki jego własnymi narzędziami.

Maggie widziała kiwającą się znów głowę Otisa. Siedział do niej tyłem pochylony, więc nie mogła zobaczyć jego twarzy. Twarz Jacka pozostała niezmieniona. Nawet nie mrugnął, wciąż patrzył przed siebie. Za to Maggie poczuła rosnącą panikę, która ścisnęła jej wnętrzności.

Tully się poruszył. Czy słyszał to wszystko? Siedział oparty o nią z zamkniętymi oczami. Był przytomny, ale oddychał z trudem. Od czasu do czasu, gdy łódź na coś wpadała, pojękiwał.

Na dnie łodzi Maggie znalazła rolkę papierowych ręczników, częściowo mokrą i brudną od wody. O dziwo, Jack pozwolił jej użyć ich do zatamowania krwawienia Tully'ego, choć nie zamierzała przyciskać do otwartej rany śmierdzącego stęchlizną papieru. Udawała, że wyciera rękę poplamioną krwią Tully'ego. Dręczyło ją, że nie może rozpiąć jego kurtki i sprawdzić, jak fatalna jest rana. Wiedziała, że gdyby główna tętnica została uszkodzona, krwi byłoby więcej. To dobra wiadomość. Zła wiadomość była taka, że im dłużej nie opatrzy się rany, tym bardziej będzie narażona na zainfekowanie.

Maggie potrzebowała też papierowych ręczników z innego powodu. Nasączała je krwią ze swojej ręki i wiatrówki Tully'ego. Wytarła z twarzy i włosów krew i tkankę mózgową Camposa. Jack nie zwracał na to uwagi, nie zauważył nawet, że ilekroć zabrudziła papierowy ręcznik, zwijała go w pięści, a potem wrzucała do wody. Miała tylko nadzieję, że jeśli zostawi za sobą taki krwawy ślad, Creed ich znajdzie.

## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

### *Quantico, Wirginia*

Pozostali już zebrali się w sali konferencyjnej, kiedy Gwen wpadła zadyszana. Od telefonu agenta Alonzo serce jej łomotało.

– Nie powinnaś być... – Julia Racine urwała, a potem dokończyła: – Gdzie indziej?

– Są jakieś wieści? – spytała Gwen, ignorując Racine.

Tylko Racine wiedziała o biopsji, i to wyłącznie dlatego, że w tamtej chwili Gwen nie miała komu tego powiedzieć. Całą godzinę jazdy do Quantico Gwen odchodziła od zmysłów. Ubrała się i wybiegła z oddziału, zanim któraś z pielęgniarek się zorientowała. Teraz, kiedy usiadła i przysunęła się z krzesłem do stołu, zauważyła, że ubrała się niestarczanie. Patrząc na wystające z rękawów zakietu mankiety bluzki, zobaczyła, że włożyła ją na lewą stronę. Przyciągnęła do siebie kłapy zakietu i przysunęła się jeszcze bliżej stołu.

– Nikt z nich się nie odezwał – rzekł Kunze. – To może znaczyć tylko tyle, że tam nie ma zasięgu.

Gwen starała się złapać kontakt wzrokowy z zastępcą dyrektora, ale on odwrócił głowę, a ona od razu zrozumiała, że nie wierzył ani jednemu własnemu słowu. On także się denerwował.

– Jakies dwie godziny temu Tully przysłał esemes z informacją, że wjechali do Parku Stanowego Blackwater – powiedział agent Alonzo.

– Park stanowy musi mieć jakieś biuro. Czy ktoś tam dzwonił? Mogliby kogoś wysłać, żeby się zorientował, co się dzieje.

– Jest tam biuro, ale o tej porze już nieczynne.

– A co z nagłymi przypadkami? – Czy tylko ona umiera ze strachu? Jak oni wszyscy mogą tak spokojnie siedzieć? Otis ją okłamał. Zna Jacka. Nadal jest z nim w kontakcie. Otis nie tylko ją okłamał, ale jeszcze użył podstęp. Wszystkich ich oszukał.

– Dzwoniłem do drogówki na Florydzie. Dwaj ich policjanci są z Maggie i Tullym – rzekł Alonzo, a kiedy zamilkł, Gwen doskonale wiedziała dlaczego.

– Drogówka z Florydy też nie może się skomunikować ze swoimi ludźmi – stwierdziła.

Nikt nie odpowiedział. Keith Ganza wlepił wzrok w stół. Kunze nadal nie patrzył na Gwen. Tylko Racine miała dość odwagi i spojrzała na nią ze złością połączoną ze smutkiem, czego akurat Gwen nie chciała widzieć.

Telefon Alonzaomal nie poderwał ich wszystkich na nogi. Alonzo sprawdził, kto dzwoni, i natychmiast odebrał.

– Witam, panie Creed. Mówi agent Alonzo. Odsłuchał pan moją wiadomość.

Wszyscy się nachylili, choć nie mogli słyszeć tego, co mówił Creed. Gwen obserwowała twarz Alonza, który rzucił niespokojne spojrzenie, a potem szeroko otworzył oczy i zacisnął zęby. Kunze stał nad nim, kiedy Alonzo chwycił notes i zaczął pisać to, co Ryder Creed zapewne mu dyktował. Zanim zakończył rozmowę, rzekł:

– Proszę mi dać pięć minut, zaraz wszystko zorganizuję i oddzwonię.

Odsunął się z krzesłem i podniósł wzrok na Kunzego.

– Obaj policjanci są martwi – oznajmił.

Gwen usłyszała gwałtownie wciągane powietrze i zdała sobie sprawę, że ona to zrobiła.

– Demarcus żyje, ale ma ranę postrzałową brzucha. Maggie, Tully i Otis zniknęli. Pan Creed podał mi listę rzeczy, których potrzebuje. Prosił, żebym zadzwonił do Straży Wybrzeża.

– Nie wie, co z Tullym i Maggie? – spytała Racine, kiedy Gwen nie mogła wydobyć

z siebie słowa.

Alonzo spuścił wzrok na podłogę. Gwen widziała, że bardzo liczył na to, iż nikt nie zada mu tego pytania.

– Według Creeda wygląda na to, że przynajmniej jedno z nich krwawi.

## ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY DRUGI

Kiedy burza wreszcie nadeszła, lało bezlitośnie i niepowstrzymanie. Deszcz walił w metalowy dach domku z bali. Przez deski podłogi i cienkie ściany Maggie czuła wibracje grzmotów. Cuchnęło tam wilgocią i pleśnią. Ale po podróży łodzią i patrzeniu na błyskawice oznaczające zbliżającą się burzę, drewniany domek wydawał jej się całkiem solidnym schronieniem.

Z burzą przyszła ciemność. Jack poinstruował Maggie i Tully'ego, żeby nie ruszali się ze starej zniszczonej kanapy w rogu, z dala od drzwi. Za oknami z pojedynczymi szybami niebo przecinały zygzaki błyskawic, a grzmoty wprawiały szkło w drżenie.

Jack zapalił lampę naftową i otworzył szufladę, z której wyjął dwie latarki. Otis przeszedł długość domku z rękami na biodrach, co i rusz oblizując wargi.

– Jest naprawdę fajnie – powiedział do Jacka. – Tak fajnie, jak mówiłeś.

– Nie ma prądu, ale go nie potrzebujemy. – Jack otworzył drzwiczki żelaznego pękatego piecyka i zaczął wkładać do niego drewno z leżącego obok stosu. – Za tamtymi drzwiami jest chemiczna toaleta – wskazał.

Otworzył drugie drzwi obok. W półmroku Maggie dojrzała łóżko. Pomimo zapachu pleśni miejsce wyglądało na zadbane, dobrze zaopatrzone i niedawno używane.

– Masz tu wszystko, co potrzeba – rzekł Jack.

– A woda, ręcznik i trochę alkoholu? – spytała Maggie.

Obaj mężczyźni na nią popatrzyli, jakby całkiem o niej zapomnieli.

Nie dbała o to. Nie miała nic do stracenia.

Serce waliło jej w rytm deszczu, jedno i drugie wypełniało uszy. Panika jak jakiś ogromny ciężar przygniatała pierś. Zużyła już cały zapas adrenaliny. Była wykończona, mokra od potu i przemarznięta. W pośpiechu zbyt mocno zapięła kajdanki i metal wbijał się w jej ciało, ilekroć Tully gwałtowniej ruszył ręką. Z jego ust wydobywały się jedynie pojękiwania obolałego człowieka. Miał gorączkę i również był zlany potem. Krwawienie się zmniejszyło, ale nie wiedziała, ile krwi stracił.

Jack bez słowa podszedł do jednej z szafek i ku zdumieniu Maggie wyjął mały ręcznik. Z drugiej szafki wyjął butelkę wody, a z dolnej półki brązową butelkę z czarną nakrętką, niewątpliwie whisky.

Wszystkie te trzy rzeczy przyniósł Maggie i postawił przed nią na podłodze.

– Widziałaś, do czego jestem zdolny – rzekł. – Jesteś pewna, że warto go myć?

Zignorowała go i chwyciła butelkę z wodą z nadzieją, że w przyćmionym świetle Jack nie zauważy, jak bardzo trzęsie jej się ręka.

– To mi się w tobie podoba – oznajmił. – Podejmujesz wyzwanie, nawet jeśli ktoś ci je narzuca. Jesteśmy podobni, Sroczo.

Chciała mu powiedzieć, żeby przestał ją tak nazywać, ale pewnie tylko by się ucieszył, że ją denerwuje.

– Więc o to chodzi – rzekła, nie patrząc mu w oczy.

Odwróciła się do Tully'ego i natychmiast poczuła się dziwnie, bo w zasadzie miała do dyspozycji tylko jedną rękę. Udała, że to nie problem i nadal odgrywała bohatera.

– Każesz mi przemierzać pół kraju – podjęła. – Tylko po to, żebym się dobrze przyjrzała twojemu dziełu. Potem ciagniesz mnie na jakieś odludzie, żeby tym razem mi udowodnić, jacy jesteśmy do siebie podobni? Mam to uznać za komplement?

– Wiesz, o co w tym wszystkim chodzi? Powiem ci. – Przykucnął przed nią, w bezpiecznej odległości, ale tak, by ich oczy znalazły się na tym samym poziomie. – Kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłem, wiedziałem, że będziesz największym wyzwaniem.

Dotąd nie zauważyła, jak bardzo jego oczy przypominają oczy wilka. Czarne, przeszywające i blisko osadzone na skądinąd przystojnej i przyjaznej twarzy.

– Jak tylko przestanie padać, wypuszczę cię. – Urwał, a ona wiedziała, że czeka na jakiś znak ulgi – fałszywej ulgi. – Dam tobie i twojemu koledze szansę ucieczki. Dam wam nawet fory. Tak jak Noahowi.

Poczuła, jakby ktoś wstrzyknął jej lód do żyły.

– Ale jeżeli was złapię, będziecie musieli zdecydować, kogo pierwszego mam zabić. – Uśmiechnął się i usiadł na piętach. – Masz jakąś wiedzę o psychologii. Chyba docenisz mój drobny wkład... – szukał właściwego słowa – w moje badania nad ludzką naturą. To całkiem interesujące, co człowiek jest w stanie zrobić albo powiedzieć, żebym najpierw zabił jego najlepszego przyjaciela. Słyszałem już wszelkie możliwe błagania i apele. Nawet propozycję łapówki.

Potem jego twarz znów spoważniała, przeszywając ją wzrokiem, powiedział:

– Co byś zrobiła, Maggie O'Dell, żebym cię oszczędził? Co byłąbyś skłonna poświęcić? Kogo byłąbyś skłonna poświęcić?

## ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY TRZECI

Creed słyszał, jak helikopter Straży Wybrzeża ląduje na polu po drugiej stronie wejścia do lasu. Dopiero po piętnastu minutach go znaleźli. Bolo już wtedy doprowadził Creeda na miejsca, gdzie Maggie i Tully weszli na pokład łodzi. Bolo znalazł nawet coś, co wyglądało jak zgnieciony papierowy ręcznik, cały w rdzawoczerwonych plamach, które najprawdopodobniej, jak Creed się obawiał, były plamami krwi.

Dwaj strażnicy zabrali już do szpitala naczelnika więzienia. Dwaj inni pozostali na miejscu. Mieli nadmuchiwaną łódź SE 370, która już czekała na rzece, ale właśnie wtedy zaczęła się ulewa. Niebo przecinały błyskawice, którym towarzyszyły grzmoty. Czekali w samochodach zaparkowanych gęsiego za dwoma chevroletami tahoe.

Minęła godzina, a burza tylko nabierała na sile. Nic nie wskazywało na to, że wkrótce się skończy. Creed siedział za kierownicą. Bolo, stojąc z tyłu, położył łeb na konsoli i szturchał rękę Creeda, aż ten wreszcie go poklepał.

Jeden ze strażników zastukał w okno Creeda.

– Musimy jechać. Jak przestanie lać, wrócimy.

– Rozumiem, dziękuję.

Patrzył na nich we wstecznym lusterku. Ich SUV na niewielkiej przestrzeni musiał się wycofać i skręcić. Ścieżką z czerwonej gliny płynęła woda deszczowa. Jeszcze trochę, a droga zrobi się nieprzejezdna. Ale Creed za nimi nie ruszył. Jak mógł stamtąd odjechać, wiedząc, że gdzieś tam są Maggie i Tully, a jedno z nich krwawi? Gryzł się tym, że to może być Maggie.

Musi być jakiś sposób, pomyślał, żeby ich znaleźć, ale w lesie noc zapada szybko. Wyładowania były coraz silniejsze, rozdzierały niebo, a pojawiające się zaraz po nich grzmoty brzmiały, jakby niebo rzeczywiście pękało w szwach i rozrywało się na kawałki.

Creed wypił już dwa termosy kawy. Oczy go bolały, jakby pod powiekami miał papier ścierny. Za krótko spał. Za mało zjadł, ale czuł kwas w żołądku. Nie mógł nawet spojrzeć na przygotowane przez Hannę kanapki. Próbował nakarmić Bola, ale pies był równie jak on przygnębiony.

Choć psy nie kojarzą zapachów ani widoków z emocjami, potrafią odczytać emocje swoich właścicieli i trenerów i łatwo wpadają w depresję, podenerwowanie albo przygnębienie. To był jeden z powodów, dla których Creed starał się panować nad emocjami, kiedy przebywał z psami, i ten zwyczaj wszedł mu w krew, obejmując nawet życie osobiste. Pewnie dlatego nie miał go.

Sygnal telefonu tak go przestraszył, aż przyspieszyło mu tętno. Oby dzwonił Tully! Potem rozpoznał numer i jego serce wróciło do normalnego rytmu.

– Znalazł pan coś? – spytał na powitanie.

– Sprawdziłem podatki od nieruchomości i sprzedaż ziemi federalnej, a także dzierżawy, jak pan sugerował. Nie ma niczego pod nazwiskiem Otisa P. Dodda ani członków jego rodziny – odparł agent Alonzo.

– Sprawdził pan hrabstwa Santa Rosa i Okaloosa?

– Tak.

Jasny szlag! Do lasu przylegał niewielki prywatny teren. Creed wiedział, że znajdują się tam stare domki rybackie na rzece, zniszczone przez huragany, ale nadal wykorzystywane. To był strzał w ciemno, a jednak liczył, że się uda.

– Rzeka Blackwater płynie do Alabamy – powiedział Creed. – Zaczyna się w Parku

Narodowym Conecuh, tuż przy granicy. Może pan sprawdzić hrabstwa Escambia i Covington w Alabamie?

– Zerknę na to – obiecał Alonzo. – Znalazłem jednak coś ciekawego, kiedy zagłębiłem się w historię rodziny Otisa. W wieku czternastu lat opuścił dom rodzinny. Trafił do domu dziecka organizacji Boys Town w Omaha, w stanie Nebraska, a potem został wysłany do rodziny zastępczej. Para z Iowa, która nie mogła mieć własnych dzieci, brała do siebie takich chłopców z problemami. Pluję sobie w brodę, że wcześniej nie pogrzebałem w dzieciństwie Otisa.

– O czym pan mówi?

– Otis spędził kilka lat na farmie Helen i Williama Paxtonów. Tej samej farmie, gdzie znaleźliście pięć ciał.

## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY CZWARTY

Drewnianym domkiem zatrzęsł grzmot, grając wszystkim na nerwach. Tylko Jack zachował spokój, nawet kiedy Otis zaczął krążyć. Na nim pogoda nie robiła żadnego wrażenia. Otis zamienił poplamiony krwią pomarańczowy więzienny kombinezon na ubranie, które dał mu Jack. Spodnie były z dziesięć centymetrów za krótkie, podobnie rękawy koszuli, ale jemu to nie przeszkadzało. Chłonał każde słowo Jacka i robił, co tamten mu kazał.

Jack przysunął do piecyka dwa krzesła z prostym oparciem. Usiadł na jednym z nich i poklepał to drugie.

– Przestań krążyć – rzekł do Otisa.

– Wiesz, że nie znoszę burzy – odparł olbrzym z krzywym uśmiechem, który teraz wyglądał, jakby Otis zaciskał zęby. Wreszcie usiadł, przygarbił się, stopy postawił tak, jakby zaraz znów miał wstać.

– Wiesz, co to jest sroka? – spytał Jack, a duży mężczyzna potrząsnął głową.

– To ptak. Barwny, nieprzewidywalny, pełen temperamentu i mądry, do swoich podstępów i oszustw używa rozumu. Ten ptak to padlinożerca. Mówią, że zjada mniejsze ptaki, a nawet gryzonie, choć nie jest sklasyfikowany jak ptak drapieżny.

– Dużo o nim wiesz – rzekł Otis z wymuszonym uśmiechem, jakby próbował zignorować jakiś smród, i rzucił wzrokiem na Maggie.

– Moja matka знаła mnóstwo bzdurnych przesądów. Pamiętam, jak mi opowiadała o srokach i związanych z nimi legendach. Jeśli ośmielisz się zabić srokę, spotka cię nieszczęście. Najlepiej traktować sroki z szacunkiem. Uważa się, że pod językiem noszą kroplę diabelskiej krwi. Matka powtarzała taką głupią rymowankę:

„Jedna sroka to smutek,  
Dwie to radość,  
Trzy to srebro,  
Cztery to złoto,  
Pięć to opowieść skrywana z ochotą,  
Sześć to ktoś, kto wyciśnie ci łzy,  
Siedem – będzie żył,  
Osiem – umrzesz ty”.

Maggie zmagala się z suwakiem wiatrówki Tully’ego. Podniosła wzrok i zobaczyła, że Otis znów na nią patrzy, ale nie wyglądał na zadowolonego czy rozbawionego. Nie podobało mu się, że Jack poświęca jej tyle uwagi. Dla nich dwóch było to niewątpliwie spotkanie po dłuższej przerwie. Jeśli pamięć jej nie myliła, Otis spędził prawie rok w więzieniu. Czyżby nie apróbował gry Jacka?

– Niewiele mówisz o matce.

– Umarła, kiedy byłem dość młody. Zostawiła mnie z tym draniem, którego miałem nazywać ojcem.

Otis pokręcił głową.

– Pamiętasz, pani Helen zawsze nam powtarzała, że jesteśmy lepsi, niż nam wcześniej mówiono. Pani Helen była bardzo dobra.

Obaj mężczyźni zamilkli. Siedzieli pochyleni z opuszczonymi głowami. Maggie uderzył ten niezwykle wyraz szacunku.

– Czasami wciąż nie wierzę, że zrobiła mnie wykonawcą swojego testamentu – rzekł



Jack, a Maggie zdała sobie sprawę, że rozmawiają o właścicielce farmy w Iowa.

– Zawsze mówiła, że z ciebie mądrała. Była dumna, że całkiem sam stworzyłeś taki interes.

Znów zaległa cisza.

– Wiesz, że prawie co tydzień pisała do mnie list, nieważne, gdzie byłem? – odezwał się Otis.

– Naprawdę?

– No. Pisała mi, co wy wszyscy robicie, jakie macie plany. Ona potrafiła mnie uspokoić, wiesz, o czym mówię? Żeby nie czuł w głowie tej kotłowaniny. Tak długo, jak długo wiedziałem, że ona mnie kocha... – Zdawało się, że się wzruszył. Otarł twarz ręką. – Za dużo nie wiem, ale wiem na pewno, że dopiero jak umarła, zacząłem podkładać ogień.

Jack się nie odzywał. Do tej pory to on mówił, dyrygował, wydawał polecenia, ale temat pani Helen jakoś go wyciszył. A Otis chyba wiedział, że może to wykorzystać.

– Mnie tylko moje skromne hobby pozwala nad sobą panować – rzekł Jack, podnosząc głowę i uśmiechając się. – To mocna rzecz. Nawet nie potrafię tego opisać.

– Lubię władzę. – Olbrzym znów kiwnął głową, tym razem podeksytowany. – Mówiłem pani Gwen, że nie lubię pożarów, tylko tę moc. – Zaśmiał się, zabrzmiało to jak nerwowy chichot.

– Pani Gwen?

– Tej kobiecie, która odwiedzała mnie w więzieniu. Jest przyjaciółką twojej Sroczi.

Jack krótko, gwałtownie skinął głową. Nic więcej nie chciał słyszeć.

– Podobało ci się, jak odcinałeś palec?

Otis wysunął język, żeby oblizać wargi.

– Demon był dupkiem, a jednak płakał. – Krzywy uśmiech przeciął jego twarz.

– Jak się rozcina ludzkie ciało, unosi się z niego taka jakby para – wyjaśnił Jack, przyjmując z powrotem rolę mentora. – Ale nie tylko cięcie daje ci poczucie władzy. Wiesz, że starożytni wojownicy zjadali części ciała swoich wrogów. Wiedziałaś to?

Otis pokręcił głową. Milczał.

– Pomyśl tylko, jaką moc dałaby ci Sroka.

Jack usiadł wygodnie z uśmiechem.

Z tego uśmiechu wycierało coś przerażającego, i choć w pokoju było ciepło, Maggie zatrzęsała się z zimna.

Miała świadomość, że mogą z Tullym nigdy nie wyjść z tego lasu żywi. Nie chciała jednak myśleć o tym, co ich jeszcze czeka. Może lepsza byłaby śmierć. Zastanawiała się też, czy nie należało zostawić Tully'ego.

Liczyła tylko na to, że Tully wysłał esemes do Rydera Creeda i napisał mu, gdzie się znajdują. Ale nadzieja dość szybko gasła. Zbyt wiele było przeszkód. Nawet jeśli Creed znalazł martwych policjantów, nawet jeśli pies doprowadził go nad brzeg rzeki, nawet jeśli potrafi iść śladem zakrwawionych papierowych ręczników, podczas burzy Creed i tak nic nie działo. Jack miałby im dać szansę ucieczki? W tym lesie za nic w świecie nie znalazłaby drogi powrotnej, i to z Tullym, który ledwie był w stanie się poruszać.

Nagle poczuła, że Tully pociągnął za swój suwak, pomógł jej, nie chciał, żeby się poddała. Uniósł głowę i brodą dotknął piersi. Bez słów. Kiedy odsunęła połą kurtki, cicho jęknął. Teraz mogła unieść jego koszulkę. Nareszcie przyjrzała się ranie, powściągając mdłości.

Widziała wiele ran postrzałowych, lecz zwykle na ciałach zmarłych, które już nie wymagały pomocy.

Z dziury wciąż wypływała ciemna krew, gęsta jak olej silnikowy. Tkanka wokół rany

była zaogniona. Choć w pierwszej chwili Maggie myślała, że Tully został postrzelony w serce, kula trafiła o wiele wyżej. Wyglądało na to, że przeszła przez ramię. Spojrzała na plecy Tully'ego i wymacała miejsce, gdzie kula wyszła na zewnątrz. Tully skrzywił się i zeszytniał.

Czy to dobrze, czy źle, że kula wyszła na zewnątrz?

Maggie zaczęła przemywać ranę wodą.

– Musisz mnie zostawić – rzekł Tully tak cicho, że ledwie go słyszała.

Obejrzała się i z zadowoleniem zobaczyła, że Otis i Jack są zajęci otwieraniem puszek i pudełek z jedzeniem. Byli głodni i nie interesowali się nimi. Zdawało się, że grzmoty nie ustają, waliło raz za razem. Skoro Maggie ledwie słyszała Tully'ego, to Otis i Jack tym bardziej. Mimo wszystko nachyliła się nad nim.

– Nigdzie się bez ciebie nie ruszę.

– Zostaw mnie – rzekł przez zaciśnięte zęby. – Niech mnie diabli, jeśli pozwolę mu zabić nas oboje.

– To bez znaczenia, bo jak cię zostawię, Gwen mnie zabije.

Na jego twarzy ujrzała cień uśmiechu.

Pokazała mu butelkę whisky. Potem przeciągnęła paznokciem kciuka po folii zabezpieczającej i znów nachyliła się nad Tullym.

– Będzie bolało jak diabli.

Zaskoczył ją, wyciągając rękę po butelkę. Maggie dała mu whisky, a on pociągnął spory łyk. Potem oddał Maggie butelkę, mówiąc:

– Do roboty.

Maggie zmoczyła ręcznik alkoholem, ale potem coś sobie przypomniała i szepnęła:

– Masz jeszcze w kieszeni pigułki?

Tully lekko skinął głową.

Antybiotyk na zapalenie zatok mógł nie być dość silny, by zwalczyć tę infekcję, ale Maggie uznała, że warto spróbować, nawet jeśli każe Tully'emu zażyć wszystko, co mu zostało.

Wolną ręką Tully sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął foliową szczelnie zamykaną torebkę. A razem z nią pióro. Obie te rzeczy podał Maggie. Po kilku sekundach zdała sobie sprawę, że to jest pióro, które Tully dostał od Gwen. Pióro Jamesa Bonda.

Poczuła dziwną pustkę. Pióro było świetne, ale nożyki X-Acto, promień światła i śrubokręt nie na wiele im się przydadzą. Podobnie jak sprytny GPS, skoro nie mogą nikomu przekazać współrzędnych. Kiedy Maggie spojrzała na Tully'ego i na jego twarzy zobaczyła cień rozpacz, zrozumiała, że on też to wiedział.

## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

– Otis nie mógł tego zrobić sam – upierała się Gwen. – Nie bronię go, pytam tylko, jak to możliwe?

– Mógł zdobyć rewolwer jednego z policjantów – rzekł Kunze, krążąc po sali konferencyjnej.

– Ale do tej pory nikogo nie skrzywdził. Bardzo się starał, ilekroć podkładał gdzieś ogień, żeby żaden człowiek nie ucierpiał.

– Jego kartoteki z młodości są zabezpieczone – powiedział Alonzo, nie podnosząc wzroku znad laptopa. Bez przerwy stukał w klawisze. – Nie posłano go do domu Boys Town bez powodu. Po prostu nie mogę tego sprawdzić.

– Z pewnością to nie on zabił wytatuowanego motocyklistę ze stodoły – rzekła Racine. – Ani tę kobietę znaną w czarnym worku na śmieci. Nie mógł też zamordować Glorii Dobson ani Zacha Lestera. Siedział za kratkami.

– To musi być sprawka jego przyjaciela Jacka – przyznał Keith Ganza. – Jack tam był. Zaplanował tę zasadzkę.

– Ale kim, do diabła, jest Jack?! – krzyknął Kunze i wszyscy zamilkli. Nawet Alonzo przestał stukać po klawiaturze.

Wreszcie Gwen przerwała pełną napięcia ciszę.

– Agencie Alonzo, powiedział pan, że ta para opiekowała się też innymi chłopcami z problemami wychowawczymi.

– Zgadza się. Chłopcami i paroma dziewczynkami. W ciągu trzydziestu lat przez ich dom przewinęły się dziesiątki dzieci.

– Można by zdobyć ich nazwiska? Czy są tajne?

Alonzo pojął, co Gwen ma na myśli.

– Dowiem się – rzekł i wrócił do komputera.

Kunze zatrzymał się, stanął przy końcu stołu ze wzrokiem wlepionym w Gwen.

– Przepraszam, doktor Patterson. – Wyglądał na szczerze skruszony. – Nie powinienem był wyrazić zgody na pani udział w tym zespole, kiedy są z tym związane dwie bliskie pani osoby.

– Nie musi mnie pan przepraszać. Miałam wybór. Poza tym, o ile sobie przypominam, pan nie miał wyboru. Senator Delanor-Ramos przyparł pana do muru.

– Przekłęci politycy – rzucił Kunze pod nosem i znów zaczął krążyć.

– Chyba coś mam – wtrącił Alonzo.

Cała reszta wstała z krzeseł i zebrała się za plecami agenta.

– Dwa dni temu, kiedy uzyskałem dostęp do pomiarów geodezyjnych tej farmy w Iowa, żeby zobaczyć jej granice, znalazłem też listę nazwisk osób, z którymi należy się w jej sprawie kontaktować. Był tam między innymi wykonawca testamentu John Howard Elliott.

– A co z nim?

– Jest też na liście nastolatków, których przyjęli do siebie Helen i William Paxtonowie. Wygląda na to, że John Howard i Otis przebywali na farmie w tym samym czasie.

– Jasna cholera – rzekł Ganza.

– To jest to. – Gwen była pewna, że trafili właściwie. – John Howard jest naszym Jackiem.

– Alonzo, wróć do tych posiadłości na Florydzie na tej pieprzonej rzece – powiedział do

niego Kunze, sięgając po marynarkę, która wisiała na oparciu krzesła. – Daj mi znać, co znajdziesz.

– Dokąd pan się wybiera? – spytała Racine.

– Wysłałem dwoje agentów do tej zasranej dziury. Jadę ich stamtąd wyciągnąć, nawet gdybym musiał to zrobić własnymi rękami.

**NIEDZIELA 24 MARCA**

## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

### *Park Stanowy Blackwater*

Tully zasnął z głową na ramieniu Maggie, która przytuliła do niego policzek. Włosy Tully'ego były mokre od potu, czoło rozpalone, ale spał spokojnie. Nie jęczał ani nie rzucał się w gorączce. Może pomogła mu whisky, może antybiotyk. Tak czy owak, Maggie cieszyła się, że nareszcie mógł odpocząć. Przynajmniej na razie.

Ona z kolei bała się zamknąć oczy, żeby nie zasnąć, ale coraz trudniej było jej zapanować nad opadającymi powiekami. Trzaskający w piecyku ogień wypełnił drewniany domek ciepłem. Burza powoli odchodziła, jeszcze gdzieś w oddali dało się dostrzec błyskawice i usłyszeć stłumione dudnienie grzmotów.

Maggie burczało w brzuchu. Przypomniała sobie, jak Tully z niej żartował, że pożałuje, iż nie spróbowała najlepszych gofrów na świecie. Zamówił w Waffle House zestaw specjalny: jajecznice, kielbaski, płatki, gofr wielkości talerza i kawę. Na samą myśl ślinka napłynęła jej do ust. Maggie wzięła tylko pszenną grzankę i sok pomarańczowy. Nawet kelnerka uprzedziła, że Maggie pożałuje swojego wyboru.

– Och, kochanie, to prawie nic.

A jednak świadomość, że myśli o jedzeniu, kazała jej się uśmiechnąć. Zaraziła się tym od partnera, pracując z nim przez ostatnie tygodnie. Tully jadł ze stresu, z nudów i z nerwów.

Nie zużyła całej butelki wody do umycia rany, więc wypila to, co zostało. Kilka sekund później znów zaburczało jej w brzuchu.

– Powinnaś była zjeść śniadanie – mruknął Tully, nie ruszając głowy.

– Nie spodziewam się, żebyś miał w kieszeni drożdżówkę?

– Myślałem, że musiałabyś umierać z głodu, żeby po nią sięgnąć.

– Racja.

Bardziej poczuła, niż usłyszała jego „hm”.

– Słyszysz to? – Jack odezwał się nagle z drugiej strony pokoju.

Maggie pomyślała, że mówił o ich rozmowie, ale on przeszedł przez pokój z przekrzywioną głową i wyciągniętymi rękami, rozkładając palce jak kaznodzieja szykujący się do ogłoszenia cudu.

Otis przetarł oczy i potarł brodę. Ten potężny mężczyzna zasnął i wyglądał na równie skonfundowanego podnieceniem Jacka, jak Maggie i Tully.

– Nie słyszałeś?

Jack otworzył piecyk, zgasił ogień, zalał go wodą, aż została tylko smużka dymu.

Potem przenosił wzrok z Tully'ego i Maggie na Otisa, zdziwiony, że nikt nawet nie drgnął. Wrócił spojrzeniem do Maggie i powiedział:

– Burza minęła. Długo na to czekałem, Sroczo. Nie zawieź mnie.

## ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY SIÓDMY

Widząc, że chmury burzowe przesuwają się na wschód, Creed próbował włączyć wsteczny. Na tle czarnego wciąż grzmiącego nieba pokazywały się jeszcze żyły błyskawic, ale huk powoli tracił na sile. Pod czarną masą Creed dostrzegał już pierwsze światło świtu.

Kiedy zapinał Bolowi szelki, zadzwonił Alonzo.

– Znalazłem to – rzucił młody agent, nim Creed coś powiedział.

– Otis ma domek letniskowy?

– Nie Otis. – Alonzo wyjaśnił, czego dowiedział się na temat Johna Howarda Elliotta i związku między dwoma mężczyznami. – Nasz człowiek to John Howard Junior. Elliott senior jest właścicielem kawałka ziemi nad Blackwater. Po drugiej stronie lasu. Ta ziemia od lat należy do rodziny. Ale w księgach podatkowych nie ma mowy o domku.

– Nie musi być – rzekł Creed, a jego tętno przyspieszyło. – Niektóre to zwykłe drewniane budy. Bez prądu, bez wody. Nie zaliczają się do budynków mieszkalnych. Może mi pan podać współrzędne GPS?

Alonzo przekazał mu niezbędne informacje. Creed poprosił agenta, żeby zadzwonił do Straży Wybrzeża i powtórzył im wszystko, co konieczne, by mogli uruchomić helikopter.

– Jak dotrę nad rzekę, mogę mieć problem z zasięgiem – oznajmił Creed. – Nie wiem, czy się z panem skomunikuję.

– Chwileczkę. Czemu nie poczeka pan na Straż Wybrzeża? Powinni zlokalizować ten domek. Już prawie dzień, prawda?

Creed skrzywił się, ale też uśmiechnął.

– Agencje Alonzo, patrzył pan kiedyś na las z góry?

Cisza.

– Proszę im powiedzieć, że mój pies ma na sobie jaskrawożółtą kamizelkę. Nie chcę, żeby mnie wzięli za jednego z przestępców.

– Jasne.

Potem, zanim zakończyli rozmowę, usłyszał jeszcze:

– Powodzenia, panie Creed.

## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY ÓSMY

Jack dał im fory, tak jak obiecał.

W żaden sposób nie zdołaliby biec.

Maggie podtrzymywała Tully'ego, potykali się i powłóczyli nogami. Zarcuciła sobie na ramię jego rękę, żeby się na niej opierał. Ale kajdanki trzymały jej lewą rękę na uwięzi, co jeszcze bardziej ograniczało ich ruchy.

Maggie chciała, by jak najszybciej oddalili się od drewnianego domku, żeby nie dało się stamtąd ich dostrzec. To nie było takie trudne – w lesie panował półmrok, chociaż niebo zaczęło się rozjaśniać. Nad rzeką wciąż wisiała mgła, dość gęsta, by tylko domyślać się, gdzie człowiek się znajduje.

Adrenalina już przyszyła Maggie na pomoc, uruchamiając jej zmęczony umysł. Pośpiech zduził panikę, kazał działać na najwyższych obrotach, bo mieli jedną alternatywę – uciec albo walczyć o życie. Na razie musieli uciekać. Przynajmniej dopóki nie doprowadzi Tully'ego gdzieś, gdzie będzie choć w miarę bezpieczny.

Zatrzymała się przy pniu wielkiego dębu i delikatnie pociągnęła Tully'ego, żeby usiadł.

– Co robimy? – szepnął.

Choć nie mógł zmusić ciała do działania, patrzył skupiony w pełni przytomnym wzrokiem.

Maggie zdjęła z szyi jego rękę. Potem nie rozwiązując sznurówki, zdjęła prawy but. Musiała zrolować skarpetkę, prawie zsunąć ją ze stopy, by sięgnąć przedmiotu, który wcześniej ukryła. Kiedy przeszukiwała etui przy pasie Camposa i wzięła od niego kajdanki, zabrała też do nich kluczyk.

Tully wreszcie zobaczył, co Maggie trzyma w dłoni. Z niedowierzaniem potrząsnął głową, a potem się uśmiechnął.

Zazgrzytał metal i po kilku sekundach uwolnili się od siebie. Maggie zignorowała obrzęk i zaschniętą krew na nadgarstku. Spuściła rękaw bluzki i szybko włożyła but.

– Okej, jaki mamy plan? – podjął Tully szeptem i po raz pierwszy brzmiał jak stary dobry Tully.

Prawą ręką, nareszcie wolną, dotknął ramienia, żeby sprawdzić ranę. Skrzywił się i znieruchomiał. Jego ręka zawisła nad raną.

– Kula przeszła na wylot? – spytał.

– Na to wygląda.

– Okej, dam radę.

Maggie widziała, jaki był słaby i jak kręciło mu się w głowie, kiedy stanął z jej pomocą. Miała świadomość, że z Tullym daleko nie zajdzie.

– Musimy ci znaleźć jakieś bezpieczne miejsce.

Tully nie odpowiedział, tylko na nią patrzył. Spodziewała się sprzeciwu. Nie spodziewała się takiego spokojnego, zranionego spojrzenia. Potem zrozumiała. Tully pomyślał, że postanowiła skorzystać z jego wcześniejszej propozycji, pomyślał, że go zostawi.

– Nie wyjdę z tego lasu bez ciebie.

– Jasne, wiem.

– Mówię poważnie, Tully.

Wyjrzała zza grubego pnia. Jack obiecał, że dadzą im z Otisem pół godziny.

Doświadczenie ją nauczyło, że mordercy zwykle nie dotrzymują słowa. Sądziła, że ma najwyżej



piętnaście do dwudziestu minut.

– Chodźmy – wstała i wyciągnęła do Tully’ego lewą rękę, by pomóc mu się podnieść.

Próbował samodzielnie wstać. Przeklął pod nosem, potem chwycił rękę Maggie i pozwolił jej się podciągnąć. Oparł otwartą dłoń o pień, żeby utrzymać równowagę, i przygryzł dolną wargę.

Maggie znalazła miejsce, gdzie mogli przekroczyć rzekę. Zabrało im to za dużo czasu. Ze zdziwieniem odkryła, że po ulewie płytka wcześniej rzeka sięgała teraz do pasa. Powietrze było ciepłe, więc zanurzając się w lodowatej wodzie, przeżyła szok. Tully się nie skarżył. Kazała mu iść tuż za sobą, z rękami na jej ramionach. Dreptali jak kaczki, potwornie powoli.

Wypatrywała, gdzie mogliby wyjść na brzeg. Po tej stronie las należał do państwa, był dziki i zapuszczony. Musieli brnąć przez lilie wodne i trzciny. Wreszcie dojrzała powalone drzewo, częściowo leżące w wodzie. Szli wzdłuż drzewa, trzymając się go, żeby się nie przewrócić. Maggie wspięła się na śliski gliniasty brzeg, a potem się odwróciła i pomogła wejść Tully’emu.

Niedaleko rzeki pod kolejnym powalonym drzewem znaleźli idealną kryjówkę. Drzewo zostało wyrwane z korzeniami, które wijąc się i przeplatając, tworzyły rodzaj gniazda. Ukryty tam Tully mógł widzieć, co dzieje się na zewnątrz. Pobrudzili jego firmową niebieską wiatrówkę błotem, żeby trudno go było zobaczyć.

Maggie podała mu pojemnik z gazem, który zabrała Camposowi i wsadziła za mankiet drugiej skarpetki.

Kiedy się odwróciła, Tully chwycił ją za rękę. Czekał, aż Maggie popatrzy mu w oczy.

– Wiem, że wrócisz, prawda?

– To jedyny sposób – powiedziała. – Jeśli nie możesz prześcignąć mordercy, musisz go przechytrzyć.

Tully nie wyglądał na zadowolonego, ale Maggie wiedziała, że nie będzie próbował jej zatrzymać. Sięgnął do swojej wiatrówki i wyjął pióro, które dostał od Gwen. Tylko tyle mógł jej ofiarować.

– Wyjmij nożyk i poderżnij draniowi gardło.

## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Creed wsadził Bola na dziób dwuosobowej nadmuchiwanej łodzi. Pies wciąż głośno wciągał powietrze w nozdrza, wciąż węszył. Creed pozwolił psu sobie pomóc, choć świetnie wiedział, dokąd płynie. Wiosłując, obserwował ekran GPS i kierował się jego wskazówkami, płynął wąskimi strumieniami, omijając unoszące się na wodzie śmieci – efekt ulewy i wiatru.

Był już wcześniej na Blackwater i znał większość jej mniejszych i większych dopływów. Rzeka miała prawie 50 kilometrów długości i była jedną z najlepszych w tej okolicy rzek do spływów kajakowych. Mgła stopniowo się podnosiła, noc przechodziła w świt. Gdy słońce wstawało za sosnami, przez drzewa przedzierały się pierwsze promienie dziennego światła. Ze wschodem słońca powróciła nadzieja i wiara, że wszystko jest możliwe.

Wcześniej Creed wyciszył dzwonek w komórce i ustawił alarm wibracyjny, ale już dawno stracił zasięg, więc ostatecznie wyłączył telefon, żeby oszczędzić baterię.

– Już niedaleko, Bolo – powiedział do psa, który w odpowiedzi pomachał ogonem, poza tym jego ciało było nieruchome.

Jeszcze parę zakrętów i znajdą się na terenie należącym do Johna Howarda Elliotta. Creed miał tylko nadzieję, że nie jest za późno.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Maggie zdawało się, że w oddali słyszy warkot helikoptera. Czy to tylko wyobraźnia płała jej figle? Jakaś jej część chciała zostać z Tullym i ukryć się, dopóki ktoś nie przyjdzie im na ratunek. Szum helikoptera kazał się zawahać i raz jeszcze przemyśleć decyzję. Potem dźwięk przycichł, a wreszcie znikł, zastąpiony przez walenie serca.

Jack spodziewał się, że Maggie i Tully będą brnąć z trudem, potykać się o siebie nawzajem. Spodziewał się, że będą przerażeni, sfrustrowani, a wreszcie wpadną w złość. Chciał, by zostali wrogami. Wówczas, kiedy ich złapie, będą już tak bardzo mieć siebie dosyć, że każde z nich będzie go błagać, by najpierw zabił tego drugiego.

Jack liczył też na to, że będą uciekać tak szybko i tak daleko, jak to tylko możliwe. Że wykorzystają wyznaczony im czas na szukanie pomocy.

Nie oczekiwał, że Maggie wróci.

Kiedy zostawiła Tully'ego w bezpiecznej kryjówce, zawróciła do drewnianego domu. Teraz, kiedy była sama, dotarła tam migiem. Niebo się rozjaśniało, mgła się rozproszyła. Maggie musiała zachowywać większą ostrożność, by nikt jej nie zauważył. Przebrnęła na drugi brzeg rzeki, pamiętając jeszcze wszystkie znajdujące się po drodze przeszkody i zręcznie je omijając. Pot lał się z niej strumieniami, lodowata woda ożywiła zmysły.

Uderzyło ją, że z rzeki domek był niewidoczny. Otaczały go drzewa. Wysokie sosny tłoczyły się na przemian z niskimi, sięgającymi ledwie do ramienia. Pomiedzy nimi rosły drzewa liściaste, krzewy, jałowce, wysokie trawy i winorośl, a wszystko tak gęsto, że przejście między nimi groziło otarciem skóry lub podarciem ubrania.

Maggie przemknęła do dużego dębu, gdzie wcześniej zatrzymali się z Tullym. Od dziecka nie wspinała się na drzewo, mimo to po paru minutach znalazła się dość wysoko, by mieć świetny widok z góry na drzwi drewnianego domu. Widziała też rzekę aż do pierwszego zakrętu.

Wiedziała, że Otis i Jack zabrali obu policjantom rewolwery, wzięli także glocka Tully'ego i jej smith and wesson. Jack miał też swoją broń, chyba również glocka. Oczywiście nie wezmą ze sobą wszystkich. Jack nie lubił używać broni palnej. Wolał ostre narzędzia.

Maggie postanowiła zaczekać, aż wyjdą z domu. Potem jeszcze chwilę się wstrzyma. Jak długo? Nie miała pojęcia. Liczyła na to, że instynkt jej podpowie.

Według jej zegarka od kiedy z Tullym wyszli z domku, minęło dziewiętnaście minut. Jack obiecał im pół godziny. W dwudziestej pierwszej minucie zobaczyła otwierające się drzwi. Znieruchomiała, przycisnęła plecy do pnia. Nawet nie drgnęła. Lekki wiatr poruszał liśćmi i mniejszymi gałązkami. Całą drogę, gdy pomagała Tully'emu przeprowić się przez rzekę i dotrzeć do kryjówki, serce waliło jej o żebra. Teraz stwierdziła, że jest nadzwyczaj spokojna, jej oddech był wyrównany, a umysł jasny.

Jack wskazywał na coś na ziemi. Ślady stóp.

Czy zdołają odkryć, że Maggie zawróciła? Czy wyglądało to po prostu jak ślady dwojga oszalałych ze strachu ludzi, którzy biegają tam i z powrotem?

Mężczyźni się rozdzielili. Jack ruszył brzegiem rzeki, Otis zniknął w lesie za domkiem.

Maggie znów spojrzała na zegarek. Da sobie dziesięć minut. Dłużej byłoby niebezpiecznie, dziesięć minut powinno jej wystarczyć.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Jedenaście minut.

Nigdzie nie mogła znaleźć broni. Gdzie Jack ją podział?

Maggie czołgała się po podłodze, zgięta wpół przemykała pod oknami. Przeszukała już wszystkie szafki i schowki. Zaglądała pod meble, między materace i sprężyny tapicerskie. Pod poduszki na kanapie, a nawet za chemiczną toaletę. Żadna z desek podłogi ani tych w ścianach się nie ruszała. Sprawdziła dwie szuflady z ubraniami i poskładane ręczniki. Odsunęła drewno i skrzynkę na podpałkę, wsadziła rękę do przenośnej lodówki pod karton mleka i opakowania mielonej wołowiny.

Żadnej broni.

Dwanaście minut.

Maggie kucnęła pod oknem wychodzącym na rzekę i wyjrzała. Nie zdoła ich zobaczyć w porę, by uciec.

Próbowała sobie przypomnieć chwilę, kiedy dotarli do domku. Strasznie lało. Żaden z mężczyzn nie wychodził. Otis przyniósł z łodzi worek marynarski. Szary, płócienny worek. Jeszcze się na niego nie natknęła. Musi ponownie przejrzeć zawartość szafek.

Nagle coś usłyszała. Zamarła i wstrzymała oddech. Brzmiało to jak szczekanie psa.

Creed, to musi być Creed.

Ogarnęła ją wielka ulga, ale zaraz potem coś sobie uświadomiła. Grace nigdy nie szczekała. Jeśli Creed znalazł ciała na polanie i siedł tu za nimi, nie pozwoliłby psu szczekać, żeby go nie wydał.

Serce Maggie zaczęło walić jak szalone.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

Maggie oddychała nerwowo. Wydawało się, że lada moment straci spokój i determinację. Wybiegła z domku, po czym nagle się zatrzymała.

Może to jakaś sztuczka? Jack twierdził, że zna ją na wylot. Czy wie, że Maggie lubi psy? Że zareaguje, słysząc zdenerwowanego psa?

Kiedy znalazła się na zewnątrz, znów usłyszała szczekanie. Zdawało się, że dźwięk dochodzi z tej strony, w którą wyruszył Jack. Pies szczekał jak oszalały.

Zamiast iść wzdłuż brzegu, Maggie została w lesie. Przeskakując od drzewa do drzewa, bacznie się rozglądała. Wysokie do kolan krzewy dźgały ją i drapały. Nie dało się iść lasem w całkowitej ciszy. Trzaskały gałązki. Bliżej brzegu do butów przyklejała się glina. Ptaki trzepotały skrzydłami, podrywając się z zarośli. Wartki nurt głośno pokonywał tarasujące bieg rzeki kłody.

Nagle Maggie coś przyszło do głowy. Przystanąła w pół kroku.

Czy Jack ma psa, który pomoże mu ją i Tully'ego wytropić? Czy pies już znalazł Tully'ego?

Nie, szczekanie dobiegało z przeciwnej strony.

Znów ruszyła naprzód, tym razem szła ostrożnie, wypatrując jakiegoś ruchu, zdenerwowana, bo nic nie widziała. Teren wznosił się, musiała się wspinać. Starła się zachować równe tempo, od czasu do czasu oglądała się przez ramię. Promienie słońca tworzyły cienie, a chwilami oślepiały.

Kiedy zdawało się, że jest bliżej szczekającego psa, Maggie zwolniła. Wiedziała, że tuż za kolejnym wzniesieniem zobaczy, co się tam dzieje. Oparła się plecami o pień drzewa, potem kucnęła. Niecierpliwość walczyła w niej z ostrożnością. Drzewa ciągnęły się aż do brzegu rzeki. Trzymając się blisko ziemi, skryła się za krzewami i połamanymi gałęziami. Teraz słyszała już ostre szczekanie i warczenie psa jakiegoś trzydzieści metrów dalej. Słyszała również wartki nurt. Podniosła się nieco, by zerknąć.

Poniżej na mieliźnie dojrzała dmuchaną niebiesko-białą łódź. Na piasku walczyli ze sobą dwaj mężczyźni. Duży pies szczekał i warczał, stojąc na łodzi. Miał na sobie jaskrawożółtą kamizelkę i szelki. Wtedy Maggie zdała sobie sprawę, że jeden z mężczyzn to Creed. Drugim był Jack. Promień słońca odbił się w ostrzu noża, który Jack ścisnął w ręce.

Maggie poderwała się na nogi i próbowała się szybko zorientować, jak może zejść na brzeg. Żeby dotrzeć do mężczyzn, musiała przejść przez rzekę. Splątane gałęzie, pniaki i korzenie grubości co najmniej metra, powstrzymały ją przed zbiegnięciem na dół. Gdy znów podniosła wzrok, pies na łodzi przestał szczekać i teraz skakał wokół mężczyzn, ale oni turlali się po ziemi tak mocno ze sobą spleceni, że pies nie mógł ugryźć mężczyzny, który zaatakował jego pana.

Maggie zaczęła krzyczeć. To jej chciał Jack, nie Creeda.

Szum wody wypełnił jej uszy i zagłuszył jej głos.

Gałęzie znajdowały się przy brzegu po stronie Maggie. Jeśli pospieszy do wody, na pewno się w nie zaplącze. Siedząc na śliskim gliniastym brzegu, spuściła w dół nogi. Spróbowała stanąć na grubszych gałęziach.

W chwili, gdy już miała odepchnąć się od brzegu, zobaczyła Otisa. Wyłonił się zza drzew za Jackiem i Creedem.

Pies zaskowyczał. Kiedy podskoczył, Maggie dojrzała fontannę krwi.

– Niech to szlag, Jack, przestań! – krzyknęła, odpychając się i wchodząc na gałęzie.

Drewno natychmiast pękło z trzaskiem, lewa noga Maggie wpadła w plątaninę korzeni, gałązek i winorośli. Coś ją skaleczyło w łydkę, czuła warki biegu rzeki. Wyciągnęła nogę i ponowiła próbę. Zamiast iść po gałęziach, czołgała się po nich. Znow trzasnęła gałąź, a Maggie o mały włos nie wpadła do wody.

Mężczyźni nie przerwali walki. Teraz znow dołączył do nich pies. Plamy krwi na białym jak cukier piasku powiększały się.

Maggie odepchnęła się i szarpnęła, usiłowała się wydostać z pułapki gałęzi i winorośli. Kopnęła nogą w wodzie. Zdawało jej się, że ponad waleniem własnego serca i głośnym szumem rzeki znow usłyszała warkot helikoptera.

Już prawie uwolniła się ze splątanych gałęzi, kiedy zobaczyła, że Otis zeskoczył z brzegu i ruszył w stronę łachy piachu. Nie zawołał do Jacka. Zdawało się, że nie zauważył Maggie, nawet nie patrzył w jej stronę. Dążył w kierunku mężczyzn stanowczo, choć bez pośpiechu. Miał w sobie dziwny spokój.

Znalazł się już niemal o krok od splecionych w morderczym uścisku mężczyzn i psa. Tak blisko, że mógł bez trudu rozdzielić walczących swoimi wielkimi dłońmi. On tymczasem tylko nad nimi stał.

Potem uniósł rękę z rewolwerem i strzelił.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

Huk wystrzału odbił się echem pośród drzew. Wszystko ucichło. Wszystko się zatrzymało.

Ptaki zamilkły. Wiatr ustał, szum wody ucichł. Maggie słyszała tylko walenie własnego serca i swój ciężki oddech.

– Otis, przestań! – zawołała.

Jeden strzał. Tylko jeden. Na co on czeka?

Tylko jeden, bo Otis nie musiał więcej strzelać. Trafił do celu. Maggie patrzyła struchlała.

Wydostała się z płataniny gałęzi i wreszcie wolna pokuśtykała przez sięgającą kolan wodę. Wciągało ją piaszczyste dno. Zimna woda paraliżowała ciało. Miała wrażenie, że do pokonania jakichś dwunastu metrów szerokości rzeki potrzebuje całego życia. Nie zdejmowała wzroku z łachy piachu. Otis stał znieruchomiały nad równie znieruchomiałymi splątanymi w uścisku mężczyznami. Tylko pies się wycofał, czekał pełen napięcia i oczekiwania, bez poleceń swojego pana nie wiedział, co robić.

Otis opuścił rękę z bronią, patrząc w kierunku Maggie. Wciąż nie była pewna, czy ją widział, choć brnęła teraz przez wodę. Adrenalina i strach jeszcze bardziej przyspieszyły jej tętno. Potem Otis powoli opadł na kolana, wypuszczając rewolwer na piasek.

– To nie jest dobre – mruczał. – Po prostu nie jest dobre.

Maggie dotarła do łachy, kiedy jeden z mężczyzn się poruszył. Piasek pod nimi był czerwony od krwi. Maggie szła przed siebie. Usłyszała jęk. Pies pognął do mężczyzn, obwąchiwał ich i szturchał nosem. Wówczas Maggie dojrzała, że to Creed usiłuje wydostać się spod ciała Jacka. Pies trzymał w zębach koszulę zabitego i pomagał panu pozbyć się balastu.

Gdzieś w oddali Maggie słyszała helikopter.

Jednak zbyt szybko poczuła ulgę. Chciała pomóc Creedowi, ale był jeszcze Otis. Nie ruszył się z miejsca, teraz siedział na piasku, na piętach, wyglądał na wyczerpanego. Rewolwer wciąż leżał obok.

– Chcę tylko wrócić do domu – rzekł Otis, patrząc w stronę mężczyzn.

Creed przewrócił się na bok, ostatecznie spychając z siebie ciało Jacka.

– Bolo, zostań.

Pies natychmiast wypuścił z zębów koszulę Jacka. Usiadł naprzeciw swojego pana i niecierpliwie czekał na kolejne polecenie. Creedowi udało się usiąść na piasku i prawą dłonią postukał się w lewą pierś. Bolo skoczył do pana, machając ogonem. Creed zaczął obmacywać zwierzaka, sprawdzał, w którym miejscu został ranny.

Maggie obeszła ciało Jacka. Zobaczyła, że dostał w tył głowy. Poruszała się powoli, żeby nie zaniepokoić Otisa. Kiedy szła w jego stronę, okrążyła Creeda. Była dość blisko, by go dotknąć, delikatnie przesunęła po jego plecach opuszkami palców. Podniósł wzrok, ich spojrzenia się spotkały. Oczy Creeda miały tak intensywny odcień błękitu, że nie wyobrażała ich sobie martwych. Wskazała na Otisa, posyłając Creedowi ostrzegawcze spojrzenie. Wolno przesuwała się w stronę siedzącego olbrzyma.

– Ja tylko chcę wrócić do domu – mówił Otis z krzywym uśmiechem. – Trzy posiłki dziennie, telewizja...

Maggie stanęła z boku, rzucając na niego cień. Olbrzym podniósł na nią wzrok.

– Wie pani, u pani Helen było bardzo dobrze. – Wysunął język, żeby oblizać wargi, i zmrużył oczy. Przekrzywił głowę, jakby o czymś myślał. – Tam byłem spokojny. Ona była

dobra dla mnie i dla Jacka. Była dla mnie bardzo dobra. Tak jak pani Gwen.

– Pani Helen musiała być bardzo wyjątkową osobą – powiedziała Maggie.

Uniósł kącik ust w uśmiechu, właściwie skrzywił się, jakby spróbował czegoś niesmacznego.

– Jej by się nie podobało, co robi Jack.

Była pewna, że Otis zapomniał o rzuconym na piasek rewolwerze. Czy zauważy, kiedy podniesie broń? Gdy się pochylała, chwycił ją za rękę.

Maggie zamarła.

Znów spojrzał jej w oczy, zmarszczył czoło, był niespokojny, ale wciąż się uśmiechał.

– Ja tylko chcę wracać do domu – rzekł i podał jej rewolwer.

– Tak właśnie zrobimy, Otisie. Pojedziemy wszyscy do domu – odparła.



## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

*Szpital Świętego Serca, Pensacola w stanie Floryda*

Maggie nawet nie zdawała sobie sprawy, że zasnęła, dopóki ktoś nie postukał jej w ramię. Przestraszyła się, podniosła wzrok, zobaczyła nad sobą Gwen i w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest.

– Wybacz, nie powinnam była cię budzić.

Maggie nie tylko zasnęła, udało jej się to zrobić w poczekalni, gdzie zwinęła się na krzesłach przed urazówką.

– Kiedy przyjechałaś?

– Kilka minut temu. Burze opóźniły lot.

Teraz za oknem poczekalni Maggie dojrzała błyskawice. Natychmiast poczuła zapach palącego się w piecyku drewna i pleśni z drewnianego domku. Przetarła oczy, udawała, że chodzi o zmęczenie, gdy tak naprawdę chciała wymazać z pamięci uśmiech Jacka i jego wilcze oczy. Wystarczyło jedno spojrzenie na pełną niepokoju zmęczoną twarz Gwen, by Maggie odsunęła w cień i Jacka, i Otisa.

– Powiedzieli, że jest wciąż na bloku operacyjnym.

– Tak – odparła Maggie i poklepała miejsce obok siebie. – Ale kula ładnie wyszła na zewnątrz.

Gwen się wzdrygnęła.

– Kula i ładnie w tym samym zdaniu brzmią jak oksymoron. Jak się czujesz? – spytała, dotykając twarzy Maggie.

Pielęgniarka z oddziału ratunkowego oczyściła jej zadrapania i drobne rany, ale Maggie wiedziała, że wygląda koszmarnie.

– Dobrze.

– Muszę cię uprzedzić. Kunze też tutaj jest.

– W Pensacoli?

– Jest z policją z Florydy i Otisem. – Gwen zauważyła minę Maggie i dodała: – Martwił się.

– Teraz wiem, że to sen.

Gwen krótko się uśmiechnęła.

– Powinnam była to przewidzieć – powiedziała do Maggie i nagle przeniosła wzrok na okno i błyskawice. – Powinnam była wiedzieć, że Otis kłamie.

– Nie bądź głupia. Skąd miałaś to wiedzieć?

– Jestem psychologiem, na Boga. Powinnam poznać, kiedy ktoś kłamie.

– Jack wymyśliłby inny sposób – odparła Maggie. – Nawet bez pomocy Otisa. Od ponad miesiąca mnie śledził. Odkąd znaleźliśmy ciało Glorii Dobson obok spalonego magazynu w Waszyngtonie. Sprowadził mnie do Iowa, żeby obserwować, jak odkopuję jego ofiary. Wiesz, że on tam był? Z nami na farmie?

Gwen skinęła głową.

– Pomagał nam odkopywać ten worek na śmieci. Przyglądał się, jak technicy wyciągają paragon, który sam schował do reklamówki. Ten ze sklepu, gdzie kupił pomarańczowe skarpetki. – Zaśmiała się, choć nie było w tym nic śmiesznego. – Ten sukinsyn poszedł z nami później na drinka. A ja nic nie wiedziałam. Mam dyplom z psychologii behawioralnej, od dziesięciu lat przygotowuję profile zbrodniarzy, a nie zgadłam, że naprzeciw mnie przy stoliku siedzi seryjny

morderca. A ty mówisz, że powinnaś się domyślić, że Otis kłamał?!

Obie zamilkły. Drzwi urazówki otworzyły się, wyszedł z nich ktoś w żółtym uniformie i oddalił się korytarzem.

Gwen położyła rękę na dłoni Maggie.

– Dziękuję, że zaopiekowałaś się R.J.-em.

– Otis nas uratował. W dużej mierze dzięki tobie.

– Mnie?

– Byłaś dla niego miła. Przypominasz mu jedyną osobę, która kochała go bezwarunkowo.

– Chyba powinnam być wdzięczna pani Helen. – Potem Gwen spytała, jakby coś jej się przypomniało: – Myślisz, że Otis kłamał, mówiąc, że Jack ma więcej takich cmentarzysk?

Maggie wzruszyła ramionami. Nie chciała o tym myśleć. W tej chwili pragnęła się skupić na żywych, i to nie wyłącznie na Tullym.

Zadzwoił telefon Gwen. Spojrzała na ekran. Maggie zobaczyła na jej twarzy cień przerażenia, a może tylko niepokoju. Nie była pewna, a Gwen świadoma spojrzenia przyjaciółki, szybko posłała jej uśmiech.

– Muszę odebrać.

– Wszystko w porządku?

– Jasne. Po prostu nie spodziewałam się tego telefonu w niedzielny wieczór. Przepraszam.

Oddaliła się zbyt szybkim krokiem, jakby biegła, by odebrać telefon po drugiej stronie poczekalni, a nie ten, który ścisnęła w ręce. Maggie pomyślała, że Gwen po prostu zależało na prywatności. Nie powinna się martwić, a jednak zbolące spojrzenie przyjaciółki nie dawało jej spokoju.

Maggie odprowadzała ją wzrokiem, a potem ujrzała wchodzącego do poczekalni Rydera Creeda. Zobaczyli się nawzajem w tej samej chwili. Niewielka odległość od drzwi do jej krzesła wydawała się Maggie potwornie męcząca, a przecież ona siedziała.

Creed przebrał się, wziął prysznic, zmył z siebie krew i brud. Pachniał jak świeża bawełniana koszula wyjęta prosto z suszarki. Włosy miał wciąż wilgotne i nieuczesane. Kiedy usiadł obok Maggie, niespodziewanie poczuła dokładnie to samo napięcie i podniecenie co wtedy, w tym hotelu w Manhattanie w stanie Kansas. Creed patrzył przed siebie, a kiedy na niego zerknęła, zdała sobie sprawę, że on czuje to samo.

– Jak się ma Tully? – spytał, unikając jej wzroku.

– Operacja jeszcze się nie skończyła. – Była wściekła, że tak się cieszy, widząc go u swojego boku. Nagle jakby mimo woli powiedziała: – Dziękuję, że tu jesteś.

– Nie jestem tu dla ciebie, jestem tu dla Tully'ego.

Uśmiechnął się. Maggie pamiętała, że użyła tych samych słów, gdy podczas operacji Grace siedzieli razem w poczekalni kliniki weterynaryjnej.

– Jak się ma Bolo?

– Dobrze, ma tylko powierzchowną ranę.

Creed wyglądał na zmęczonego. Siniaki i skaleczenia na jego twarzy nie wyglądały najlepiej.

– Może przed wyjazdem wpadniesz go odwiedzić. I Grace. – W końcu na nią spojrzął i tym razem dłużej patrzył jej w oczy.

Zanim mu odpowiedziała, wróciła Gwen. Była blada i wyraźnie zaszokowana. Bez słowa usiadła po drugiej stronie Maggie. Nawet nie zwróciła uwagi na Creeda. Wciąż ścisnęła w dłoni telefon.

Maggie położyła rękę na jej ramieniu.

– O co chodzi? Wszystko gra?

– Nie, raczej nie – odparła Gwen. – Mam raka piersi.

**WTOREK 26 MARCA**

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

Tym razem Maggie zadzwoniła do Noaha Watersa z lotniska. Jego ojciec mało nie rzucił słuchawką, ale zmienił zdanie, gdy powiedziała:

– Człowiek, który zaatakował Noaha, nie żyje.

Zanim pojechała na spotkanie z Noahem, zadzwoniła jeszcze do szeryfa Unissa do Sioux City w stanie Iowa.

Szeryf powitał ją litanią wymówek, mówiąc, że od dwóch dni zostawia jej wiadomości. Komórki Maggie i Tully’ego wciąż nie zostały odnalezione po tym, jak Jack wyrzucił je w lesie. Szeryf chciał jej przekazać, że znaleźli Lily tirówkę – tak ją teraz nazywał. Powiedział Maggie, że Lily udało się jakimś cudem wrócić na farmę, ale wciąż przebywa w miejscowym szpitalu, a jej stan jest poważny. Kiedy Maggie powiedziała szeryfowi o Howardzie Eliocie, szeryf osłupiał.

– Howard Elliott od ponad dziesięciu lat był znany w tej okolicy jako niezależny przedsiębiorca budowlany. Miał własną ciężarówkę. Ludzie twierdzą, że po zaginięciu pana Paxtona troskliwie opiekował się panią Helen.

Zaginięciu?

Te słowa przypomniały Maggie opowieść Jacka, jak to będąc chłopcem, zabił własnego ojca. Czy to możliwe, że po latach zamordował też przybranego ojca?

Gdy tylko Maggie skończyła rozmawiać z Unissem, wysłała agentowi Alonzowi esemes następującej treści:

„Czaszka znalezione na farmie w Iowa – sprawdź, czy to nie William Paxton”.

Noah nalegał, by znów wybrali się na spacer. Maggie rozumiała, że chciał wyjść z domu, być gdzieś, gdzie rodzice nie będą go słyszeli. Od ataku Jacka minął tydzień. Noah poruszał się pewniej, na nogach miał zwyczajne buty. Jego stopy się goiły. Blizny na twarzy nie były już czerwone i spuchnięte. Zniknęła wreszcie nieopanowana panika, którą wcześniej Maggie widziała w jego oczach. Ale z własnego doświadczenia wiedziała, że prawdziwe blizny nigdy się nie zagoją.

– Skąd wie pani na pewno, że to on?

Maggie sięgnęła do kieszeni i wyjęła laminowaną kartę, którą technicy kryminalistyki z Florydy znaleźli na tyle ciężarówki Johna Howarda Elliotta. Urządził sobie w samochodzie prawdziwy warsztat pracy. Jako wytrawny rzemieślnik Elliott pracował na budowach w całym kraju. Ale w samochodzie miał też sprzęt związany ze swoim hobby.

Trzymał tam między innymi magnetyczne tabliczki, które dla kamuflażu umieszczał na samochodzie, na przykład z napisami: „St. Vincent – schronisko dla bezdomnych”, „Lokalna służba ratownicza”, a nawet „Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego”. Miał także rozmaite przedmioty, które pomagały mu wyglądać na człowieka bezradnego i potrzebującego pomocy. Służyły do tego temblak, kule, kołnierz ortopedyczny, a nawet psia obroża i smycz.

Znajdowało się tam również pudełko przeznaczone na sprzęt rybacki z „pamiątkami” Jacka. To akurat Maggie nie zdziwiło, choć ich przeglądanie okazało się chyba najtrudniejsze. Żadna z pamiątek nie była jakoś wyjątkowo szokująca, ale wszystkie bardzo osobiste. Wśród wielu przedmiotów znaleźli klamrę od paska z napisem Harley-Davidson, złoty ząb, broszkę w kształcie koniczyny, tomik poezji, medalik ze świętym Krzysztofem, kosmyk włosów i kartę, którą Maggie podała teraz Noahowi.

– Moje prawo jazdy – szepnął i wciąż nieprzekonany spytał: – Skąd pani wie, że on nie

żyje?

– Bo tam byłam, widziałam to, Noahu. Dał mi szansę, żebym uciekła, tak jak tobie. Zatrzymali się w cieniu potężnego drzewa, którego korzenie zniekształciły chodnik.

Chłopak milczał. Pochylił głowę i patrzył na prawo jazdy, które trzymał kciukiem i palcem wskazującym, jakby wciąż nie mógł w to wszystko uwierzyć.

– To już koniec, Noahu – powiedziała łagodnie Maggie. – Już nie musisz się niczego bać.

– Ale ja zostawiłem tam Ethana.

Maggie usłyszała, że Noah zdusił szloch.

Nie miała na to odpowiedzi. Znała ludzki instynkt, studiowała go, widziała go w najgorszym wydaniu, a kiedy widziała jego dobre strony, odzyskiwała nadzieję. Nigdy nie zdoła wyjaśnić Noahowi, dlaczego on zdecydował się uciec, a ona nie. Dlaczego on zostawił Ethana, a ona nie potrafiła zostawić Tully'ego. Dlaczego nie pozwoliłaby Johnowi Howardowi Elliottowi wygrać. Dłużej niż Noah walczyła ze złem, miała w tym większe doświadczenie. Może to była jedyna różnica.

Uciekaj albo walcz. Dobro albo zło. Życie rzadko jest czarno-białe. Większość ludzi uczy się żyć pomiędzy, w różnych odcieniach szarości. Może Noah też się tego nauczy. Może pewnego dnia będzie też w stanie sobie wybaczyć, że po prostu posłuchał swojego instynktu. Maggie miała taką nadzieję.

– Zabiłby was obu – rzekła w końcu. – Ty chciałeś przeżyć. Nie możesz czuć się winny ani karać się za to, że szalenię próbował cię zabić, a ty mu na to nie pozwoliłeś. Musisz o tym pamiętać. Przeżyłeś, Noahu.

Czekała, aż chłopak na nią spojrzy, spojrzy jej prosto w oczy.

– Oboje przeżyliśmy.

